NAKRĘĆMY FILM O PRAWDZIWEJ HISTORII
IMPERIUM MICHNIKA
DOŁOŻYCIE SIĘ? RUSZA ZBIERZMY.PL



SZUKAJ WYDANIA Z KSIĄŻKĄ



Wydanie z książką w cenie 9,90 zł

PRAWDA SIĘ WYDAŁA.
JAK KIDAWA-BŁOŃSKA ODEBRAŁA MELDUNEK OD HEJTERÓW W PUCKU

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 8 (377) 2020
17–23 lutego 2020
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

SĘDZIA, KTÓRY ZATRZYMAŁ ANARCHIĘ

MACIEJ NAWACKI Z OLSZTYNA W MOCNYM WYWIADZIE TAKŻE O TYM, DLACZEGO PODARŁ PROJEKT BEZPRAWNEJ UCHWAŁY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

24 lutego w tygodniku SIECI

ukaże się kolejny dodatek z olimpijskiego cyklu

- historia igrzysk
- sukcesy Polaków
- największe olimpijskie gwiazdy



PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl 8c095ff059

Trzy pułapki na drodze do reelekcji

To będą wybory, które – tak jak te październikowe – naprawdę zaważą na losach kraju. Jeśli prezydent Andrzej Duda zapewni sobie reelekcję, obóz dobrej zmiany dostanie trzyletni oddech. Jeśli wygra ktoś z opozycji, rządowi będzie bardzo trudno przetrwać do końca kadencji parlamentu.

O powodzeniu bądź klęsce Andrzeja Dudy zdecyduje wiele czynników, ale dziś warto zwrócić uwagę na trzy elementy (czy też wymiary kampanii), być może nieco poboczne, ale potencjalnie bardzo istotne.



Autopromocja

Po pierwsze, największa partia opozycyjna nieprzypadkowo wystawiła do walki z Andrzejem Dudą kobietę – Małgorzatę Kidawę-Błońską. To logiczne wyciągnięcie wniosku z tego, że opozycja cieszy się większym poparciem wśród płci pięknej niż wśród mężczyzn. Wybory będą więc próbą wywołania swego rodzaju kobiecej rewolty, o której od dawna marzą środowiska lewicowe. Korzyści są oczywiste: nie tylko zmiana sytuacji politycznej, lecz także rewolucja światopoglądowa. Ekipa Andrzeja Dudy musi odpowiedzieć na to zagrożenie odpowiednio przemyślanym przekazem, a także stosownie ukształtowanym sztabem.

Po drugie, dużo zależy od tego, jak będzie wyglądała finalnie stawka kandydatów. Czy do znanej już szóstki, która nie powinna mieć problemów z zebraniem podpisów (Andrzej Duda, Małgorzata Kidawa-Błońska, Władysław Kosiniak-Kamysz, Szymon Hołownia, Robert Biedroń, Krzysztof Bosak), dołączy ktoś jeszcze? Co ważne, czy pojawi się jakiś kandydat, który nie będzie się skupiał na atakowaniu obecnego prezydenta, ale który skieruje wektor swojej aktywności w inną stronę? Doświadczenia z kampanii warszawskiej są jednoznaczne: to, że wszyscy kandydaci solidarnie atakowali Patryka Jakiego, wytwarzało wrażenie jego osamotnienia. Teraz też może być podobnie, bo przecież jest jasne, że w interesie liderów Konfederacji (co nie znaczy, że również wyborców) jest porażka Andrzeja Dudy – droga do wielkości tej formacji wiedzie po trupie PiS.

Po trzecie, niezwykle ważna jest dynamika różnych procesów wokół reformy wymiaru sprawiedliwości. Można tu mówić nawet o swoistym wyścigu dającym się sprowadzić do pytania: czy uda się szybko wybrać nowego I prezesa Sądu Najwyższego, co bezdyskusyjnie będzie stanowiło przełom w walce o reformę wymiaru sprawiedliwości? Równolegle będą się toczyły postępowania przeciwko Polsce przed TSUE i KE, których kalendarz również będzie miał fundamentalne znaczenie, zwłaszcza jeśli Bruksela zdecyduje się na sięgnięcie po różnego rodzaju sankcje, także finansowe. Tu ważyć mogą tygodnie, a nawet dni.

Kampania na razie dopiero się rozkręca. Zapewne wyścig rozstrzygnie się dopiero 24 maja, ponieważ szanse na zwycięstwo Andrzeja Dudy w pierwszej turze wydają się niewielkie. Paradoksalnie, to także ważne pytanie: czy ryzykować i jednak walczyć o wiktorię już 10 maja, czy też od razu się nastawić na drugą turę? Wbrew pozorom każda z odpowiedzi na to pytanie musi skutkować nieco inną strategią. Ich wspólnym elementem musi być jednak maksymalna mobilizacja zwykłych Polaków, także dlatego, że na maksymalną mobilizację establishmentu nie trzeba czekać. Ona już jest rzeczywistością.

Jacek Karnowski

egzemplarz prasowy 5ff059

SIECI spis treści



44 *Jak Kwaśniewscy willę sprzedawali*
Marek Pyza



66 Hiszpanka też była Chinką
Andrzej Fedorowicz



79 Rosja: Sankcje działają
Marek Budzisz

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 BŁOTNE BRYGADY
Krzysztof Feusette

10 MIARA SUKCESU
Dorota Łosiewicz

12 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

14 SALTO MORTALE PT. „POLEXIT”
Jan Pietrzak

15 NATURA KASTY
Bronisław Wildstein

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 POCHWAŁA KALIGRAFII
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 WALIZKA MARII NIKLIŃSKIEJ
Michał Korsun

19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

20 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 Z MACIEJEM NAWACKIM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

28 HEJT WE KRWI
Marcin Wikło

32 PIĄTKA ZE STERNIKIEM
Stanisław Janecki

35 KRÓTKA HISTORIA POLEXITU
Konrad Kołodziejski

38 Z KRZYSZTOFEM KUBOWEM
rozmawia Marcin Fijołek

44 JAK KWAŚNIEWSCY WILLĘ SPRZEDAWALI
Marek Pyza

46 ROZCZAROWANIE MODERNISTÓW, RADOŚĆ ORTODOKSÓW
Grzegorz Górny

48 Z DANIELEM OBAJTKIEM
rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko

52 RUSZAMY JUŻ DZIŚ!
Zbierzmy.pl: nasza nowa inicjatywa

53 Z MARIUSZEM PILISEM
rozmawia Piotr Filipczyk

SIECI KULTURY

56 HOLLYWOOD ABDYKOWAŁO
Łukasz Adamski

58 BONG – CZŁOWIEK, KTÓRY ROZSADZIŁ SYSTEM
Jolanta Gajda-Zadworna

60 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

62 POLECA
Łukasz Adamski

64 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

wSIECI HISTORII

65 HISZPAŃSKIE DOZNANIA
Jan Żaryn

66 HISZPANKA TEŻ BYŁA CHINKĄ
Andrzej Fedorowicz

69 W OCZACH ZAGRANICY...
Ryszard Czarnecki

70 ZAPOMNIANA BOHATERKA WOJNY Z BOLSZEWIKAMI
Marcin K. Schirmer

72 FELIKSA STAMMA ŻYCIORYS MNIEJ ZNANY
Grzegorz Majchrzak

OPINIE

74 K JAK KRWAWY MACIEK
Hanna Karp

ŚWIAT

76 LIBERAŁ, A JEDNAK FASZYSTA
Jan Rokita

79 ROSJA: SANKCJE DZIAŁAJĄ
Marek Budzisz

GOSPODARKA

82 Z WITOLDEM WŁODARCZYKIEM
rozmowa o polskiej branży spirytusowej

PODRÓŻE

86 MOJE SZLAKI: PRZEMEK KOSSAKOWSKI
Jolanta Gajda-Zadworna

87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

88 SZKODNICY KIDAWY
Wojciech Reszczyński

90 FELIETONY
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

92 FLEJTUCHY
Aleksander Nalaskowski

93 PATROLI ŻAL
Wiktor Świetlik

94 DAWAĆ ŚWIADECTWO PRAWDZIE
Alina Czerniakowska

95 FELIETONY
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

96 ROZHUŚTAĆ EMOCJE
Ryszard Makowski

97 TAMTEN CZAS... LUTY 82
Leszek Długosz

98 A DOBRE SPOŁECZEŃSTWO?
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 20/0220/F

eprasa.pl 8c095ff059

TAURON

W serwisie obsługowym Mój TAURON masz wszystko!

Mój TAURON to:

- faktury, terminy i umowy w jednym miejscu
- płatności na raz – jednym przyciskiem
- dodatkowe bonusy

Bo ułatwiamy, by było szybciej i wygodniej.



mojtauron.pl

eprasa.pl 8c095ff059



Sygnalista nadaje

„Gdybyśmy w 2015 r. wiedzieli, że PiS zdobędzie absolutną większość, to oczywiście byśmy bronili Bronisława Komorowskiego jak niepodległości” – stwierdził na antenie Polsat News ***Janusz Korwin-Mikke***. Logiczne, i z punktu widzenia Konfederacji, i także z perspektywy całej drogi życiowej Korwin-Mikkego. I można się tylko dziwić, że ten towar wciąż znajduje kupców.

Korwin-Mikke odniósł się także do reformy sprawiedliwości: „Podarcie uchwały sędziów przez prezesa Macieja Nawackiego świadczy o tym, że jedni sędziowie i drudzy sędziowie wzajemnie się nie uznają. To się musi skończyć wojną domową, nie ma innej możliwości. Mam nadzieję, że wojsko wyjdzie na ulice. Chciałbym puczu wojskowego, nie ukrywam tego”. Nie odpowiedział jednak, po czyjej stronie stanęłaby armia, a to kluczowe pytanie.

W trakcie debaty w Parlamencie Europejskim w sprawie praworządności w Polsce głos zabrał Robert Biedroń. „W moim kraju żyją ludzie, którzy są gorsi od komunistów. Bo zniszczyli mój kraj gorzej od komunistów” – grzmiał z mównicy europoseł Wiosny. Co na to komunistyczni koleżanki i koledzy z lewicowych frakcji w europarlamencie?

Opozycja donosi na Polskę, ale wyraźnie ma wyrzuty sumienia i szuka usprawiedliwień. „Czy byłoby coś złego w tym (...), gdyby matka poszła i zgłosiła na policję, że jej synek jest katowany przez męża? Czy to będzie donosicielstwo, czy to będzie dbałość o przyszłość i życie tego dziecka?” – to słowa Ewy Kopacz. Metafora gruba niczym dinozaur i równie niezgrabna.

Wiceszefowa Komisji Europejskiej Věra Jourová również sięga po grube słowa: „Polska reforma jest dokonywana z pomocą łomu. Na Węgrzech proces ten jest bardziej stopniowy, ale szerszy, dotyczy również mediów” – oceniła Czeszka. W jednym ma rację: „kasta” solidnie się zabezpieczyła i nie było łatwo otworzyć tę konserwę. Ale chyba się udało, ponieważ, jak przyznaje sama Jourová: „Tak zwana reforma w Polsce może być nieodwracalna”. Ma rację.

Lider SLD ***Włodzimierz Czarzasty*** zinterpetował przesłanie kryjące się za ukaraniem sędziego Juszczyszyna: „Robią po prostu świństwa. Pokazują wszystkim sędziom rzeczy następujące: jak nie będziesz się, gnoju, słuchał, to dostaniesz 40 proc. pensji. Zawiesimy cię w zawodzie. A może masz premię? A może masz żonę? A może masz trójkę dzieci? Usiądź sobie w kącie i pomyśl, czy chcesz być lojalny wobec nas, czy nie. Myślisz, że my się tym przerazimy?”. Gdy raz ten styl myślenia o władzy wszedł w człowieka, to już zawsze w nim będzie.

Tymczasem zdaniem pewnego dziennika Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej ma już gotowe postanowienie, w którym nakazuje Polsce zawieszenie Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. A jeśli Polska nie usłucha, to wówczas „Trybunał nakaże Rzeczypospolitej Polskiej zapłatę na

Jak informuje „Super Express”, po tym jak Grzegorz Schetyna przestał być szefem PO i musiał opuścić gabinet przewodniczącego, podczas wyprowadzki zniknęła również… lodówka. Tabloid cytuje „jednego z posłów PO”, który oznajmił, że „lodówka jest własnością klubu PO”. „Nie wiemy, gdzie jest, członkowie partii dostali ją wiele lat temu, jeszcze od Janusza Palikota” – mówi. Sam Schetyna nie chciał odpowiadać na pytania o lodówkę. Platformy jednak nie da się podrobić.

eprasa.pl 8c095ff059

rzecz Komisji kary pieniężnej w wysokości co najmniej 2 mln euro dziennie". News smakowity, ale – jak wszystko wskazuje – nieprawdziwy. Ciekawe, czy ów dziennik kiedyś wyjaśni, co to za gra.

Agnieszka Holland ujawniła szczegóły spotkania grupy lewicowych inteligentów z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem w czasie jego wizyty w Warszawie. „Nasze wypowiedzi były różne, od bardzo osobistych, niektórych dość rozpaczliwych, żeby Francja ratowała polską demokrację, przez katastroficzną wizję, po jakieś próby diagnozy sytuacji w Polsce". Co na to Macron? „Odpowiedział, że szanuje romantyzm konstytucyjny, ale to nigdy nie będzie porywające dla szerszych kręgów społecznych". On też wie, że już jest posprzątane?

Kto uczestniczył we wspomnianym spotkaniu? Jak relacjonuje Holland: Adam Michnik, Krystyna Zachwatowicz-Wajda, Marian Turski, Piotr Cywiński, Krzysztof Warlikowski, Wojtek Pszoniak, Andrzej Seweryn i Agata Tuszyńska. Ze świata polityki poseł KO Paweł Kowal. Poza tym parę osób, które przyjechały z Macronem: Jacques Rupnik, Georges Mink, Piotr Smolar. Bardzo ciekawe grono.

Opozycja od miesięcy domagała się ujawnienia nazwisk sędziów, którzy podpisali się pod kandydaturami członków Krajowej Rady Sądownictwa. Gdy w końcu listę ujawniono, Wojciech Czuchnowski przystąpił do ataku, zapowiadając wieloletnie represje środowiskowe i medialne: „Ich kariery będą obserwowane nie tylko pod kątem merytorycznych osiągnięć. Zawsze gdzieś w tle będzie pamięć, że można ich złamać, bo w chwili próby sprzeniewierzyli się zasadom". Znów to samo: konformistyczne stado twierdzi, że to ono jest odważne. Żałosne.

Kodziarze zakłócili przemówienie prezydenta ***Andrzeja Dudy*** w Pucku z okazji setnej rocznicy zaślubin z morzem. Krzyczeli „Będziesz siedział", ale także i Ty ch...". Chwilę później wyściskała ich Małgorzata Kidawa-Błońska. Na nagraniach widać kandydatkę KO, której twarz wprost promienieje radością, śmieje się od ucha, jest szczęśliwa jak nigdy. Jak zauważył na łamach wPolityce.pl Stanisław Janecki, stojąc przed wyborem: albo kod kulturowy przodków, albo KOD obwoźnego cyrku znieważającego prezydenta, wybrała to pierwsze.

Zapytana, czy przeprosi, Kidawa-Błońska powiedziała, że nie. Dlaczego? „Niech się nie dziwią, że ludzie, którzy mają poczucie dumy, się sprzeciwiają. Łamanie konstytucji przez prezydenta Dudę budzi wielki opór społeczny". Dla porównania przywołajmy reakcję kandydata Dudy, który w 2015 r. tak skomentował wygwizdanie Bronisława Komorowskiego w Nowym Targu: „Nie podoba mi się gwizdanie. To jest też kwestia szacunku do głowy państwa".



A jeszcze niedawno Kidawa-Błońska wzywała: „Musimy być inni, lepsi, mądrzejsi. I powiem wam, kochani, że totalna opozycja to nie jest teraz dobre rozwiązanie". Teraz nie tylko nie przeprosiła, ale okazało się, że w kampanii będzie jej pomagał Marcin Mycielski, jeden z administratorów hejterskiej strony na Facebooku SokzBuraka, a także działacz KOD. Gdy PO mówi, że zamierza siać miłość, trzeba szykować się na wojnę.



Po wydarzeniach w Pucku dziennikarz Michał Kolanko stwierdził: „Trzeba przyznać, że sztab PiS sprawnie przekształcił wydarzenia w Pucku w kampanijną narrację – na swoją korzyść". Odpowiedział mu ***Tomasz Lis***: „Naziści sprawnie wmówili Niemcom, że odpowiedzialność za alianckie naloty na niemieckie miasta ponoszą Żydzi. Intrygujący jest Pana zachwyt skutecznością kłamstwa i łajdactwa". Jak widać, forma wróciła.



Ale to nie koniec, bo komentarz Lisa oburzył Jana Śpiewaka: „Lis zrównując propagandę PiS-u do propagandy hitlerowskiej, tłamsi pamięć ofiarach II wojny światowej. Obrzydliwe. Mam nadzieję, że będzie stanowcza reakcja właściciela »Newsweeka« na to skandaliczne zachowanie i trywializację Holokaustu. Dość tego człowieka w przestrzeni publicznej". Na uwagę zaczepionego, że należy mówić do niego „Pan Lis", Śpiewak zareagował tak: „Lis – człowiek na garnuszku układu, który jak rządzi, to Lis jest w TVP, jak w opozycji, to Lis nawołuje do puczu. Milczał, gdy mafia kradła kamienice i wyrzucano ludzi z mieszkań, stchórzył, gdy mógł sprawdzić się w polityce. Szkodnik III RP, prywatnie gwarant rządów Kaczyńskiego". Coś w tym jest.



Mateusz Kijowski, były lider KOD, jeszcze cztery lata temu stawał na jednej scenie z najważniejszymi politykami opozycji, fetowano go też w Brukseli. To już jednak przeszłość. Dziś pracuje w zakładzie fryzjerskim. Początkowo szukał pracy w branży IT, lecz bez powodzenia. Wtedy pomocą dłoń wyciągnęła do niego właścicielka jednego z salonów fryzjerskich w Warszawie. Dobra decyzja. Dobra dla wszystkich: i dla Kijowskiego, i dla Polski.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Mateusz Żelnik, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 8c095ff059

Błotne brygady

W imieniu Demokratycznego Zrzeszenia Intelektualistów Całkowicie Zagranicznych (DZICZ) mamy zaszczyt zaprosić Panią/Pana dowolnej płci na Warsztaty Integracyjne Opozycji (WIO 2020) pod hasłem „J...bać PiS!". Skończył się czas połajanek i wycieczek do Brukseli, sama Komisja Europejska i paru niemieckich najemników z polskim obywatelstwem nie wystarczą. Nasze wyzwiska pod adresem prezydenta Dudy nie przeszły bez echa. Daliśmy takim, jak my i wy, Obywatelko/Obywatelu, nadzieję, że można jeszcze odwrócić bieg wydarzeń. Że warto poświęcić dostęp do morza i narodowe uroczystości w imię donośnego głosu poparcia dla naszej kandydatki na urząd prezydenta III RP. Bo przecież było nas słychać!



KRZYSZTOF FEUSETTE

Nasze warsztaty potrwają przez cały weekend. Zaczynamy w piątek o godz. 14 prelekcją „Jak się spakować, by się nie wpakować?". To wykład Stanisława Gawłowskiego o tym, co z sobą zabrać, by się nie ubabrać, na wojnę z dyktaturą. Senator wykorzystuje fragmenty swojego „Poradnika skazanego", który przyda się na pewno, gdy i nas reżim zacznie nareszcie zamykać. Godz. 16 – obsługa puszki z farbą. Jak rzucić w biuro poselskie, żeby się nie uświnić? Wbieganie na pomnik Smoleński (dysponujemy wierną kopią) – prowadzi osoba anonimowa, „mieszkaniec Pucka lub Wejherowa". Godz. 18 – manewry leśne pod kierunkiem kaprala Niezguły oraz szeregowego Pierdoleta (dawn. „Farmazon"). Jak ukryć broń palną, zwłaszcza nielegalną? Jak pluć na kobiety? Jak blokować Wawel (koncert Maćka Pomyleńczuka). Godz. 22 – „A co, jeśli jednak przegramy?" – ćwiczenia pozytywnego myślenia prowadzone przez Mateusza Kijowskiego. Pokaz sztuczek z nożyczkami. Kurs golenia frajera i informatyki bezobjawowej. Po spotkaniu przerwa na przeliczenie zawartości puszek, potem Władysław „Władek" Frasyniuk i jego „Spostrzeżenia z prawdziwej walki ulicznej. Dziesięć minut na komisariacie – jak przetrwać bez sikania (nie tylko na własną przeszłość)".

Sobota godz. 10 – próbny alarm. Symulacja spontanicznego wyjazdu na manifestację połączona z oglądaniem filmu „Nieścigany" – o zabawnym sędzim Naga-Toga, któremu udało się przedrzeć do niemieckich mediów, by dać świadectwo niezawisłości. Godz. 12 – Szymon Hołownia Show i jego „Kiedy złapią cię za rękę, to zaśpiewaj im piosenkę" (musical) oraz „Czego nie kojarzyć, żeby być kojarzonym?" – próba orędzia na każdy temat. Godz. 14 – „Życie w pożyciu" – opowieści Roberta Biedronia o tym, jak kłamać w Brukseli, a także o prawach i obowiązkach pierwszej damy płci męskiej. Dyskusja językowa: „Pierwszy walet czy pierwszy dam – na co zwrócić uwagę?". Wieczór poetycki „Jak zasypać podziały między nami a sprzedawczykami?" (Marian Opania) oraz „Jak myśleć wyłącznie po europejsku?" (analiza Macieja i Jerzego Stuhrów). „Bluzg publiczny" – czat na żywo z udziałem Zbigniewa Hołdysa i Andrzeja Saramonowicza. Godz. 20 – „Nie chcem, ale muszem, czyli taczka – obsługa i komplykacje", prowadzenie: Lech Wałęsa (spodziewany milion uczestników). Od godz. 22: „Arlamów By Night" – czyli „Dyskoteczka Kiszczakowej", impreza taneczna – prowadzi DJ Tewu. Koncert zespołu KOD-Kapela (o ile lider dostanie przepustkę z więzienia). Pieśni do słów z naszych transparentów – śpiewa Grzegorz Schetyna (z towarzyszeniem wielkiej orkiestry Jurka Jurasa). Wykład o niezawisłości sędziowskiej – Sławomir Neumann. Spotkanie z Bardzo Ciekawym Człowiekiem – „Palec pod budkę, kto pokocha Budkę – przemyślenia i refleksje najskromniejszego z liderów".

Niedziela, godz. 11.30 – ćwiczenia z zakłócania mszy świętej, konkurs bluźnierstw i drwin z Matki Boskiej pod patronatem prezydent Gdańska. Zajęcia w plenerze: Bartosz Kramek i Ludmiła Kozłowska – „Jak wyłączyć Polskę?"; Michał Broniatowski – „Jak urządzić Majdan?". Bronisław Komorowski o programie „Decha plus" plus nieznane wspomnienia z Japonii. Gość specjalny: Věra Jourová – o zdecydowanej wyższości praworządności unijnej nad praworządnością polską na przykładzie sądownictwa czeskiego, które „przez pomyłkę" wsadziło ją na miesiąc za kratki. Po spotkaniu – możliwość przytulenia się do zagranicznych gości. Wieczorem – podsumowanie zdobytych doświadczeń oraz orędzie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na dwa promptery: „Kochajmy się, a ich nie". Bal pożegnalny z polonezem równości (panowie proszą panów), pokaz sztucznych ogni i charytatywny konkurs tańca na rurze (zbieramy na nową rurę dla Rafała, bo stara mu pękła).

Jak widać – gwarantujemy wyjątkową zabawę, oryginalne towarzystwo i mnóstwo emocji. Nie stój więc, nie czekaj, wyrwijmy ten kraj spod kaczystowskiej okupacji. Pamiętaj – Puck to nie koniec, ale początek naszych możliwości. Kochasz bluzgać na „pisiorów"? Uwielbiasz robić „bydło" na państwowych uroczystościach? Gotowy jesteś uświnić wszystko, byle koryto wróciło na swoje miejsce, a słomą z butów mógłbyś wypełnić niejedną oborę? Bo demokrację szanujesz tylko wtedy, gdy wygrywają twoi?

Wstąp do nas, Błotne Brygady Opozycji czekają właśnie na ciebie.

Reklama | 49/0120/F

eprasa.pl 8c095ff059



PKO BANK POLSKI NAJCENNIEJSZĄ POLSKĄ SPÓŁKĄ W 2019 ROKU

Bank Polski

Zakończyliśmy rok z najwyższą kapitalizacją wśród spółek notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie

eprasa.pl 8c095ff059

WIEŻA BAB

Miara sukcesu

Nie mam wątpliwości, że dobrze wychować dziecko, to najważniejsza misja w życiu. Tylko co znaczy owo „dobrze”?

Podobno na polityce, piłce i wychowaniu dzieci znają się wszyscy. Młodzi rodzice szybko się przekonują, jak bardzo prawdziwe jest to stwierdzenie. Wszyscy wiedzą lepiej, kiedy maluch potrzebuje czapeczki, a kiedy nie, kiedy należy go przewinąć i jak go najlepiej przystawić do piersi. Wszyscy ze znawstwem chętnie pytają: „Przesypia już noc?”, „Miewa kolki?”, „Dużo płacze?”. I bardzo chętnie radzą: „Może wywietrz pokój”, „Nie przegrzewaj”, „Ubierz, bo ma za zimne rączki”, „Dokarm mieszanką, bo na piersi na pewno głodne”. Albo: „Nie dokarmiaj, bo mieszanka to trucizna”. I tak w koło Macieju, od świtu do nocy. Młodzi rodzice traktowani są jak jednostki niespełna rozumu, niegodne społecznego zaufania, niepotrafiące zadbać o siebie, a co dopiero o nowo narodzone dziecko.

Niestety wcale nie lepiej jest, gdy słodki bobas rośnie. Chór doradców jest równie głośny. „Powinien mieć telefon” – mówią jedni, bo jego brak wykluczy go z grupy, „Nie powinien” – mówią inni, bo będzie siedzieć w społecznościówkach. Dajesz za dużo soli do posiłków albo za mało soli, słyszysz: „Unikaj barwników”, „Dawaj kieszonkowe”, „Nie dawaj, niech zarobi”. „Rozmawiaj o seksie”, „Nie rozmawiaj o seksie”, „Idź do psychologa”, „Nie idź, bo to wyłudzanie pieniędzy”. Część z tych, którzy radzą i wszystko wiedzą lepiej, dzieci nie ma, ale przecież to są sprawy oczywiste. Jeden z drugim przeczytał ten lub inny artykuł o wychowaniu albo obejrzał jakiś program, a może nawet zjadł wszystkie rozumy i się mądrzy, bo „to się przecież wie”.

Znaczna część z licznych doradców często nie ma pojęcia, z jakimi problemami i zagrożeniami mierzą się dziś dzieci i ich rodzice. Np. nieograniczony dostęp do pornografii w sieci. Włosy stanęły mi ostatnio dęba, gdy odkryłam, jakie treści wyświetlają się w przeglądarce po wpisaniu imienia jednego z bohaterów japońskiego anime. Do tego cyberprzemoc. Nieprzemyślany film wrzucony na grupę, złośliwe zdjęcie, rozkręcona fala śmiechu i może dojść do tragedii. I jeszcze lęki klimatyczne. Tak, tak, to nie jest żaden „lewacki wymysł”. Dzieci, które wciąż słyszą o zagładzie planety, zaczynają jej się obsesyjnie obawiać. Że ludzkość wyginie, że zabraknie wody, że będziemy się zjadać. Te myśli nie pozwalają spokojnie zasnąć wielu dzieciakom.



Życie mojego pokolenia, choć jeszcze pamiętamy puste półki w sklepach, naprawdę było łatwiejsze. Wychodziliśmy z domu pobawić się na trzepaku, ludzie spotykali się naprawdę, a nie w cyberświecie i naprawdę rozmawiali, a nie za pomocą komunikatorów. Jedliśmy bułki z cukrem, gdy nie było słodyczy i nikt nam nie mówił o pladze otyłości, bo tyle biegaliśmy po podwórku, że nam nie groziła. Jak ktoś miał do siebie żal, to w ruch szły pięści, ale w pięć minut było po sprawie.

Rodzicielstwo to naprawdę nie lada wyzwanie. Będąc rodzicem, nawet jak masz oczy dookoła głowy i tak możesz coś przegapić. Nie mam wątpliwości, że „dobrze wychować dziecko”, to najważniejsza misja w życiu. Tylko co znaczy owo „dobrze”? Czy na człowieka, którego będzie stać na willę z basenem, ale przypłaci to depresją, czy może na człowieka, który będzie potrafił się cieszyć życiem i miał poczucie własnej wartości? Czy na człowieka, który będzie znał pięć języków i będzie sprawnie troszczył się o siebie, czy na człowieka, który umiejętnie będzie troszczył się o innych? Czy na człowieka, który dzięki wykształceniu i elokwencji świetnie będzie czuł się w każdym towarzystwie, czy na człowieka, który będzie mógł z uśmiechem patrzeć w lustro? Co jest, co będzie miarą sukcesu rodziców, miarą mojego sukcesu? Myślę, że odpowiedź na to pytanie nie przyjdzie ani dziś, ani jutro. Ona pojawi się na starość. Gdy już nie będę miała sił wyjść po zakupy czy nalać sobie szklanki wody. Jeśli moje dorosłe już dzieci zatroszczą się o moje zakupy i podadzą mi szklankę wody, to będzie prawdziwa miara rodzicielskiego sukcesu.

Dorota Łosiewicz

Reklama | 19/0220/F



Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od lat wspiera inicjatywy, projekty i wydarzenia promujące polską kulturę wysoką, występując w roli ich sponsora lub organizatora. W poczuciu odpowiedzialności za polskie dziedzictwo kulturalne objęliśmy mecenatem Teatr Telewizji.

Medal dla harcownika

USA

„Symbolicznym upaństwowieniem kłamstwa i hejtu jest przyznanie Rushowi Limbaughowi Medalu Wolności, najwyższego cywilnego odznaczenia nadawanego przez prezydenta za wybitny wkład w budowanie bezpieczeństwa narodowego, pokoju światowego i kultury. [...] Limbaugh zbił fortunę na szerzeniu rasistowskiej i ksenofobicznej nowiny. Przez dekady na swojej antenie karmił słuchaczy teoriami spiskowymi". To cytat z „Gazety Wyborczej", która dołączyła do chóru oburzonych po tym, jak Donald Trump wyróżnił gwiazdę konserwatywnego radia.

Rush Limbaugh jest ikoną prawicowych mediów. Jego nadawany od 1988 r. „The Rush Limbaugh Show" jest najchętniej słuchanym programem radiowym w USA. Limbaugh został uznany przez „Forbesa" za jednego z najlepiej zarabiających celebrytów. Jego przychody roczne sięgają nawet 84 mln dol. (2018). Co tydzień słucha go ponad 15 mln Amerykanów. Jego show to mieszanka informacji, ostrej publicystyki, niepoprawnych politycznie skeczy oraz rozmów ze słuchaczami. W programie Limbaugha wystąpili niemal wszyscy najważniejsi neokonserwatyści z administracji George'a W. Busha. Przeważnie robi jednak jednoosobowy show, doprowadzając lewicę do szału. To on szerzył podejrzenia, że Barack Obama nie urodził się w USA, a więc nie może być prezydentem. To on przedrzeźniał chorego na Parkinsona aktora Michaela J. Foxa, gdy ten opowiedział się za testowaniem komórek macierzystych. W 2008 r. radiowiec ogłosił „Operację Chaos", która miała polegać na tym, by wyborcy republikańscy masowo się rejestrowali jako demokraci i głosowali w prawyborach na Hillary Clinton, a nie na Baracka Obamę.

Po przyznaniu Limbaughowi medalu w Ameryce zawrzało. Nie ma sensu przytaczać wszystkich obelg, jakie padły z ust znanych osób. Symbolizują je słowa reżysera Roba Reinera, który powiedział, że brzydzi się „pierd... nym Limbaughem". Nawet wyznanie Limbaugha, że cierpi na zaawansowanego raka płuc nie powstrzymało liberałów od bezpardonowych ataków. Walczący o nominację demokratów Joe Biden powiedział, że decyzja Trumpa jest fatalna, bo Limbaugh „nie rozumie, czym jest amerykański kod przyzwoitości i honoru." Bidena stać było jednak na słowa współczucia z powodu choroby.

Nie byłoby sukcesu Limbaugha, gdyby nie Ronald Reagan, który w 1987 r. anulował „The Fairness Doctrine" od 1949 r. obligującą media do przedstawiania dwóch punktów widzenia sporu. Od tego czasu na nieskrępowanej publicystyce korzysta w USA zarówno lewica, jak i prawica. Prezydentura Donalda Trumpa jest jednym z dowodów na to, jak silny wpływ na elektorat miał Limbaugh, który jako jeden z nielicznych od początku wspierał jego kandydaturę.

Łukasz Adamski



Fot. Roberto Scarfone/Shutterstock.com

Kazachstan

Zagadkowe pogromy

Dziesięć osób zabitych, ponad 150 rannych, w tym 19 funkcjonariuszy sił porządkowych, kilka tysięcy uciekinierów, spalone domy i samochody – to bilans zajść na tle narodowościowym w południowym Kazachstanie, zamieszkiwanym przez muzułmańską mniejszość Dunganów. Ta licząca nieco ponad 100 tys. osób grupa etniczna przywędrowała na obszary dzisiejszego Kazachstanu jeszcze w XIX w. po nieudanej próbie powstania w Chinach, ale jej przedstawiciele utrzymali wierzenia i tradycje chińsko-tybetańskiej rodziny narodów.

Relacje mediów na temat powodów zajść, ale również informacje związane z reakcją lokalnych władz, różnią się dość znacznie. W świetle jednych mieliśmy do czynienia z porachunkami gangsterskimi między grupami rywalizującymi o kontrolę nad nieodległą granicą z Kirgistanem. Inni zwracają uwagę na narodowościowe tło wydarzeń, a także na postawę miejscowej policji, która nie tylko nie interweniowała, lecz wręcz uczestniczyła w pogromach, którym kres położyło dopiero przybycie sił specjalnych. Reakcja władz, zwłaszcza prezydenta Kasyma-Żomarta Tokajewa, który zdymisjonował miejscowych szefów policji i administracji, a następnie wysłał wicepremiera dla uspokojenia sytuacji, świadczy o tym, że sytuacja została potraktowana poważnie. Sam Tokajew, występując publicznie, mówił wręcz o akcji „prowokatorów". Obserwatorzy zwracają uwagę na to, iż próba wywołania zamieszek na tle narodowościowym jest nie tylko ogromną stratą wizerunkową dla władz, które budują obraz Kazachstanu jako kraju, w którym harmonijnie żyją różne grupy etniczne, lecz może również stanowić zagrożenie dla obranego przez nowego prezydenta kursu na liberalizację. Niepokój władz jest tym większy, że w internecie zamieszczano apele, aby po rozprawieniu się z Dunganami „pójść" na nieodległe Ałmaty, kulturową stolicę Kazachstanu.

Wybuch zajść może być też związany, jak się uważa, z niedawną wizytą w Kazachstanie amerykańskiego sekretarza stanu Mike'a Pompeo i wyraźnie antychińskim tonem jego wystąpień. Amerykański polityk podniósł kwestię prześladowań Ujgurów w sąsiedniej chińskiej prowincji Sinciang, zamienionej przez Pekin w wielki obóz, gdzie do niewolniczej pracy zmuszanych jest ponad milion osób. Ujgurzy, grupa etniczna pochodzenia tureckiego, są uznawani w Kazachstanie za część narodu, a skierowane przeciw nim represje budzą spore emocje. Trzeba też pamiętać, że w latach 1862–1877 to właśnie Dunganowie wespół z Ujgurami wywołali antychińskie powstanie.

Marek Budzisz

40/0120/F
eprasa.pl 8c095ff059

Włochy

Biskupi za budową meczetów

Patriarcha Wenecji Francesco Moraglia odwiedził Islamskie Centrum Modlitwy w przemysłowej dzielnicy Marghera. Po wyjściu stamtąd wyraźnie poruszony powiedział, że nadszedł już czas, aby w Wenecji wybudowano meczet. Nie jest on pierwszym z włoskich hierarchów, który wystąpił z podobną ideą. W marcu 2019 r. abp Giovanni Paolo Benotto z Pizy zwrócił się z apelem do władz miasta, by zaangażowały się w budowę lokalnego meczetu.

Jeszcze wcześniej, bo w grudniu 2017 r., kard. Giuseppe Betori z Florencji sprzedał należącą do archidiecezji ziemię w gminie Sesto Fiorentino pod budowę meczetu. Purpurat oświadczył, że jest szczęśliwy, mogąc udostępnić grunt pod powstanie miejsca kultu muzułmańskiego. Powołał się przy tym na Sobór Watykański II, który nakazywał szanować i promować wolność religijną. Dodał, że nie jest to tylko jego osobiste stanowisko, lecz doktryna Kościoła katolickiego.

Ostatnio biskupi włoscy zyskali nowy argument. Powołują się na podpisaną rok temu deklarację z Abu Zabi, której sygnatariuszami byli Franciszek i wielki imam Al-Azhar. Wspomniany dokument apeluje do ochrony wszelkich miejsc kultu oraz zakazuje atakowania ich. Nie mówi jednak nic o tym, aby angażować się w budowę świątyń innych religii.

Deklaracja z Abu Zabi zawiera natomiast inny zapis, który ma wpływ na zmianę podejścia części ludzi do Kościoła do odmiennych wierzeń. Znajduje się w niej mianowicie stwierdzenie, że Bóg w swej mądrości chce pluralizmu i różnorodności religii. W takim ujęciu budowa społeczeństwa wielowyznaniowego okazuje się więc realizowaniem woli Bożej. Angażowanie się na rzecz powstawania nowych meczetów przez biskupów katolickich jest zatem logiczną konsekwencją przyjęcia takiego stanowiska.

O ile powyższy pogląd znajduje zrozumienie wśród niektórych hierarchów katolickich, o tyle pozostaje całkowicie obcy muzułmańskim imamom, którzy ani myślą o wspieraniu budowy kościołów. Według nich jedyną drogą do zbawienia pozostaje islam, zaś Allach nie chciał żadnej innej religii.



Grzegorz Górny

Kup

ubezpieczenie

OC

już od 376 zł rocznie!

w rewelacyjnej cenie!

LINK4



Sprawdź

22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj Agenta

Cena zależna od wielu zmiennych. Składka 376 zł: na dzień 6.09.19 r., kierowca 55 lat, prawo jazdy 33 lata, pow. myślenicki, historia ubezp. pow. 4 lat, brak szkód. FIAT Seicento 0.9 Kat 2000 rok. Sprawdź swoją cenę. Szczegółowe informacje oraz wyłączenia odpowiedzialności znajdziesz w OWU na www.link4.pl

REKLAMA

eprasa.pl 8c095ff059

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Salto mortale pt. „Polexit”



Jan Pietrzak

Totalna opozycja otrzymała polecenie nieustannego wmawiania, wręcz wciskania nam ochoty na opuszczenie Unii Europejskiej, czyli wykonania salto mortale pt. „Polexit”. Prezydent i rząd zdecydowanie mówią, że to bzdura, a oni swoje. Padający przy tej okazji przykład brexitu jest bałamutny. Anglicy mają kompletnie inną historię, wyspiarskie położenie, a przede wszystkim nie mają z dwóch stron agresywnych sąsiadów, którzy przez stulecia napadali na Polskę, by nas okradać, wyzyskiwać, niszczyć. Mieli też Brytole dużo więcej czasu, by zweryfikować funkcjonowanie wspólnoty europejskiej.

My po 15 latach oswajania się z brukselską biurokracją mamy szansę wykorzystać stowarzyszenie 27 państw dla poprawy naszej sytuacji. Są wady, ale są i zalety. Kiedyś być może nadejdzie czas refleksji, ale nie teraz, kiedy życzy sobie tego Kidawa, która w każdym wystąpieniu grozi rozwodem. Sondaże podają, że 80 proc. społeczeństwa dobrze ocenia nasz udział w UE. Natomiast Tusk marzy, że będzie „wypierpol”. Nie dostrzega, że nadciąga „wypiertusk”.

Trwa zakrojona na szeroką skalę kampania psychologii społecznej, jak się mówi kolokwialnie, „wmawianie dziecka w brzuch”. Ciekawe, który sztab wyborczy tym kieruje, bo raczej nie sztabowcy Kidawy. Oni zajmują się przede wszystkim tym, co chlapnie kandydatka, jaki lapsus jej się wypsnie i jak to zagdakać...

Nadrzędny sztab totalnej opozycji ogarnia dużo większe obszary, strefy i kasty, a także większość mediów w Polsce. Należy przypominać, że bezkarnie funkcjonują na naszej suwerennej ziemi media zdecydowanie wrogie Polsce niepodległej, podpowiadające odbiorcom szkodliwe pomysły i rozwiązania. Jest to relikt okrągłego stołu prawdopodobnie. Podobnym reliktem jest łobuzeria, która przeszkadzała prezydentowi Dudzie przemawiającemu w Pucku. Z okazji narodowego święta 100-lecia zaślubin Polski z morzem. Żałosne resztki niegdysiejszego KOD z tej okazji urządziły seans wycia, wrzasku, obelg... À propos, osławiony obrońca demokracji Kijowski podobno został fryzjerem. Będzie golić na glacę, strzyc pod garnek Farmazona i Niezgułę oraz myć codziennie głowę Jandy, która, jak sama z uporem twierdzi, ma na...ane. Nie ona jedna ma narobione.

Dokopać się do autentyczności

*Z aktorką **Emilią Komarnicką-Klynstrą** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Czy jest możliwe zdobycie recepty na miłość?

Emilia Komarnicka-Klynstra: Wszyscy zakochani odpowiedzą, że tak. Z tym że każdy ma swój przepis, bo każdy czego innego potrzebuje.

Jaki sposób na bycie razem znaleźli bohaterowie najnowszej premiery Teatru TV?

Autentyczność, która w naszym plastikowym, instagramowym świecie zasłaniana jest ekranami komórek i wszechobecną kreacją na własny temat. Budujemy siebie przez słowa wypisywane w portalach społecznościowych, jakbyśmy uważali, że jesteśmy ciekawi tylko wtedy, gdy uda się nam pokazać coś wyjątkowego (oby wartościowego). Często ma to jednak niewiele wspólnego z prawdą. Bohaterowie spektaklu też zaczynają od projekcji, jednak siła miłości pomaga im zrzucić pancerze i dokopać się do autentyczności. Znajdują w sobie odwagę, by pokazać się drugiej osobie takimi, jakimi są naprawdę.



Fot. Podlewski/AKPA

To bohaterowie spektaklu „Duet, czyli recepta na miłość”, a jaka jest dziś serialowa dr Agata? I czy na dobre i na złe wróciła do Leśnej Góry?

Trudno to nazwać powrotem, bo dwa lata nieobecności sprawiły, że i moja bohaterka, i szpital są już całkiem inne. Z innymi ludźmi, z bagażem ich doświadczeń... Dla Agaty, i dla mnie trochę też, to nie powrót, a raczej nowe rozdanie.

Gdzie jeszcze możemy panią oglądać?

W Teatrze Ateneum, do którego serdecznie zapraszam na thriller „Łowca”, i do Mazowieckiego Instytutu Teatralnego na „terapię” dla par, czyli spektakl „Małe zbrodnie małżeńskie”.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Natura kasty



Ktoś, kto za lat 50, a może tylko 30 nachyli się nad gorącym, dzielącym dziś Polaków sporem prawno-politycznym, przeżyje nie lada zdumienie. Na pozór jego uczestnicy podzielają bowiem podstawowe zasady, które regulują nasz ustrój. Obie strony opowiadają się za demokracją konstytucyjną i rządami prawa, a jednak...

Nie ukrywam, że w konflikcie tym przynależę do jednej strony, dodać mogę, że byłem w nim, zanim jeszcze rozpalił on zbiorową wyobraźnię. Od blisko 20 lat dowodzę, że III RP to nie państwo prawa, ale prawników, co stanowi zasadniczo inny model. Dlatego zastanawiam się, co powoduje, że duża grupa ludzi zawodowo zajmujących się prawem prezentuje tak sprzeczne wewnętrznie poglądy.

Sędziów popiera spora grupa Polaków. Dużym zbiorowościom, zwłaszcza przy obecnych, marketingowych technikach, łatwo narzucić określone, bezdyskusyjne wyobrażenie rzeczywistości, które zostanie przez nią uwewnętrznione. Jego zmiany nie uda się osiągnąć drogą argumentacji. Gdyż wizja ta, kreowana przez powołanie wroga, apeluje do odruchów, a nie rozumowania. Strategia zohydzania PiS, a więc tradycyjnej polskości, łączona jest z postawami aspiracyjnymi: oni są ci gorsi, gorzej wykształceni, ze wsi i mniejszych ośrodków, jako ich przeciwnik należę do lepszych. Strategia wzmacniana jest chwytliwymi, choć nieprzystającymi do rzeczywistości analogiami. Np. w PRL politycy rządzili sądami, powrót do tego stanu rzeczy jest powrotem do komunizmu. To, że jesteśmy w radykalnie innych warunkach i nie chodzi o rządzenie, ale o element kontroli i równowagi, wymaga już myślenia.

Istotny jest jeszcze jeden czynnik. Żyjemy w świecie, w którym kwestionowane są wszelkie utrwalone przez tysiąclecia porządki cywilizacyjne. A dla ludzkiego myślenia i działania niezbędne są punkty oparcia. Toteż budowane są substytuty religijnych i etycznych zasad. Z jednej strony mamy emancypować się od idei sprawiedliwości, z drugiej – przyodzianego w togę sędziego mamy traktować jako jej emanację. Niespójne? Taki jest nasz świat.

Czy mechanizmy te wystarczą do opisu postawy samych prawników? Wprawdzie bronią porządków, które dają im władzę i przywileje, ale ludzie potrzebują w miarę logicznego porządku uzasadnień zwłaszcza w dziedzinie, którą zajmują się zawodowo.

Jak więc godzą fundament ustroju, czyli równość wobec prawa, z pozycją sędziów, którzy równości tej nie podlegają?

Jak łączą jedną z najstarszych reguł sprawiedliwości, która mówi, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie, z pełnym zawłaszczeniem przez korporację sędziowską jej instancji dyscyplinującej?

Jak postrzegają równowagę władz, uznając, że sędziowie powinni orzekać w sprawach władz innych, a do ich dziedziny nikomu wtrącić się nie wolno?

Nie ma sensu wyliczać faktów, które ilustrują ten stan rzeczy. Przypomnę mało znaczący, ale wymowny. Sędzia Juszczyszyn ponaddwukrotnie przekroczył dozwoloną na terenie zabudowanym prędkość, za co zwykłemu obywatelowi natychmiastowo odebrane zostałoby prawo jazdy. Nie poniósł żadnych konsekwencji. Tzw. sąd dyscyplinarny – owszem funkcjonowały takie przed reformą, ale wybierane były wyłącznie przez sędziowski establishment – nie trudził się znalezieniem jakichkolwiek okoliczności łagodzących czy usprawiedliwień. Uniewinnił kolegę, dowodząc, że w żadnym wypadku nie jest on równy wobec prawa, a niekontrolowany przez nikogo organ korporacyjny stał się zaprzeczeniem funkcji dyscyplinarnej, dla której został powołany. Czy należy się więc dziwić, że Juszczyszyn stał się dziś twarzą walki z sądem dyscyplinarnym?

Określenie „kasta", jak jedna z przedstawicielek korporacji sędziowskiej sama ją nazwała, jest niezwykle trafne. W tradycyjnych społeczeństwach podział taki wypływał z religijnie zakorzenionego ładu świata. Okazuje się jednak, że brak metafizycznego uzasadnienia nie zmienia podejścia przedstawicieli kasty najwyższej do swojej pozycji. Sędziwie w III RP jak bramini uznają się za właścicieli prawa. Powołują się na konstytucję, ale kiedy zwolennicy reformy wskazują, że trzymają się jej litery, odpowiadają, że czytać potrafią ją wyłącznie „autorytety" prawnicze. Autorytety to ci, którzy podzielają pogląd o nadrzędnej pozycji kasty. Toteż jej obrońcy powoływać się będą na szczególne umocowanie Trybunału Konstytucyjnego do momentu, kiedy obsadzony jest przez ich przedstawicieli. Kiedy, zgodnie z prawem, wybrany zostanie do niego kto inny, odmawiają mu znaczenia i prestiżu.

Ich liderzy widzą niekoherencję tych postaw. Usprawiedliwiają ją wyższą koniecznością. „Taka jest potrzeba" – mówi prof. Rzepliński. Co by się mogło stać, gdyby kasta utraciła swoją pozycję?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8c095ff059

OGNIEM NA WPROST

Ciamciaramcia Giertych



Jak poinformował Norsk Rikskringkasting (NRK) – norweski publiczny nadawca radiowo-telewizyjny – na terenie największego w stolicy kraju meczetu, czyli Centrum Islamskiego Tawfiiq, doszło do zażartej bójki między dwiema kobietami. Przed obliczem Allacha naprzeciwko siebie stanęły dwie „zawodniczki" wagi lekkopółśredniej. Jedna w sile wieku (po trzydziestce), druga startująca już w lidze „old girls" – po pięćdziesiątce. Do starcia doszło w sali wydzielonej dla kobiet, bez udziału publiczności męskiej. Walkę rozpoczęła młodsza i od razu nastąpiło zwarcie. Przeciwniczki nie wdawały się w niuanse. Wybrały wolnoamerykankę – styl znany również pod nazwą „american wrestling". Zwyciężyło doświadczenie. Błyskawicznym kłapnięciem zębów zawodniczka w wieku balzakowskim obezwładniła młodszą przeciwniczkę, odgryzając jej palec. Mimo zdobycia tytułu mistrzowskiego meczetu Tawfiiq we wrestlingu, kobietę zatrzymano na komisariacie i oskarżono o spowodowanie obrażeń ciała. Przeciwniczka trafiła do szpitala. Nieznany jest powód sprzeczki. Dochodzenie trwa.

Mecenas Roman Giertych coraz bardziej upodabnia się do wesołego Romka z filmu Barei. Do tej pory czynił to na niwie polityki, do której ciągnie go niczym narkomana do strzykawki. Człowiek musi przeżywać swoiste piekło, jak każdy, który bardzo chce, ale nie może tego dostać. Jednak nie składa broni i cały czas próbuje się popisać przed tymi, których kiedyś ochrzcił mianem „ciamciaramcia". Ostatnio postanowił znowu zabłysnąć efektownym wystąpieniem i „pociągnąć łacha" z Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Wydawałoby się, że numer się uda, wlepią mu karę finansową za obrazę wymiaru sprawiedliwości, której nie zapłaci. Potem odsiedzi tydzień i będzie chodził w glorii kolejnego „męczennika", którego przygniata pluszowy krzyż. Jednak i ten numer mu nie wyszedł. Pomyliło mu się. Skwitował to krótko Robert Smoktunowicz – prawnik i adwokat, niegdyś senator Platformy Obywatelskiej, pisząc: „Chciał bardzo zostać więźniem reżimu PiS, a tymczasem pomylił karę karną grzywny (areszt) z karą porządkową (komornik). Powodzenia. To już pajac, nie adwokat" – skwitował Smoktunowicz. Jednym słowem – Giertych łaski nikomu nie robi, jak nie zapłaci, przyjdzie komornik i mu ściągnie. A z pudła nici. Stanowczo prostsze formy protestu, jak podskakiwanie na manifestacji kodziarzy, wychodzą mu znacznie lepiej.

Profesor filozofii kontynentalnej Patricia MacCormack z Anglia Ruskin University nie dość, że jest weganką i feministką, to jeszcze uważa się za „okultystyczną księżniczkę". Jakby tego było mało, to podczas swoich wykładów wychodzi wystylizowana na obrzydliwą wiedźmę. W swojej wydanej niedawno książce „The Ahuman Manifesto: Activism for the End of the Anthropocene" (Nieludzki manifest. Aktywizm na rzecz kresu antropocenu) postuluje, żeby ludzie całkowicie ustąpili zwierzętom. Do swoich poglądów doszła poprzez zainteresowanie feminizmem i tzw. teorią queer, by następnie poprzez tzw. prawa reprodukcyjne, czyli prawo do aborcji, ostatecznie dojść do zajęcia się „prawami zwierząt" i praktykowania weganizmu oraz do odrzucenia religii. To wszystko oczywiście w ramach troski o ocalenie planety. Jedno trzeba jej przyznać – trafnie sformułowała tytuł swojego dzieła. A ja się spytam: po co ocalać Ziemię, skoro tacy ludzie jak MacCormack chcą na niej zrobić piekło.

Szef resortu obrony Mariusz Błaszczak zwrócił się z apelem do rodaków, żeby w kwietniu i w maju „nie stresowali" się tym, że wojska będą przerzucane z jednego krańca Polski na drugi. Chodzi o ćwiczenia Defender-Europe 20, czyli o największe manewry od ćwierćwiecza w Europie. Weźmie w nich udział 37 tys. żołnierzy, w tym 20 tys. ze Stanów Zjednoczonych. Ponieważ polska sieć drogowo-kolejowa jeszcze nie spełnia wymogów nowoczesnego państwa, przemieszczanie się wojsk w tę i z powrotem stanowi jedno z poważniejszych wyzwań stojących przed NATO. W związku z tym apel ministra obrony powinien się spotkać z życzliwym przyjęciem, ponieważ chłopaki wreszcie wzięli się do roboty.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8c095ff059

Pochwała kaligrafii



Marta Kaczyńska-Zielińska

Pismo jest owocem intelektualnej ewolucji człowieka, od wieków służy do wyrażania myśli i komunikowania się. Zanim stworzono alfabety i znaki, przekazywano sobie informacje za pomocą obrazków, symboli oraz środków mnemotechnicznych. Obecnie używamy pisma fonetycznego, którego poprzednikami było pismo analityczne, ideografia i najstarsza – piktografia.

Powszechne używanie komputerów, tabletów i smartfonów powoduje, że coraz rzadziej piszemy odręcznie, a nasze wypowiedzi często ograniczają się do równoważników zdań pozbawionych znaków interpunkcyjnych i wielkich liter, wzbogaconych ikonkami, które ułatwiają wyrażanie emocji i uczuć. Bywają zabawne, ale wyręczają też w konstruowaniu złożonych wypowiedzi, uniwersalizują i spłycają przekaz. Nauczyciele posiadający staż pracy pozwalający na porównanie uczniów korzystających z elektronicznych narzędzi z tymi, którzy samodzielnie sporządzali notatki i pisali egzaminy, zwracają uwagę na różnicę w możliwościach przyswajania wiedzy na korzyść tych ostatnich.

12 lutego był Ogólnopolskim Dniem Pisania Piórem, mającym na celu propagowanie tradycyjnej formy zapisu. Okazuje się bowiem, że pisanie odręczne to wyjątkowo pożyteczna czynność umysłowa, o bardziej złożonym charakterze, niż mogłoby się wydawać. Zapisując treść na kartce, musimy skoordynować znacznie więcej funkcji niż wtedy, gdy stukamy w klawiaturę. Naukowcy udowodnili, że podczas odręcznego pisania obszary mózgu odpowiadające za funkcje sensomotoryczne, tj. interpretację wrażeń dotykowych oraz ośrodek Broki odpowiedzialny za przetwarzanie słów, pracują znacznie intensywniej niż w czasie, gdy korzystano z klawiatury. Pisanie za pomocą piór i długopisów sprawia, że myślenie staje się bardziej uporządkowane poprzez aktywizację umiejętności niezbędnych do rozwoju myślenia abstrakcyjnego, symbolicznego, przyczynowo-skutkowego oraz sekwencyjnego. Pisanie kształtuje zatem umysł i odzwierciedla jego indywidualne cechy.

Pisanie ręczne sprzyja koncentracji i – co ciekawe – pobudza mózg w ten sam sposób co gra na instrumencie, stymulując czołowy płat kory mózgowej. Zapisywanie na kartce ułatwia zapamiętywanie. Nauka przysparza mniej kłopotów i przynosi lepsze efekty tym dzieciom, które sprawnie posługują się pismem. Wypracowania napisane odręcznie charakteryzuje większe wyczucie formy, są ciekawsze, barwniejsze i zawierają bardziej wyszukane słownictwo niż te, które zostały przygotowane z użyciem komputera. Nauka języków obcych przebiega zaś znacznie sprawniej, gdy sporządza się notatki. Zdolność pisania wpływa również na umiejętność czytania, usprawniając proces rozumienia tekstu.

Według naukowców istotne jest nie tylko pisanie odręczne, lecz także to, czy łączymy litery. Ta ostatnia czynność ma podobno niebagatelne znaczenie w pokonywaniu powszechnie występujących dziś wśród dzieci i młodzieży zaburzeń czytania i pisania (dysleksji). Pisanie prac na komputerach przez dyslektyków tylko utrwala ich problemy. W wielu państwach nauka pisania w szkole opiera się jednak na literach przypominających te drukowane, a nie kursywę. W fińskich szkołach naukę pisania zastępuje się zaś podobno zajęciami plastycznymi i robótkami ręcznymi, które mają rozwijać zdolności manualne uczniów. Podobnie dzieje się w Japonii, gdzie dzieci kształci się w szybkim pisaniu na klawiaturze.

Są jednak kraje, w których jednak dostrzeżono problem. W ostatnim czasie w Niemczech zorganizowano akcję, której celem ma być wprowadzenie w ciągu najbliższych lat programu wspierającego pisanie odręczne wśród małych dzieci i młodzieży. W wielu stanach USA przywracane są obowiązkowe lekcje kaligrafii. W Polsce od niedawna popularne stały się zajęcia kaligrafii dla osób dorosłych, a także publikacje do nauki pisania w różnych stylach. W internecie istnieją społeczności pasjonatów pisania odręcznego. Dla osób dorosłych kaligrafowanie to forma relaksu sprzyjająca wyciszeniu, stabilizacji oddechu, koncentracji i kreatywności, do której niezbędny jest spokój.

Wyrazy szczerego współczucia i słowa wsparcia

z powodu śmierci

MAMY

Michałowi Szeleźniakowi

składają

koleżanki i koledzy z Apelli S.A.

25/0220/F

eprasa.pl 8c095ff059



Walizka Marii Niklińskiej

aktorki, piosenkarki

Podróże są dla mnie bardzo ważne, nie tylko te fizyczne, gdy jeżdżę po kraju z miasta do miasta ze spektaklem, ale również te wewnętrzne: kiedy my się zmieniamy, kiedy dojrzewamy albo gdy sprawdzamy siebie w nowych okolicznościach. O tym też napisałam w najnowszej piosence, o podróży w głąb siebie.



KSIĄŻKI

Zawsze zabieram książki w podróż, bo mam mało wolnego czasu. Z teatrem właściwie codziennie jestem w innym mieście i czy to jest jazda pociągiem czy samochodem wykorzystuję ten czas na lekturę.

ZDJĘCIE BABCI

Jestem bardzo rodzinną osobą, mocno związaną z dziadkami. Babcia Maria była silną kobietą realizującą się na wielu polach. To po niej odziedziczyłam energię do działania. Ona jest moją inspiracją.





SZPILKI

Na co dzień chodzę raczej sportowo ubrana, ale czasem lubię poczuć się bardziej kobieco.

PŁYTA

Podczas pisania nowych piosenek lubię wracać do swoich nagrań. Słowa piszę wszędzie i na wszystkim – w notesie, na serwetce, na kawałku gazety czy w komórce.





SCENARIUSZ

Czas podróży to także okazja do przygotowań do roli. Obecnie przymierzamy się do spektaklu na podstawie tekstu Agnieszki Osieckiej pt. „Apetyt na czereśnie", który był wystawiany w 1975 r. przez Teatr Telewizji z Krystyną Sienkiewicz i Piotrem Fronczewskim w rolach głównych. Choć upłynęło kilka dekad, sztuka dzięki błyskotliwym dialogom i lekkiemu humorowi nic nie straciła na atrakcyjności i wierzę, że zostanie ciepło przyjęta przez widzów.

eprasa.pl 8c095ff059



CZERWONA MARYNARKA

Czerwony jest moim ukochanym kolorem i dla mnie jest symbolem uczuć. Ciekawostka polega na tym, że w tej marynarce wystąpiłam w teledysku do piosenki „Make it", który zwiastuje mój nowy projekt muzyczny Marlene.





SKARPETY

Choć jestem ciepłolubna, kocham zimę i góry. Dlatego zawsze muszę mieć ze sobą ciepłe, góralskie skarpety.

SZMINKA

Nie siedzę godzinami przed lustrem i rzadko stosuję duży makijaż, ponieważ lubię naturalność. Dlatego szminka często mi wystarcza.





SŁODYCZE

Uwielbiam czekoladę. Zawsze w podróż zabieram tabliczkę, która podczas lektury nie wiem kiedy znika.

PIERŚCIONEK

Sentymentalna pamiątka rodzinna. Pierścionek po prababci dostałam od mojej mamy na 18. urodziny. Przy ważniejszych okazjach, takich jak premiera czy koncert, lubię mieć go przy sobie.



Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Kto w Sejmie depiluje nogi



Dominik Zdort

Uwielbiam sensacyjne informacje o tym, jak niefrasobliwie władza wydaje „nasze pieniądze". Tabloidy wyciągają, a media opozycyjne – różne, w zależności od tego, kto aktualnie jest w opozycji – nagłaśniają rachunki i bulwersują się, groźnie pohukując.

No choćby takie jak ubiegłoroczne, sejmowe wydatki. Proszę sobie wyobrazić, że ten bezczelny parlament wydał pieniądze na unowocześnienie swojej siłowni. W ciągu roku poszło 5 tys. zł dla sportowca, który pomagał posłom w treningach i 6 tys. na pensję ratownika, który pracował na sejmowym basenie. Ktoś mógłby zapytać: co to za ratownik za 500 zł miesięcznie, co to za trener za 416 zł brutto? Ktoś mógłby dodać, że akurat dbałość o krzepę posłów powinna być godna pochwały. No cóż, łatwiej się oburzać.

A jeszcze bardziej skandaliczne jest to, że za 21 tys. zł założono klimatyzację w sejmowym barze „za kratą". Czy ktoś przypomina, że w epoce wysokich temperatur (niektórzy ideolodzy nazywają ją „globalnym ociepleniem") właściwie każda przyzwoita knajpa w stolicy jest już klimatyzowana? Czy komuś przychodzi do głowy, by twierdzić, że posłowie powinni mieć przyzwoite warunki pracy? Nie żartujmy, co to za argument. Niech się pocą w zaduchu, w końcu za to im płacimy.

Najstraszliwszy jest jednak remont sejmowego salonu fryzjersko-kosmetycznego, który pochłonął sto kilkadziesiąt tysięcy złotych. Populiści woleliby pewnie, żeby posłanki i posłowie wyglądali jak ich idol Mateusz Kijowski i chyba wkurza ich to, że politycy mogą, nie wychodząc z pracy, umyć włosy, ostrzyc się, ogolić i – za przeproszeniem – wydepilować nogi. Więc się zżymają na sejmowego fryzjera. Dorzucają co prawda, że za wizyty w salonie parlamentarzyści muszą płacić z własnej kieszeni, ale gdy podają tę informację, czuć nutę zawodu. Bo tym razem nie ma się na co oburzyć.

Od lat piszę o tym, że ludzie władzy (niezależnie od tego, kto ją akurat sprawuje) powinni mieć jak najbardziej komfortowe – ponadstandardowo – warunki pracy. Nie dlatego, że są najmądrzejsi na świecie i najuczciwsi, bo czasem nie są. Nie dlatego nawet, że otrzymali mandat do sprawowania władzy od narodu. Ale dlatego, że są jak chirurdzy pochyleni nad pacjentem podczas operacji serca. Każdy ich drobny błąd, każde drgnięcie dłoni, to czasem nieprzewidywalne skutki dla całego państwa, dla losów narodu.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 8c095ff059

RZECZY POSPOLITE

Skorzystajmy z okna



Tomasz Łysiak

Zaskakujący jest dla mnie ów nikły poziom zainteresowania sprawą koronawirusa COVID-19 w polskich mediach. Piszę nikły – gdyż w porównaniu z prasą włoską, francuską, brytyjską czy amerykańską, nasze dzienniki, tygodniki i telewizje poświęcają epidemii, owszem, trochę miejsca, ale ciągle nie nadają jej pierwszoplanowej pozycji.

Tymczasem dzienniki włoskie praktycznie w każdym wydaniu zasilają czytelnika w wiedzę oraz raportują o kolejnych wydarzeniach na wielu stronach, a chiński „coronavirus" jest absolutnym topem informacyjnym, przykrywając wszystko inne. Jest tu wiele ciekawych wątków. WHO alarmuje, by „świat się obudził", ostrzega, że los dał nam jeszcze „okienko możliwości" – czas pomiędzy tym, co się stało w Chinach, a ewentualnym rozprzestrzenieniem się choroby na innych kontynentach.

Czy czujność usypiają takie przypadki, jak SARS czy MERS, które mogliśmy obserwować z daleka i w praktyce się nimi nie przejmować? Być może.

Ale proszę wziąć pod uwagę, że ten wirus zabił w ciągu dwóch miesięcy więcej osób niż SARS w trakcie dziewięciu miesięcy. W dodatku są to dane chińskie, które z wielkim prawdopodobieństwem można uznać za nieodpowiadające prawdzie. Jasne jest, że nie wszystkie wypadki są ewidencjonowane. Tymczasem same środki bezpieczeństwa, jakie podjęły Chiny, pokazują, że mamy do czynienia z wirusem bardzo niebezpiecznym. Widzimy relacje z pustych ulic miast, po których jeżdżą odkażające pojazdy, a ludzi siłą wywozi się do szpitali. Tam zresztą jest największe ryzyko zakażenia. Wirus może się przenosić drogą kropelkową na odległość dwóch metrów od osoby chorej, przetrwać do kilku dni na powierzchniach: klamkach, poręczach, włącznikach światła. Przedostaje się też przez oczy i tylko ściśle przylegające do twarzy maski, okulary, rękawiczki i odzież ochronna przed nim bronią. Do tego dochodzi okres inkubacji do 24 dni (!) i możliwość przeniesienia przez chorych „superroznosicieli", którzy nie mając jeszcze symptomów, mogą zarazić dziesiątki ludzi. Póki jest więc czas, może warto „się obudzić", skorzystać z „okna", jakie dał nam los i naprawdę dobrze się przygotować na ewentualny, zły rozwój wypadków. Lepiej dmuchać na zimne, niż potem żałować, że nie zrobiło się tego, co trzeba, gdy jeszcze było to możliwe.

Dzień pustaka



Piotr Cywiński

Ale się działo: odbyła długą dyskusję z Adele na temat butów, poznała też Rihannę, pobrała darmową lekcję tańca u Jaya-Z, została nakarmiona pizzą przez Charlize Theron, dodatkowo otrzymała spory komplement ze strony Beyoncé, która doceniła brokatowy garnitur Kingi – zrelacjonowała światu swój wyjazd na wręczenie Oscarów ona sama. I poszło w mediach, że aż...! „Jej impreza z największymi gwiazdami zyskała już olbrzymi rozgłos", zachłysnęła się Wirtualna Polska. Tylko to nazwisko Rusin, przez które magazyn „People" wziął ją za Rosjankę. Ruska nie ruska, ale się zadziało...

Tak się zadziało, że aż ją umęczyło i „gwiazda postanowiła ustosunkować się do tego na swoim profilu na Instagramie", doniosła Wirtualna. „Kochani, już nie mam siły odpisywać każdemu dziennikarzowi z osobna (od Polski po Nową Zelandię i Peru)", jęknęła, i dalej: „z oczywistych względów, nie będę udzielać wywiadów ani polskim, ani zagranicznym mediom na temat opublikowanego przeze mnie w poprzednim poście zdjęcia, które obiegło świat. Chowam go na razie do archiwum. To było szaleństwo, którego nie przewidziałam. Czas odpocząć i trochę się wyspać – w ciągu ostatnich dni spałam raptem parę godzin". W kwestii formalnej, tego zdjęcia, co „go schowała", miała z Adele. Aaa, plus-minus to samo napisała też po angielsku, „No, I will not give such interviews, for obvious reasons", bo wiadomo, ci ze świata, po Nową Zelandię i Peru...

Wyczerpana „gwiazda postanowiła też wyłączyć możliwość dodawania komentarzy pod najnowszym postem", dodała Wirtualna. Trochu mię to dziwiło, żeby wyłanczać, jak wszyscy chcom, po Nowom Zelandiem? Więc czytam, po kolei, czego chcom: „Kinga, ale kogo to obchodzi"/Alladyn, „Nie chce, ale się chwalę"/iwp, „Co za puste babsko"/marcinobserwator, „Drugi raz nie zaproszą nas wcale"/Adelajda, „Zniknij nachalna babo, mamy cię po dziurki w nosie"/marzena, „Wieśniactwo i pustactwo.pl"/wp.pl, „Kto to jest Kinga Rusin?"/mp3, itd., itp., w następnych 20 – więcej nie chciało mi się czytać, skoro podobne. Jak to, „kto to jest Kinga Rusin?". Toż to nie austriacka, nie kreolska, ale nasza, nasza polska gwiazda przecież! I była żona gwiazdora Tomasza Lisa, tego, co uważa, że ludzie są dużo głupsi, niż się wydaje.

Można rzec, niedaleko pada żona od męża, nawet była. Tylko dlaczego „postanowiła wyłączyć możliwość"? Wprawdzie Harold Ramis nie żyje, ale może ktoś inny by jej zaproponował główną rolę w filmie „Dzień pustaka". Może dostałaby za nią Oscara. I byłaby długa dyskusja o butach, i darmowa lekcja tańca, i pizza w Los Angeles...

eprasa.pl 8c095ff059

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

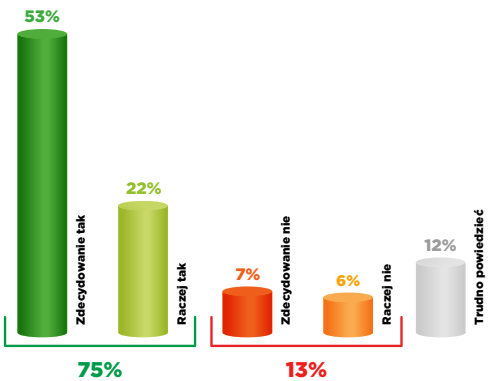
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, MARIUSZ GACZYŃSKI/EAST NEWS, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, TOMASZ PACZOS/FOTONOVA, ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER, ANDRZEJ WIKTOR, DPA PICTURE-ALLIANCE/AFP/EASTNEWS, SHUTTERSTOCK

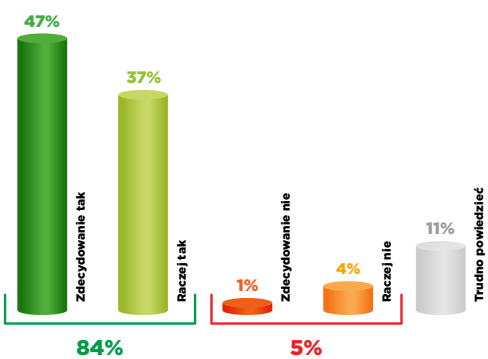
nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

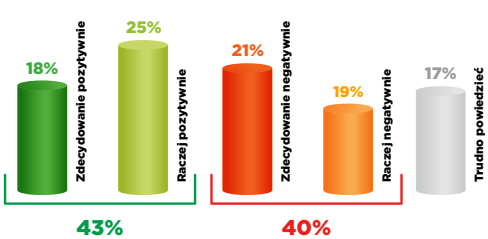
Czy zgadza się Pani/Pan z definicją małżeństwa, według której małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny?



Czy zgadza się Pani/Pan z twierdzeniem, że rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami?



Jak ocenia Pani/Pan zakup 32 myśliwców F-35 przez polski rząd za kwotę 4,6 mld dol.?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1080.

Zakres czasowy badania 1–4 lutego 2020 r.

eprasa.pl 8c095ff059



Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z sędzią ***dr. Maciejem Nawackim,*** *prezesem Sądu Rejonowego w Olsztynie, członkiem Krajowej Rady Sądownictwa, przewodniczącym komisji do spraw reformy wymiaru sprawiedliwości KRS*

Nie dam się złamać

eprasa.pl 8c095ff059



Fot. Andrzej Stwarczyński

Dlaczego pan to zrobił? Dlaczego podarł pan przedstawione przez sędziów projekty uchwał wspierających sędziego Juszczyszyna i atakujących reformę wymiaru sprawiedliwości? Zagrały emocje?

Maciej Nawacki: Nie jest to kwestia emocji. Był to wyraz mojej dezaprobaty dla treści zaprezentowanych chwilę wcześniej przez jednego z sędziów. Wykonywałem uchwałę Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, która zawiesiła sędziego Pawła Juszczyszyna w czynnościach. Taka uchwała, zgodnie z prawem, musi być bezwzględnie wykonana.

Co by się stało, gdyby pan tego nie zrobił?

Prezes sądu, który takiej uchwały nie wykonuje, powinien być pociągnięty do odpowiedzialności za ogólne przestępstwo urzędnicze, czyli z artykułu 231 Kodeksu karnego.

Sytuacja, w której sędzia zawieszony w czynnościach, wskutek zaniechania prezesa sądu, zostałby dopuszczony do orzekania, jest dla mnie niewyobrażalna. I teraz dochodzimy do tego apelu, który podarłem: było tam wezwanie mnie, bym zaniechał wdrażania uchwały Sądu Najwyższego! Czyli coś, co można odczytać jako wezwanie do popełnienia przestępstwa. Rozrywając proponowany tekst, chciałem pokazać, że są granice, których przekraczać nie wolno. Nikomu.

Ciekawe, bo w większości mediów czytamy, że to pan zawiesił prawo do orzekania sędziego Juszczyszyna. A to nie pan, tylko Izba Dyscyplinarna. Pan musiał decyzję wdrożyć?

Dokładnie. Jednak żeby uchwała Izby stała się efektywna, musi być wdrożona przez osoby uprawnione. Czyli sędzia zawieszony w prawie do orzekania musi mieć odebrane akta, jego sprawy przez losowanie trafiają do innych sędziów, nakłada się na takiego sędziego zakaz wstępu do sali sądowej, odbiera mu dostęp do systemu informatycznego. To wszystko jest regulowane przez prawo. I w sytuacji normalnej sędzia sam powinien zdać akta, klucze, nie przychodziłby do pracy. Tu zdecydowano się na demonstrację polityczną, musiałem więc sam zarządzić właściwe czynności. Ale starałem się to zrobić z szacunkiem – pan sędzia miał prawo wejść do pokoju, zabrać swoje rzeczy.

Przypomnijmy, że wcześniej w dość banalnej sprawie cywilnej uznał on innego sędziego powołanego przez nową Krajową Radę Sądownictwa za niemającego prawa orzekać.

Tak, i można powiedzieć, że podważając prawo do orzekania innego sędziego, przypisał sobie uprawnienia prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, który ma wyłączne prawo powoływania sędziów. To decyzja prezydenta rozstrzyga, czy ktoś sędzią jest, czy nie jest. W życiu widziałem wiele przypadków pychy, ale ten wydaje mi się szczególnie jaskrawy. Pytają panowie, czy sędzia Juszczyszyn został przez kogoś podpuszczony? Z tego, co wiem, jest kilku sędziów, którzy z radością go ku takim demonstracjom popychali, podpuszczali go. Wyczuli, być może, że rola sędziego celebryty przypadnie mu do gustu. Ale warto zauważyć, że sami tą drogą nie poszli, nie powtórzyli jego czynu. Wiedzą bowiem doskonale, że jest to działanie niezgodne z prawem i dla sędziego może się skończyć wydaleniem z zawodu.

> Mamy historyczną szansę zrobienia tego, co w 1989 r. zostało zaniechane: zbudowania sądownictwa, które nie będzie oderwane od obywateli, które zerwie z dziedzictwem komunizmu, które będzie sprawne i uczciwe

Ma pan żal do sędziego Juszczyszyna?

Jest mi przykro, że nie posłuchał moich napomnień, rad, by nie szedł tą drogą. Po tym, jak pan sędzia Juszczyszyn próbował podważyć prawo innego sędziego do orzekania, zarządziłem – jako prezes sądu – w listopadzie 2019 r. przerwę w czynnościach. Izba Dyscyplinarna wskazała wtedy, że jego zachowanie nie ma podstaw w prawie, nie ma podstaw także w orzeczeniu TSUE, wyjaśniła mu stan prawny. Zwracam uwagę: wtedy nie zawieszono go w czynnościach. Uznano, że

eprasa.pl 8c095ff059

może popełnił błąd, dano mu szansę wyjścia z tej sytuacji. Ale nie chciał słuchać, brnął dalej. Zlekceważył cofnięcie mu delegacji do Warszawy. Wszystko to spowodowało, że Izba Dyscyplinarna ostatecznie uznała, iż pan sędzia Juszczyszyn się nie pomylił, że działa świadomie, z premedytacją.

Skąd u niego ta chęć odegrania politycznej roli, celebryckości? Przecież te wyprawy do Sejmu, karanie szefowej Kancelarii Sejmu przypominały akcje polityków zabiegających o uwagę mediów.

Odnoszę wrażenie, że uległ atmosferze polityzacji, z którą zetknął się na demonstracjach, na które chodził, zachwyciło go poklepywanie po plecach przez część uczestników walki politycznej. Szkoda. Sędzia powinien być nieczuły na takie rzeczy.

Może jeszcze zawrócić z tej drogi?

Nie wiem. Jest w bardzo trudnej sytuacji. Obawiam się, że jego kariera jako sędziego może być skończona.

Może pan sędzia Juszczyszyn ucieka przed wyrzutami sumienia w sprawie rolnika, którego majątek, całe gospodarstwo rolne, wskutek jego decyzji, zlicytowano za zaledwie ok. 30 tys. zł?

Tu dochodzimy do tego, jak ważne jest sądownictwo dyscyplinarne sędziów. Jednym z elementów sędziokracji w Polsce była całkowita kontrola środowiska nad postępowaniami dyscyplinarnymi.

Ręka rękę myła?

Można tak powiedzieć. Środowisko trzymające rzeczywistą władzę w sądach mogło zainicjować kilka spraw dyscyplinarnych, pod byle pretekstem, wobec sędziego, który się ich nie słuchał, wykazywał oznaki niezależności. I tak bywało, były przypadki niszczenia uczciwych sędziów przed sądami dyscyplinarnymi. Z drugiej strony grupa ta mogła nawet przypadki oczywiste, bulwersujące, o których donosiły media, zamieść pod dywan, spowodować, by takiego sędziego nie spotkała żadna kara dyscyplinarna. Wprowadzone reformy zmieniają w tym systemie bardzo dużo. Wprowadzono niezależne od środowiska sądownictwo dyscyplinarne, na razie przede wszystkim na poziomie centralnym, mamy automatyzm przekazywania skarg. Wcześniej prezesi sądu oceniali, czy kierują takie pismo do dalszego rozpatrzenia. Dziś muszę je od razu przekazać rzecznikowi dyscyplinarnemu sędziów. Mamy niezależnych rzeczników dyscyplinarnych na kraj.

> Nieustannie apeluję do sędziów: nie wchodźmy w politykę, bo to jest koniec niezależności

Ta niezależność Izby Dyscyplinarnej przywoływana jest często jako jej słabość. Krytycy reformy pytają: dlaczego nie podlega I prezesowi Sądu Najwyższego? Skąd ten wyjątek?

Bo celem jej stworzenia było właśnie wyrwanie sądów dyscyplinarnych sędziów z zależności od środowiska sędziowskiego! Chodzi o to, by te mechanizmy wreszcie zaczęły działać.

Sędzia w ogóle, w żadnym wypadku, nie może kwestionować prawa innego sędziego do orzekania?

Tylko w bardzo precyzyjnie określonych przypadkach, kiedy na przykład nominacja sędziowska została wyłudzona, uzyskana szantażem, gdy doszło do fałszerstwa dokumentów, a sąd odwoławczy się o tym dowiedział. Można sobie coś takiego wyobrazić, choć jest to bardzo mało prawdopodobne.

Nie przekonuje pana prezesa argument, że władzę oceny prawa innych sędziów do orzekania nadał sędziom polskim najpierw wyrok TSUE, a następnie uchwała Sądu Najwyższego?

W orzeczeniu TSUE nie znajdziemy niczego, co by takie myślenie uprawniało. Sama Krajowa Rada Sądownictwa, której jestem członkiem, pozytywnie się o nim wyraziła w swojej uchwale. Tam były same oczywistości. Na przykład, że nie ma jednego europejskiego modelu sądownictwa, można go zatem na poziomie państw narodowych kształtować. Podkreślono, że nie można kwestionować uprawnienia prezydenta do powoływania sędziów, a badać można jedynie okoliczności, które pojawiły się po nominacji sędziowskiej. Takie jak uleganie przez sędziego szantażowi, korupcji, orzekanie wobec członka rodziny i ukrywanie tego faktu. TSUE stwierdził też, że tego rodzaju wątpliwości może badać sąd, który wystąpił z pytaniem, ale w konkretnych sprawach. A zatem orzeczenie TSUE w żaden sposób nie kreuje polskiego prawa, nie zmienia go.

Nie było zatem nawet furtki, przez którą Sąd Najwyższy mógłby się wepchnąć ze swoimi próbami przejęcia uprawnień Sejmu, prezydenta, Trybunału Konstytucyjnego?

Nie było. Sąd Najwyższy stwierdził, że takie uprawnienia nadał mu TSUE. Ale w tym orzeczeniu nie ma nawet słowa o czymś takim. Orzeczenia TSUE nie tworzą prawa.

To, co zrobił Sąd Najwyższy, to zamach na polską praworządność? Próba zmiany ustroju Rzeczypospolitej Polskiej?

Nie używam aż tak mocnych słów, ale bez wątpienia mamy do czynienia z istotnym sporem ustrojowym. I ten spór wcale nie zaczął się teraz. Trwa w praktyce od momentu, w którym podważono próbę ustanowienia sądu lustracyjnego w Polsce.

Ależ to było w roku 1997!

Tak, ale chodziło o to samo. Przypomnę, że prawomocną ustawą stworzono wtedy sąd lustracyjny, do którego mieli się zgłaszać sędziowie chętni do orzekania w takich sprawach. Okazało się jednak, że takich sędziów nie ma. Ostracyzm w środowisku spowodował

eprasa.pl 8c095ff059

zablokowanie procesu lustracyjnego i konieczne były modyfikacje ustaw, by to w ogóle ruszyło. To był początek tej walki, która sprowadza się do prostego pytania: „Czy sąd i sędzia są uprawnieni do kontroli legalności prawa stanowionego przez parlament?". Inaczej mówiąc: czy obowiązuje nas jeszcze monteskiuszowska zasada podziału władz, wedle której sędzia jest tylko ustami prawa, czy też ma już prawo badać i zmieniać samo prawo? Ukuto nawet termin „dikastokracja" – rządy sędziów.

I pan, jako sędzia, nie chce takiej sędziokracji? Nie życzy sobie rządów sędziów?

Nie życzę sobie, bo wiem, co to oznacza dla obywateli: bardzo poważne ograniczenie demokracji i wolności. Mimo wyborów, całego procesu tworzenia prawa w takim systemie i tak na końcu o tym, co jest prawem, a co nim nie jest, decydowałaby dowolnie bardzo wąska grupa najważniejszych sędziów. To byłby koniec demokracji, zostałyby z niej tylko rekwizyty. Pełnia władzy wpadłaby w ręce grupy, której nikt nie wybiera, nikt nie kontroluje.

Ale pan też kiedyś brał udział w sędziowskich protestach?

Tak, w latach 2008–2009, kiedy sędziowie starli się w sposób dość ostry z ówczesną władzą. Chodziło o podwyżki, które miały wejść w życie, ale po zmianie rządu ustawa to przewidująca została skasowana. Wtedy ruszyła fala protestów sędziowskich. Także wiem, jak takie akcje są animowane, jak to działa. Pamiętam na przykład, że jedną z zastosowanych wówczas metod protestu była próba bojkotu udziału w komisjach wyborczych, co wysadza w powietrze cały proces wyborczy. Dziś uważam to za duży błąd i działanie niedopuszczalne.

To dobry moment, by zadać pytanie o pana ocenę kondycji środowiska sędziowskiego. Gdzie są źródła tego przekonania, że niektóre grupy sędziowskie mogą rozszerzać swoje uprawnienia, rozpychać się, próbować ograniczać inne władze wbrew ustawom i konstytucji?



Fot. Andrzej Skwarczyński

To nie jest tylko polska specyfika, w innych państwach sędziowie też próbują sięgać po nienależną im władzę. To jest część szerszego procesu nazywanego alienacją władzy; świetnie opisał to Jan Baszkiewicz w książce „Władza". To teoria, w praktyce wygląda to w ten sposób, że różne zgromadzenia sędziowskie, rozmaite stowarzyszenia prawnicze domagają się, by zmiany w prawie, na przykład reforma sądownictwa, były z nimi uzgadniane. Nasza konstytucja, do której można mieć zastrzeżenia, ale jednak obowiązuje, w żadnym momencie o czymś takim nie wspomina, ale grupy te uważają się najwyraźniej za jakieś kluczowe organy państwa.

Tu często pada argument, że to reakcja na doświadczenia XX w. z systemami totalitarnymi: demokracja może być niebezpieczna, władza musi być ograniczana, trzeba zatem wszystkim nakładać kagańce.

I my mamy te ograniczenia narzucone w polskiej konstytucji, na przykład poprzez Trybunał Konstytucyjny. Ale ryzyko związane z obserwowanymi w Polsce działaniami niektórych grup sędziowskich zawiera się w czym innym. Otóż odejście od przestrzegania litery prawa, przepuszczanie wyroków i decyzji sądowych przez filtr ideologiczny, dowolność rozstrzygnięć, żonglowanie pojęciami prowadzi do nadużywania władzy. Tak właśnie w okresie komunizmu zatruto zasady odziedziczone po II Rzeczypospolitej: przepuszczono wszystko przez filtry ideologii komunistycznej, marksizmu, nadano słowom, pojęciom nowe znaczenia i wyszedł z tego koszmar niemający nic wspólnego z praworządnością.

O to komunistom chodziło.

Podobnie było też w III Rzeszy. W książce Huguesa Rabaulta „Granice wykładni sędziowskiej" przeczytałem historię sprawy, którą w sądzie pracy wniósł obywatel niemiecki narodowości żydowskiej, zwolniony z tego tylko powodu z pracy. I sędzia uznał, wbrew jednoznacznym zapisom prawa zakazującym dyskryminacji z powodu narodowości, że musi on uwzględniać ideologię narodowo-socjalistyczną, która Żydom jako nieludziom nie przyznaje praw obywatelskich. Nie porównuję nikogo do nazistów, ale wskazuję, jakie ryzyko wiąże się z przyznaniem sobie przez sędziów władzy kwestionowania prawa zgodnie z własnymi przekonaniami. Jest zatem odwrotnie, niż się głosi: to nie władza wykonawcza dokonuje zamachu na sądownictwo, ale władza sądownicza próbuje przejąć uprawnienia władzy wykonawczej i ustawodawczej.

Jest tu w tle jakiś spór ideowy?

Musimy pamiętać, że nasza konstytucja, cały nasz ład państwowy, są oparte na katolickiej nauce społecznej i ordoliberalizmie. I tam nie znajdziemy zasady, że władza przechodzi od obywatela do sędziego. Sędzia jest

eprasa.pl 8c095ff059

mimo wszystko ustami ustawy, on nie kreuje prawa.

Jakie znaczenie dla tych sporów o kształt sądownictwa ma dziedzictwo komunizmu?

Ogromne. Możemy czytać piękne książki o tym, jak dzielni byli sędziowie w okresie PRL, ale nie jest to obraz – biorąc pod uwagę całość – prawdziwy. To bardzo często było kolejne ramię władzy komunistycznej, bezwzględnej i okrutnej. Ten system w roku 1990 przemalowano, nadano nowe szyldy i w całości przeniesiono do III RP. W wolnej Polsce pozwolono środowisku sędziowskiemu na samopowielanie – osoby, które w nim wcześniej funkcjonowały, dopuszczały do zawodu, do orzekania osoby dobierane wedle własnych reguł, głównie towarzyskich. Im wyżej w hierarchii, tym ta zasada była silniej przestrzegana. Bo tu trzeba wyraźnie podkreślić, że zawsze byli ci od ciężkiej roboty, często przeładowani sprawami, i ci, którzy byli przeznaczeni, właśnie z racji tych układów, do sprawowania funkcji kierowniczych. Możliwości awansu nawet najzdolniejszego sędziego, jak to mówimy „liniowego", mającego najlepsze wyniki, były bardzo ograniczone. I to wszyscy w środowisku wiedzieli. Mówiło się też często o bizancjum stworzonym przez tę uprzywilejowaną grupę – mało pracy, duże profity, ogromna władza nad tym, kto awansuje. Używano też nazwy „spółdzielnia" na określenie systemu pozwalającego jednemu środowisku utrzymywać przez dekady władzę w ówczesnej Krajowej Radzie Sądownictwa. Wyborczy system kurialny doskonale to ułatwiał, cementował układ.

Kooptacja i reprodukcja systemu zapewniona na dekady?

Zostało to wszystko wyłączone z jakiegokolwiek mechanizmu demokratycznego, także samego środowiska sędziowskiego. To wielkie zaniechanie osób budujących wolną Polskę, trwające od roku 1989 do 2015.

My w tym właśnie widzimy źródło gromów, jakie na autorów zmian rzuca prof. Adam Strzembosz. Ilekolwiek by mówił bowiem, nie zmieni tego, że z zadania uwolnienia sądownictwa z koszmaru komunizmu się nie wywiązał. Polacy do dzisiaj płacą za to cenę.

Przemalowano szyldy i tyle. Kadry, które w 1989 r. rządziły w sądownictwie, dostały prawo nieograniczonej reprodukcji.

Oczekiwanie zwykłych sędziów liniowych na zmiany było duże. Każdy widział patologię, każdy dostrzegał, jak nierówne są obciążenia pracą. Sędzia sądu rejonowego otrzymywał 30 spraw, okręgowego też 30 i apelacyjnego także. Tylko ten pierwszy miesięcznie, drugi kwartalnie, a trzeci rocznie. Dziś te nierówności są mniejsze, ale wciąż nie zostały wyrównane. Byłbym zresztą zwolennikiem spłaszczenia struktury sądownictwa i przywrócenia jednolitego statusu dla wszystkich sędziów. Powinniśmy mieć sędziów sądów powszechnych – i kropka. Dziś mamy podział na sędziów sądów rejonowych, okręgowych, apelacyjnych. To bez sensu. Te zmiany dałyby przyspieszenie rozpatrywania spraw i ułatwiłyby życie obywatelom. Dziś z Olsztyna na rozprawy apelacyjne trzeba jeździć do Białegostoku.

> Jednym z elementów sędziokracji w Polsce była całkowita kontrola środowiska nad postępowaniami dyscyplinarnymi

Opozycja często podnosi zarzut: reforma miała usprawnić pracę sądów, a tak się nie stało.

Przede wszystkim, żeby było szybciej, musi się skończyć blokowanie wakatów, wolnych stanowisk, co sędziowie robią wszystkimi siłami od dwóch lat. Rocznie przybywa ich od 300 do 400, wynika to z naturalnej wymiany pokoleniowej.

W jaki sposób blokują?

Zgromadzenia sędziów odmawiają na przykład opiniowania kandydatów na zwolnione miejsca. Można też niekiedy dostrzec, że wielu sędziów poświęca bardzo dużo czasu na działalność o posmaku politycznym, co też musi mieć wpływ na ich pracę. Warto też pamiętać, że w sprawach cywilnych mamy zalew spraw związanych z likwidacją wieczystego użytkowania. Do wydziałów ksiąg wieczystych wpływa 2,5–3 razy więcej spraw niż wcześniej.

To prawda, że w Polsce mamy wielokrotnie więcej sędziów niż w państwach zachodnich?

Trzeba pamiętać, że w wielu systemach zachodnich sprawy rozpatrywane w Polsce przez sądy są rozpatrywane przez innych orzeczników.

Jak to wygląda w kierowanym przez pana Sądzie Rejonowym w Olsztynie? Sędzia Juszczyszyn ściągnął tu kilkakrotnie największe media. Czy to wpłynęło na pracę? Opozycja aż przebiera nogami, by ten spór uderzył wreszcie w ludzi, skomplikował im życie i wywołał polityczną złość.

Na tym głośnym zebraniu, od którego zaczęliśmy rozmowę, sędziowie odrzucili moje sprawozdanie z pracy sądu za ubiegły rok. Powiedziałem, że mi przykro, bo w ten sposób ocenili własną pracę. Ale uważam, że poza wspomnianym wydziałem ksiąg wieczystych mamy znaczną poprawę. Nowe rozwiązania informatyczne, uproszczenia procedur, nagrywanie rozpraw przynoszą efekty. W upadłościach mamy gwałtowny wzrost załatwianych spraw, podobnie w sprawach cywilnych, karnych, rodzinnych.

Skoro już pan mówi o sprawach rodzinnych: wiemy z listów, które do nas napływają, z rozmów z czytel-

eprasa.pl 8c095ff059

nikami, jak wiele tam jest poczucia krzywdy. Jak często w sprawach decydujących o życiu dziecka sędziowie decydują bezrefleksyjnie, bezdusznie. Czy tu możemy liczyć na większą wrażliwość?

Powinniśmy. Jednym z większych błędów przeszłości było ograniczenie roli ławników. Podobnie powierzano takie sprawy zbyt młodym sędziom. Dziś zwiększa się rolę czynnika społecznego, ławników, co wnosi tę wrażliwość, o którą panowie pytają. Także młodzi sędziowie asesorzy nie sądzą już spraw rodzinnych, po to właśnie, by zajmowali się nimi ludzie bardziej dojrzali, doświadczeni życiowo.

Wspomniał pan, że sędziowie liniowi to wiedzieli, to skąd tak duży opór przeciw reformom?

Po pierwsze, bo ton narzucili ci najbardziej uprzywilejowani. Zwykły sędzia liniowy wciąż jest od nich zależny. Po drugie, uruchomiono bardzo przemyślną propagandę przeciw reformie, rozpowiadając o niej wiele bzdur, strasząc na przykład jakąś rzekomą masową wymianą sędziów na radców prawnych.

Podobnie zwolnieniami straszono przy reformie szkolnictwa wyższego.

Może zagrała pycha? Poczucie bycia „nadzwyczajną kastą"?

U niektórych mogło to się pojawić. Padały już wcześniej słowa o „kapłanach prawa", pojawiały się tony wywyższania. To jednak nieporozumienie, bycie sędzią to służba.

A polityczne motywacje?

Na pewno też w pewnym stopniu, to środowisko raczej o poglądach lewicowo-centrowych. Co zresztą słychać w trakcie manifestacji, w których sędziowie biorą udział. Dziwię się zresztą, że tak wielu nie odczuwa dyskomfortu, stojąc na wspólnych demonstracjach z ludźmi mającymi wyraziste polityczne, partyjne hasła i powiązania. W mojej opinii jest to złamanie zasady niezależności.

Tego dyskomfortu nie odczuwają także wtedy, gdy zakładają koszulki z napisem „Konstytucja". Nie myślą, jak ma się czuć na sali podsądny mający inne niż oni poglądy?

Mogę powiedzieć tak: ja bym odczuwał. W mojej opinii to niedopuszczalne. Stąd dobrze, że w jednej z ostatnich ustaw zapisano obowiązek ujawnienia, do jakich stowarzyszeń dany sędzia należy. W tym momencie obywatel będzie miał jasność, że sędzia należy do organizacji, która na przykład wypuściła przed wyborami spot wyborczy skierowany przeciwko jednej ze stron sporu politycznego w Polsce. A to na przykład zrobiło stowarzyszenie Iustitia na półtora tygodnia przed wyborami parlamentarnymi w Polsce, przy współpracy z firmą stale obsługującą jedną z partii politycznych. Nieustannie apeluję do sędziów: nie wchodźmy w politykę, bo to jest koniec niezależności.

> Padały już wcześniej słowa o „kapłanach prawa", pojawiały się tony wywyższania. To jednak nieporozumienie, bycie sędzią to służba

Na razie to polityka próbuje dopaść pana. Atak w wielu mediach, hejt w internecie, pewnie też naciski środowiskowe.

Sędzia musi być odporny na naciski i presje, musi mieć zdolność przeciwstawienia się także środowiskowym naciskom. Myślę, że taką odporność mam w sobie. Pierwsza próba złamania mnie odbyła się już wtedy, gdy zostałem prezesem sądu. Ale już chyba każdy wie, że takie dość prymitywne presje na mnie nie działają. Prawdziwy nie jest też obraz, w którym wszyscy sędziowie popierają takie działania, których dopuścił się sędzia Juszczyszyn.

Można to jakoś procentowo oszacować?

Sądzę, że 2/3 sędziów w naszym sądzie popiera sędziego Juszczyszyna, pozostali uważają jego działania za niewłaściwe, nie chcą takiego upolitycznienia.

Media związane z tą grupą trzymającą wcześniej władzę w sądownictwie twierdzą, że „wszystko zawdzięcza pan władzy PiS".

I dlatego jestem sędzią od 15 lat, orzekam od 18? I dlatego zrobiłem doktorat? Dlatego zaproponowano mi zatrudnienie na wydziale prawa? I dlatego opublikowałem kilkadziesiąt artykułów prawniczych w pismach specjalistycznych i jestem współautorem największego na rynku komentarza do Kodeksu postępowania karnego?

Co pan myśli, jak pan słyszy „neo-KRS"?

Wzruszam ramionami. Prymitywny zabieg mający stygmatyzować. I nieprawda. Reforma sądownictwa jest przeprowadzana zgodnie z prawem i jest oczekiwana przez większość Polaków.

Poznaliśmy – opublikowaną przez portal wPolityce.pl – listę sędziów, którzy udzielili poparcia kandydatom do Krajowej Rady Sądownictwa. Nie ma żadnych nieprawidłowości. O co zatem chodziło w tej awanturze?

Chodziło i chodzi o zaszczucie tych, którzy śmieli się wyłamać z narzucanej jedności.

Zaszczują niektórych?

Obawiam się, że będą próbowali. I niektórzy pewnie ulegną, usłyszymy pewnie kilka samokrytyk.

Nie złamią pana?

Nie złamią.

O co idzie ta walka?

Mamy historyczną szansę zrobienia tego, co w 1989 r. zostało zaniechane: zbudowania sądownictwa, które nie będzie oderwane od obywateli, które zerwie z dziedzictwem komunizmu, które będzie sprawne i uczciwe.

eprasa.pl 8c095ff059



Kidawa-Błońska w ramach podziękowań obściskuje się z kodowcami, którzy przed chwilą w ordynarny sposób zagłuszali wystąpienie Andrzeja Dudy w Pucku

Fot. Twitter



Hejt we krwi

Małgorzata Kidawa-Błońska nie zamierza nawet udawać, że prowokatorzy na spotkaniach Andrzejach Dudy są jej obcy. Po wydarzeniach w Pucku i Wejherowie, gdzie kandydatka PO na prezydenta najpierw odebrała od nich meldunek, a potem serdecznie się z nimi wyściskała, wiemy już na pewno, że nie jest tylko bierną beneficjentką hejterskich metod. A angażując w sztabie osoby związane z profilem SokzBuraka, pokazała, że aprobuje nienawiść, że chce iść tą drogą. Strach pomyśleć, do czego to może doprowadzić



MARCIN WIKŁO

Andrzej Duda w Pucku: „To jest wielka zasługa ludzi tej ziemi, ludzi zawsze wiernych Polsce, ludzi, którzy przez dziesięciolecia, albo nawet przez stulecia, nie wahali się za Polskę i polskość zapłacić ceny najwyższej. To, co potem nastąpiło, cierpienie obozu koncentracyjnego Stutthof, śmierć tysięcy Kaszubów w Piaśnicy za Polskę, za polskość, za to, że ją tutaj przywrócili i budowali. Za to, że przy niej przetrwali i starali się ją odzyskać, jest najlepszym świadectwem, jakimi synami Rzeczypospolitej i jakimi synami i córkami tej ziemi Państwo jesteście”. Podczas transmisji telewizyjnej było słychać w tle uciążliwe

eprasa.pl 8c095ff059

gwizdy i niezrozumiałe okrzyki. Relacje osób, które były na miejscu, są szokujące. Po drugiej stronie portu zebrała się grupa z flagami Komitetu Obrony Demokracji. Byli dobrze przygotowani do zadymy, mieli gwizdki i solidne nagłośnienie. Nie powstrzymało ich to, że prezydent wspominał ofiary obozów koncentracyjnych, z głośników wylewała się nienawiść: „Będziesz siedział, będziesz siedział!". W jednym z wielu filmików w internecie widzimy, jak ktoś krzyczy nawet: „Duda, ty ch...u!". Później to samo w Wejherowie. Też wspomnienie pomordowanych za obronę polskości, a zadymiarze swoje. Zamiast chwili zadumy – gwizdy i okrzyki.

„NIEDŹWIADEK" Z HEJTEREM

Czy są granice, których hejter nie przekroczy? Czy jest uroczystość, którą potraktuje z należytą powagą? A nawet jeśli przesadzi, to czy politycy będą w stanie go zatrzymać albo chociaż udzielić mu reprymendy? Cóż za naiwne pytania, prawda? Zwłaszcza po tym, co zobaczyliśmy na Pomorzu podczas 100-lecia zaślubin Polski z Bałtykiem. To nie było wydarzenie kampanijne, czym można by w jakiś pokrętny sposób próbować tłumaczyć „występy" przeciwników Andrzeja Dudy, ale państwowe obchody ważnej rocznicy.

„Idzie nasza pani prezydent! Mamy taką nadzieję" – to głos jednej z działaczek KOD na widok zbliżającej się Małgorzaty Kidawy-Błońskiej ze sztabowcami. Poznaliśmy tę sytuację dzięki filmowi, który zadymiarze sami wrzucili do sieci. „Było nas słychać? Dobrze było?" – pytali rozemocjonowani jak dzieci. „Dobrze było!" – odpowiadają politycy na złożony meldunek. Potem uściski, podziękowania, gratulacje. Kandydatka PO na prezydenta obściskuje się z kodowcami. Nie mówi nic o tym, co słyszała zapewne podczas wystąpienia Andrzeja Dudy. Widzimy za to jej szeroki uśmiech. Wokół także rozbawione grono, m.in. Sławomir Rybicki, Barbara Nowacka, Monika Wielichowska.

Wieczorem relacja w „Faktach" TVN, o samych obchodach ważnej przecież rocznicy niewiele. Jest za to duży materiał o tym, że gdziekolwiek Andrzej Duda pojedzie, ma „pod górkę", bo mieszkańcy odwiedzanych przez niego miejscowości głośno wyrażają sprzeciw wobec polityki jego i całego obozu dobrej zmiany. Staje się jasne, po co była cała ta szopka z kodowcami, jaki przekaz miał pójść w świat.

Zapewne przypadkiem nie zmieściła się informacja, że to nie byli żadni „mieszkańcy Pucka" ani „mieszkańcy Wejherowa". Internet i media społecznościowe mają jednak swoją moc i już po pobieżnym przejrzeniu wpisów wiemy, z kim mieliśmy do czynienia. Że była to lotna grupa KOD, która zwykła pojawiać się na różnych imprezach PiS, by przeszkadzać, albo na antypisowskich manifestacjach. Jeżdżą po Polsce tam, gdzie jest „robota" do zrobienia, o tym świadczy choćby opublikowany film, na którym widać samochód oklejony plakatami KOD i antyprezydenckimi hasłami wracający wieczorem po zajściach w Pucku do Warszawy.

> „Było nas słychać? Dobrze było?" – pytali rozemocjonowani jak dzieci działacze KOD, którzy zagłuszali wystąpienie prezydenta w Pucku. „Dobrze było!" – odpowiadają politycy PO na złożony meldunek

W kampanii samorządowej niektóre z tych osób podążały za Patrykiem Jakim, sabotując spotkania z wyborcami. Widzieliśmy ich również na pikietach w obronie Ludmiły Kozłowskiej, wydalonej z Polski na wniosek ABW szefowej podejrzanej Fundacji Otwarty Dialog. Zawsze głośni, dokuczliwi, nastawieni przeciwko obecnej władzy. Z ich wypowiedzi – a zamieszczają ich w internecie naprawdę sporo – wynika, że świetnie czuliby się jako swego rodzaju męczennicy „reżimu" PiS. Stąd skrajne zachowania i prowokacje.

„MUSIMY BYĆ LEPSI"

Pół roku temu ujawniliśmy na łamach „Sieci" zaangażowanie ludzi Platformy w profil SokzBuraka. To jeden z najciemniejszych zakątków politycznego internetu w Polsce. Strona nieprzebierająca w środkach, niby-żartobliwa, w rzeczywistości przepełniona jest nienawiścią, rozsiewająca fake newsy o politycznych przeciwnikach. Udowodniliśmy, że stoi za nią Mariusz Kozak-Zagozda, człowiek, który pracował na etacie w partii Schetyny, a dorabiał sobie zleceniami przy sztabach wyborczych Koalicji Europejskiej, a potem Koalicji Obywatelskiej. Znalazł także miejsce w warszawskim ratuszu, gdy nastał w nim Rafał Trzaskowski. Awaria Facebooka na początku roku naszą wiedzę o hejterach Platformy uzupełniła. Dowiedzieliśmy się, że jednym z administratorów SokuzBuraka był także Marcin Mycielski, były korespondent „Gazety Wyborczej" w Brukseli, działacz KOD. W sieci można odnaleźć jego zdjęcia z Ludmiłą Kozłowską i jej mężem Bartoszem Kramkiem.

I oto kilka dni temu Krzysztof Lisek, pochodzący z Gdańska europoseł Platformy Obywatelskiej, ogłasza: „Mycielski szefem sztabu Kidawa2020 na Belgię! Marcin, witamy na pokładzie! Razem góry będziemy przenosić, a wybory wygramy na pewno :)".

Łamiąc nieco chronologię, przenieśmy się na Radę Krajową Platformy Obywatelskiej. 8 lutego br. Małgorzata Kidawa-Błońska wygłosiła do partyjnych działaczy płomienne przemówienie. Bardzo podobał im się fragment, w którym potępiała zaostrzenie języka w polityce.

„Te wybory to ostatnia szansa, żeby zatrzymać ten podział, który następuje z dnia na dzień, i to musimy zrobić nie za dwa lata, trzy lata czy za pięć. Musimy to zrobić teraz, bo potem już nie będzie co zbierać. Bo jeżeli to się stanie, to możemy zapomnieć o nas jako

eprasa.pl 8c095ff059



KOD jeździ za Andrzejem Dudą po to, by jak w Zakliczynie odgrywać rolę „lokalnej społeczności" i sprawiać wrażenie, że Polacy w każdej części kraju są przeciwni polityce prezydenta

Fot. M. Czutko

wspólnocie, o tym jakimi jesteśmy ludźmi, jak wspaniała jest Polska i co my jako obywatele możemy dać dobrego z siebie. To wszystko się rozsypie i to nie jest straszenie, to się może wydarzyć naprawdę. Dla mnie to jest bardzo wielkie wyzwanie. Ale ja wierzę i wiem, co trzeba zrobić, żeby zatrzymać to zło i te złe procesy, które postępują w naszym kraju. (...) Na kłamstwo, na pogardę, nie możemy tym odpowiadać. Musimy być inni, lepsi, mądrzejsi. I powiem wam, kochani, że totalna opozycja teraz to nie jest dobre rozwiązanie".

Dwa dni później bojówki KOD ruszyły za Andrzejem Dudą nad morze. Mylił się ten, kto myślał, że na haniebnych występach w Pucku i Wejherowie się skończy. Wszystko wskazuje na to, że objazdowy cyrk hejterów stanie się stałym elementem tej kampanii.

DEMASKUJĄCE SZCZEGÓŁY

„Zakliczanie, Duda kłamie!" – krzyczeli kodowcy podczas ubiegłotygodniowej podróży prezydenta w ten zakątek Małopolski. – Skąd przyjechaliście? – pytaliśmy. – Jesteśmy stąd! – zapewniali, uśmiechając się porozumiewawczo. Kilkanaście metrów dalej, już za siatką okalającą remontowany rynek, stoją zwolennicy Andrzeja Dudy. Na krzykaczy patrzą z niechęcią. – Nie ma na to żadnego paragrafu? A to szkoda! – zagadują się nawzajem.

– Przecież oni są od was – zaczepiam rozczarowaną postawą protestujących kobietę z dwójką dzieci. To Anna Luna-Świerczek z ośmioletnią Magdą i dziewięcioletnim Janem. – Jak to od nas? Gdyby byli stąd, to nie krzyczeliby „Zakliczanie". My jesteśmy Zakliczynianie! – odpowiada ze śmiechem. Niby to drobnostka, ale właśnie takie szczegóły demaskują KOD, który jeździ za Dudą, by odgrywać rolę „lokalnej społeczności" i sprawiać wrażenie, że Polacy w każdej części kraju są przeciwni jego polityce.

Grupa kilkunastu osób pojawia się w okolicach rynku w Zakliczynie około pół godziny przed przybyciem prezydenta. Mają koszulki z napisem „Konstytucja", na kurtkach sporo przypinek z antypisowskimi hasłami, flagę KOD Małopolska i transparenty. Na największym napis: „Przestańcie kraść, wyPAD 2020". – Dlaczego nie wchodzicie przez bramkę? – pytamy. – Policja nas nie wpuszcza, bo syn ma koszulkę „Konstytucja". Tak jest, tam lepszy sort, tutaj gorszy – irytuje się jedna z kobiet. – Proszę nie słuchać tej pani, gwarantuję panu,

eprasa.pl 8c095ff059

że nie chodzi o ubiór – stojący obok policjant nie wytrzymuje i wyjaśnia, że kodowcy mają niebezpieczne przedmioty.

– No dobra, mam „tutkę" i syn też ma „tutkę" – przyznaje kobieta i wyciąga zza pazuchy sporą kibicowską trąbę. – Tam podobno jest orkiestra, weszli z instrumentami, a nam się nie pozwala, też byśmy prezydentowi zagrali – mówi kolejna pani z emblematem KOD. Też ma „tutkę" i dodatkowo bęben, w który przestała walić tylko na chwilę, by włączyć się do rozmowy. – A z „tutką" syn chodzi nawet na żużel i jest wszystko okej – pomijając nawet to, że żużla w Zakliczynie nie ma, na taki argument naprawdę trudno znaleźć odpowiedź.

PRAWA KAMPANII

Grupa posłów PiS złożyła w Sejmie projekt uchwały „w związku z wydarzeniami w Wejherowie i Pucku". Napisano w nim, że 10 lutego w tych miastach doszło do „bezprzykładnego ataku na prezydenta RP", a „grupa chuliganów zakłóciła przebieg państwowych uroczystości, lżąc i obrażając głowę państwa". Szef PO Borys Budka nazwał uchwałę „szczytem hipokryzji". Małgorzata Kidawa-Błońska chyba także uznała, że nie ma się co wycofywać i potępiać hejterów, lepiej iść z nimi ręka w rękę. Stwierdziła, że „polityk musi być odważny i wiedzieć, że ludzie różnie reagują". „Na tej samej uroczystości w Pucku spotkałam się z atakami ze strony innych środowisk, bo tam było wiele środowisk, polityk musi rozmawiać z każdym, każdego wysłuchać i wszystkich Polaków traktować w dokładnie ten sam sposób" – powiedziała.

Tym samym wchodzimy w dyskusję o granicach w kampanii wyborczej, które są przesunięte nieco dalej niż na co dzień. Sam prezydent w wywiadzie dla TVP przyznał, że „emocje są nieodłączną częścią kampanii", zaapelował jednak, by była ona czysta. „Sami kandydaci mają swoje emocje, my jesteśmy ludźmi, a to jest duże przeżycie. Natomiast ważne jest, by zachować pewne standardy i pewne zasady, i tego bym bardzo chciał" – mówił Duda. W tym kontekście przypomniał swoje przykre doświadczenia z przedwyborczego czasu w 2015 r. i bezprecedensowy atak medialny na swoją córkę Kingę.

Czy to wezwanie do poszanowania przeciwnika w kampanii trafi na podatny grunt? Niestety, trudno być w tej kwestii optymistą, gdy ma się naprzeciwko polityków, którzy po zwycięstwo w wyborach idą z regularnymi bojówkami. Może takie metody mają po prostu we krwi?

Zachęcam do czytania bloga „Pałac 2020. Zapiski z kampanii" na portalu wPolityce.pl. To moje autorskie spojrzenie na przebieg kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy. Zapraszam do podróży przez mniejsze i większe miejscowości. I do śledzenia relacji ze spotkań prezydenta z Polakami.

Marcin Wikło

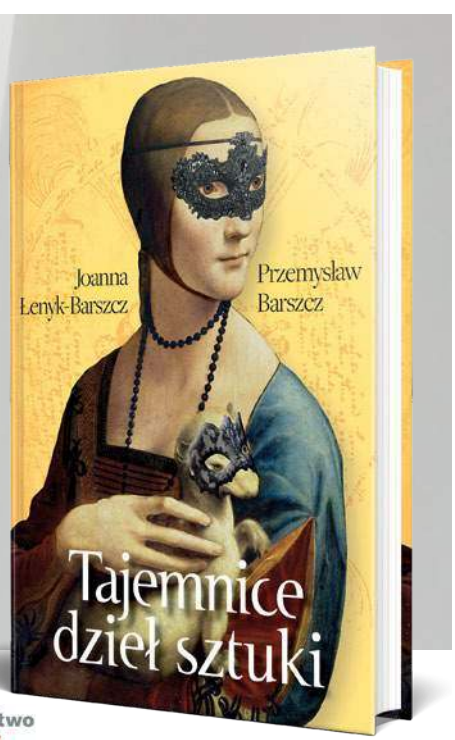
REKLAMA

POZNAJ UKRYTY PRZEKAZ NAJSŁYNNIEJSZYCH DZIEŁ!

- BACHUS **CARAVAGGIA**
- GNIEŹNIEŃSKIE WROTA
- MANUSKRYPT WOJNICZA
- STWORZENIE ADAMA **MICHAŁA ANIOŁA**
- OSTATNIA WIECZERZA **LEONARDA DA VINCI**

I WIELE INNYCH ARCYDZIEŁ.

KSIĄŻKA DO KUPIENIA NA: WWW.XLM.PL



PATRONAT MEDIALNY:

SIECI HISTORIA.ORG.PL

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

22/0220/F

eprasa.pl 8c095ff059

Piątka ze sternikiem





STANISŁAW JANECKI

Pięć strategii rywali Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. Od swojskiej pani domu po wodzireja kaznodzieję, który ma zbawić świat

Kampania prezydencka przed wyborami w maju 2020 r. jest szóstą z kolei w III RP, lecz nie przypomina żadnej poprzedniej. Może z wyjątkiem pierwszej, w 1990 r., ale wówczas nie startował urzędujący prezydent, nawet zważywszy, że zajmujący ten urząd Wojciech Jaruzelski był z nadania Zgromadzenia Narodowego, a nie z powszechnej woli wyborców. Choć startujących w 1990 r. sześciu kandydatów nie odzwierciedlało układu parlamentarnego, gdyż ten wyłoniony po „okrągłym stole" był sztuczny, z grubsza oddawało kształtujący się wtedy układ sił partyjnych. Ale w 1990 r., podobnie jak w 2020 r. (przynajmniej w momencie pisania tego tekstu), wszyscy zgłoszeni kandydaci grali przeciwko jednemu – Lechowi Wałęsie. W latach 1995–2015, a więc w czterech kolejnych wyborach, ani nie obowiązywała zasada wszyscy na jednego, ani nie było tak ścisłego związku kandydatów z układem parlamentarnym.

W 2020 r. mamy pięciu kandydatów mających ścisłe odzwierciedlenie w pięciu obecnych w parlamencie blokach oraz jednego, którego można uznać za dopełnienie układu parlamentarnego, a nie jego przeciwieństwo. Ten szósty nie jest więc wcale politycznie egzotyczny, lecz mocno mainstreamowy, jeśli za główny nurt uznać anty-PiS. I (przynajmniej na razie) mamy pięcioro na jednego, bez rozpraszania sił na polityczną egzotykę, bądź kandydatów niemających politycznego zaplecza. W 1990 r. wolę kandydowania wyraziło 16 osób, choć ostatecznie wystartowało 6, w 1995 r. było to odpowiednio 18 i 13 kandydatów, w 2000 r. – 13 i 12, w 2005 r. – 24 i 17, w 2010 r. – 27 i 14, w 2015 r. – 25 i 11.

W 2020 r. mamy wyjątkową koncentrację sił przeciwko urzędującemu prezydentowi oraz uzupełnianie się jego rywali, nie tylko polityczne. To uzupełnianie się polega m.in. na podziale ról, a więc także typów i funkcji kampanii. Formalnie wszystkie są polityczne, ale faktycznie daleko wchodzą na obszary pozapolityczne. Celem takich zabiegów jest to, żeby nie występować na terenie, na którym urzędujący prezydent ma widoczne przewagi i największe doświadczenie. Te strategie są nastawione na maksymalne wykorzystanie nowych mediów i współczesnych modeli pozyskiwania informacji czy orientowania się w świecie. I na tworzenie społeczności ponad klasycznymi podziałami, ponad grupowymi, a nawet klasowymi interesami.

Fot. Andrzej Wiktor x5, Shutterstock

eprasa.pl 8c095ff059

Pani domu, czyli Hiacynta Bukiet

Małgorzata Kidawa-Błońska została wpasowana w koncepcję prezydenta jako gospodyni domowej, a właściwie jej szlachetniejszej wersji, znanej m.in. z programów TVN, czyli pani domu. W tej koncepcji Polska została sprowadzona do gospodarstwa domowego czy też domu jako mikrokosmosu. Nieprzypadkowo kandydatka PO tak często mówi o remoncie, sprzątaniu, przewietrzaniu, malowaniu, wymianie części mebli, nowej aranżacji wnętrz. Pani domu wie, jak wszystko powinno być urządzone, czyli również, jak urządzić Polskę, szczególnie po zalaniu lub częściowym zdemolowaniu. Taka metafora, a zatem także strategia może się wydawać banalna i mieć ograniczony zasięg, lecz chodzi o to, żeby nie przekraczała ona horyzontu poznawczego jej zwolenników. Oraz możliwości kandydatki. Dlatego strategia przygotowana dla Małgorzaty Kidawy-Błońskiej uwzględnia jej nieumiejętność poruszania się po terenie metapolityki, bardzo skromną, o ile w ogóle jakąkolwiek, orientację w zarządzaniu, szczególnie z poziomu przywódców państwa, równie skromne możliwości opisywania i nazywania procesów społecznych, politycznych, gospodarczych, cywilizacyjnych czy kulturowych.

Konwencja pani domu pozwala zamaskować niekompetencję czy braki w politycznej pragmatyce i nie odstręcza ludzi, bo dobra pani domu, a tym bardziej gospodyni domowa, oznacza pewną swojskość i zwyczajność. Dlatego w tej strategii postawiono na coś, co można nazwać małym realizmem. Nie jest ona w stanie formułować dalekosiężnych wizji ani interpretować różnych koncepcji uprawiania polityki bądź rządzenia, więc skupia się prawie wyłącznie na stylu oraz na banalnej treści. Czasem przeradza się to w karykaturę granej roli, więc elegancka pani domu zamienia się w nieznośną Hiacyntę Bukiet ze znanego brytyjskiego serialu „Co ludzie powiedzą?".

Nie zawsze kandydatce udaje się utrzymać w ryzach strategii pani domu z powodu przyzwyczajeń i politycznych emocji, więc zdarzają się jej takie wpadki jak „bratanie się" z zadymiarzami przeszkadzającymi w uroczystościach państwowych i znieważającymi prezydenta, jak to się stało 10 lutego 2020 r. w Pucku.

Doktor Judym-Burski

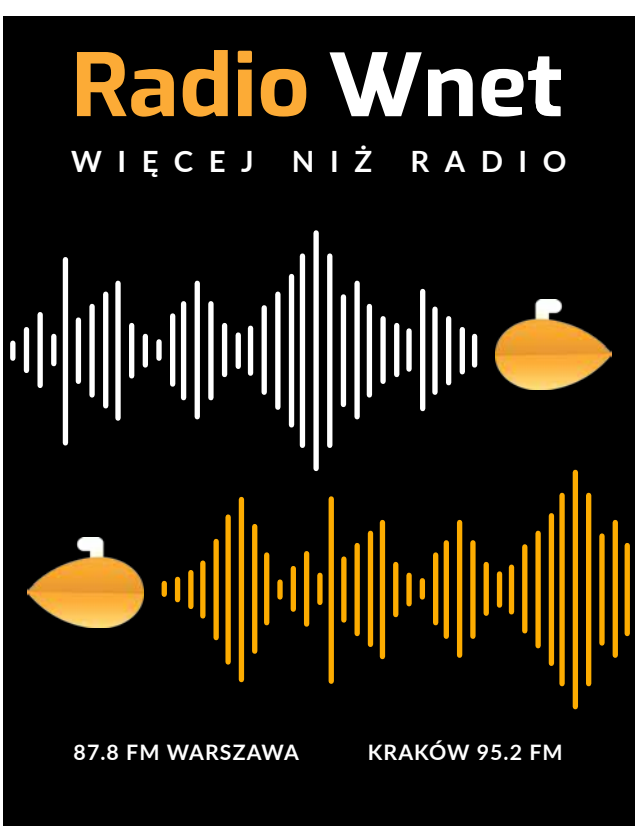
Władysław Kosiniak-Kamysz reprezentuje głównie strategię wcielania się w rolę lekarza społecznika. Przy czym jest to pomieszanie modelu doktora Tomasza Judyma z „Ludzi bezdomnych" Stefana Żeromskiego (romantycznego buntownika, a jednocześnie pozytywistycznego społecznika) z doktorem Jakubem Burskim z serialu „Na dobre i na złe" (nowoczesnym, kompetentnym i ponad podziałami), z elementami księdza Mateusza Żmigrodzkiego (granego przez tego samego aktora Artura Żmijewskiego).

Kandydat PSL – Koalicji Polskiej nie jest już „ludowy", lecz ponadwarstwowy i ponadklasowy, ogólnonarodowy. Ma łączyć, a nie dzielić, tak jak lekarz nie wybiera, kogo leczy, lecz stara się wszystkim pomóc. I ma pewną klasę (także kod kulturowy) lekarzy inteligentów. A także dyskretnie nawiązuje do lekarzy obecnych w polityce, zarówno ważnych polityków II RP, np. premiera gen. Felicjana Sławoja-Składkowskiego czy gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego (bez ich barwności i wojskowego doświadczenia), jak i do mitu wielkiego lekarza oraz polityka III RP – prof. Zbigniewa Religi, mocno obecnego w świadomości społecznej także dzięki filmowi Łukasza Palkowskiego „Bogowie".

Władysław Kosiniak-Kamysz buduje wiarygodność na pozycji społecznej i statusie lekarza sensu stricto, polityczne koncepcje zaś na wzorcach lekarza zaangażowanego społecznie i obywatelsko – jak literacki Tomasz Judym i realny Zbigniew Religa. Z elementami swojskości wynikającej z prezesowania PSL, choć jest klasycznym inteligentem z Krakowa, a nie nowym Wincentym Witosem czy choćby Stanisławem Mikołajczykiem.

Zalety wynikające z roli i zawodu lekarza mają równoważyć mankamenty roli polityka, skoro lekarz powinien być bezwzględnie i zawsze etyczny (przysięga Hipokratesa), choć polityk może mieć i miewa różne słabości. I lekarz rozumie, że czasem polityka nie jest najważniejsza, troska o ludzi zaś zawsze taka jest. A prezydent może być lekarzem całego społeczeństwa, przywracającym mu społeczną homeostazę, tym bardziej jeśli ma dyplom studiów medycznych.

REKLAMA



65/0120/F

eprasa.pl 8c095ff059

Prowincjusz z handicapem

Robert Biedroń został obsadzony (sam się też chętnie obsadza) w roli przedstawiciela mniejszości i grup dyskryminowanych, żeby zyskiwać sympatię jako osoba z handicapem, czyli taka, której trzeba sztucznie wyrównywać szanse, ale jest to w pełni uzasadnione i moralne. Komuś takiemu należy się coś w rodzaju punktów za pochodzenie oraz premia za wykluczenie, wszystko jedno czy realne, czy domniemane, czy wyimaginowane.

Jako przedstawiciel mniejszości i grup dyskryminowanych kandydat Robert Biedroń nie tylko wie, jak to jest być pokrzywdzonym, ale też, jak zapobiegać wykluczeniu, czyli jak umacniać sprawiedliwe społeczeństwo równych obywateli. Jeśli mniejszości i wykluczeni oraz dyskryminowani mają wszelkie prawa, wszyscy korzystają z dobrodziejstw demokracji i dobrobytu. W ten sposób unika się zwracania uwagi na wątpliwe uprzywilejowanie (nawet w postaci rekompensaty za dyskryminację i wykluczenie), a podkreśla uniwersalną i powszechną równość. Ma to przełożenie na politykę, ma bowiem znosić wszelkie podziały, także te wynikające z ideologicznych i politycznych różnic. Kandydat Biedroń jest w tej strategii misjonarzem równości oraz niwelowania politycznych podziałów. Przy czym nie występuje z pozycji uprzywilejowanego czy należącego do elity (jak całkiem liczni przedstawiciele LGBT), skoro przedstawia się jako chłopak z prowincji (Krosno i okolice), z biednej, a nawet patologicznej rodziny, który wszystko zawdzięcza własnej pracy, ambicjom i uporowi. Czyli nie jest reprezentantem uprzywilejowanej grupy, która chce jeszcze więcej przywilejów, lecz kimś, kto się przebił z nizin społecznych. To ważny komunikat dla wyborców, wskazuje bowiem na to, że środowiska LGBT to nie „nadzwyczajna kasta", a wręcz przeciwnie. Dlatego tym bardziej należy im się więcej niż innym. Podkreślana przez Roberta Biedronia prowincjonalność (widać, że sporo czerpie ze strategii stosowanej przez muzyka i piosenkarza Dawida Podsiadłę) i pochodzenie z nizin społecznych, dodatkowo z dyskryminacją w tle, ma podkreślać siłę charakteru i sukces self-made mana. I niwelować znaczenie bycia gejem.

Rewizor i Wujek Dobra Rada

Krzysztof Bosak porusza się głównie w obrębie strategii rewizora, czyli kogoś, kto sprawdza rządzących, a nie jest „ubrudzony" uczestnictwem we władzy, lecz wie, jak się ją powinno sprawować. Mało tego – wie lepiej, choć nigdy się sprawowaniem władzy nie parał. Właśnie dlatego wie lepiej, bo nie zdążył sobie zepsuć dobrych koncepcji żadną niedoskonałą praktyką. One są dobre, gdyż nawiązują do dobrych idei: narodowych z jednej strony i wolnościowych z drugiej.

Ustawienie się w roli rewizora i besserwissera ma przesłaniać zarzuty, że właściwie nigdy nie miał „normalnej" pracy. Ale to też ma być zaleta, skoro „normalna" praca zdeprawowała wielu rządzących obecnie i w przeszłości. Jako rewizor podważa strategie innych, szczególnie prezydenta Andrzeja Dudy, czyli stawia na sceptycyzm i dystans wobec już rządzących.

Droga życiowa Krzysztofa Bosaka sprawia, że rola rewizora łączy się u niego z rolą swego rodzaju instruktora harcerskiego, który wie, co trzeba zrobić, gdy harcerz zgubi się w lesie czy deszcz zaleje mu namiot. Skąd to wie? Z instrukcji, w których jest wszystko, nawet gdy sam instruktor niczego nie zdążył przećwiczyć. Ze znajomości instrukcji płynie pewność siebie i spokój wewnętrzny, skoro instrukcje wszystko przewidują. Dlatego na wszystko jest sposób, wprawdzie nie tak prosty jak w wypadku Janusza Korwin-Mikkego, ale on jest tylko wolnościowcem, Krzysztof Bosak zaś także narodowcem. I to przypomina rolę Wujka Dobra Rada, w kulturze popularnej znaną z roli Stanisława Mikulskiego w filmie „Miś". Połączenie ról rewizora, instruktora harcerskiego i Wujka Dobra Rada jest konieczne, żeby kandydat Krzysztof Bosak wyglądał na człowieka zrównoważonego, spokojnego i merytorycznego. I tak wygląda, także w tym, co mówi. Do pełni obrazu brakowało tylko rodziny, ale tak się szczęśliwie złożyło, że 8 lutego 2020 r. Krzysztof Bosak poślubił Karinę Walinowicz, prawniczkę, eksperta Instytutu Ordo Iuris. Co tylko umacnia jego powagę i czyni jeszcze bardziej odpowiedzialnym, bo także za własną rodzinę.

Wodzirej

Szymon Hołownia najbardziej uosabia strategię celebryty zaangażowanego w problemy modne medialnie, np. środowisko, klimat, tolerancja, reformowanie Kościoła, edukacja, wychowanie, solidarność międzypokoleniowa i międzynarodowa. To strategia typowa dla prezenterów, aktorów, muzyków, reżyserów, modelek, blogerów, szafiarek, youtuberów. Zakłada zbawianie świata – znacznie bardziej niż rozwiązywanie konkretnych problemów bardzo konkretnych ludzi na konkretnym terenie. W takiej roli od dekad występuje np. lider grupy U2 – Bono, a niedawno dołączyła do niego m.in. Greta Thunberg. W tej strategii jest się nie tylko wyrazicielem bólu istnienia (niemieckie Weltschmerz), ale przede wszystkim wodzirejem (w znaczeniu znanym z filmu Feliksa Falka).

Szymon Hołownia ma oczywiście realizować także konkretne cele polityczne rozpięte między poglądami i ideami Donalda Tuska, Adama Michnika i powiedzmy dominikanina Pawła Gużyńskiego (pewnie nieprzypadkowo sam Hołownia próbował zostać dominikaninem). Ale rola wodzireja wydaje się najważniejsza. Kandydat zna bowiem funkcjonowanie mediów, ma doświadczenie w spotkaniach z ludźmi, zajmował się swego rodzaju masowym coachingiem połączonym z tym, co robią tzw. telewizyjni kaznodzieje. Może zatem być wodzirejem nie tylko w sensie organizacyjnym, ale też duchowym.

Hołownia nie ma przekonywać do konkretnej polityki ani rozwiązań, lecz ma mieć taki wpływ na ludzi, jaki posiadają telewizyjni kaznodzieje. Czyli umiejętność kierowania ludźmi i ich emocjami, także gdy chodzi o przekierowywanie sympatii czy emocji, również ściśle politycznych. Dlatego jego narracja jest tak niekonkretna i tak bardzo nastawiona na „zbawianie" w sensie mobilizowania do różnego rodzaju zaangażowania, choć w pewnym momencie sprowadzanych do konkretnego modelu politycznego. Nic dziwnego zatem, że kampania Szymona Hołowni najmniej ze wszystkich przypomina klasyczną kampanię i najmniej odwołuje się do polityki. Ma jednak ukształtować grupę ludzi, którym można narzucić konkretny polityczny wybór.

eprasa.pl 8c095ff059

Krótka historia polexitu



Prezydent Andrzej Duda, komentując wypowiedzi Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na temat rzekomego wyjścia Polski z Unii Europejskiej, stwierdził, że o polexicie może mówić jedynie ktoś, kto tego pragnie. Oczywiście opozycja tego nie pragnie, ale z pewnością nie zmartwiłby jej wzrost nastrojów eurosceptycznych. Takie nastroje poszerzają bowiem elektorat opozycji, jeszcze bardziej polaryzują społeczeństwo i w efekcie mobilizująco wpływają na wyborców

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Hasło polexitu przypomina fale, które kolejno pojawiają się na horyzoncie, uderzają, rozbijają się i znikają, aby za chwilę znów się pojawić. Obecna fala jest potężniejsza niż poprzednie, dodatkowej energii dodają jej bowiem zbliżające się wybory prezydenckie.

Nietrudno zauważyć, że opozycja uczepiła się polexitu, bo widzi w nim bodaj jedyną nadzieję na zwycięstwo. Wszystkie inne oskarżenia wysuwane w ostatnich czterech latach wobec rządzących nie zyskały popularności

eprasa.pl 8c095ff059

wśród większości wyborców, niektóre – takie jak promocja ideologii LGBT wiosną zeszłego roku – wręcz jej mocno zaszkodziły, czego skutkiem były przegrane przez opozycję wybory do Parlamentu Europejskiego.

Z hasłem polexitu – jak na to liczy opozycja – może być inaczej. Badania opinii publicznej wskazują bowiem, że poparcie dla członkostwa w Unii Europejskiej jest w Polsce powszechne i w tym poparciu nie przeszkadzają Polakom nawet ich różne preferencje partyjne. Dowodzą tego choćby przytaczane już przeze mnie na tych łamach wyniki sondażu opublikowanego pod koniec grudnia na portalu wPolityce.pl, gdzie ankietowanym zadano pytanie o to, czy zgadzają się ze zdaniem, że wyjście z Unii Europejskiej stanowi zagrożenie dla Polski. Okazało się, że większość badanych (68 proc.) odpowiedziała twierdząco, przy czym wśród zwolenników opozycji było to aż 94 proc. wskazań, a wśród wyborców PiS – 60 proc.

Jeżeli więc uda się przekonać większą część społeczeństwa popierającą członkostwo Polski w Unii do tego, że dalsze rządy PiS doprowadzą do polexitu, to wówczas – jak kalkuluje opozycja – wielu z nich nie odda głosu na prezydenta Dudę.

Tyle że polexit to bajka o żelaznym wilku, hasło wymyślone przez opozycję, aby straszyć nim wyborców. Nikt nigdy w obozie rządzącym nie rozważał wyjścia z Unii Europejskiej. Do konfliktu, który wybuchł pomiędzy Warszawą a Brukselą, zapewne musiało dojść, był to bowiem nieunikniony koszt bardziej podmiotowej polityki wobec naszych partnerów z Unii. Jednak jego temperaturę podgrzali politycy opozycji, którzy dzięki długotrwałemu i – jak się okazało – skutecznemu lobbingowi zdołali wciągnąć Unię w wewnętrzny spór polityczny w Polsce oraz skłonić ją do interwencji po swojej stronie. Dzięki temu opozycja może się dziś przedstawiać jako siła mająca za sobą wsparcie Unii, co oznacza, że działania skierowane przeciw niej są – w rozpowszechnianej przez antypis narracji – działaniami de facto antyunijnymi i wypychającymi Polskę z europejskiej wspólnoty.

ZAINSPIROWANI BREXITEM

Hasło polexitu pojawiło się po raz pierwszy w połowie 2016 r. Inspiracją dla jego autorów było zapewne czerwcowe referendum w Wielkiej Brytanii, które niewielką większością wygrali zwolennicy opuszczenia Unii Europejskiej. Okazało się wtedy, że niemożliwe stało się możliwe i z Unii można wyjść. Jednak poza marginalnymi środowiskami narodowej prawicy nikt w Polsce nie entuzjazmował się taką perspektywą ani nie traktował jej poważnie.

Wprawdzie temat próbowali później podchwycić niektórzy dziennikarze opozycyjnych mediów roztaczający przed czytelnikami czarne wizje, w których rządzona przez PiS Polska występuje z Unii Europejskiej i w rezultacie Polacy muszą się ustawiać w wielokilometrowych kolejkach po wizy. Co bardziej nawiedzeni bredzili nawet o zabieranych przez PiS paszportach. Było to jednak tak niewiarygodne, że chyba nikt – poza obsesyjnie antypisowskimi czytelnikami „Gazety Wyborczej" – nie był w stanie uwierzyć w te fantasmagorie.

W tym samym czasie narastał konflikt wokół reformy wymiaru sprawiedliwości, który stał się kością niezgody w relacjach Warszawy z Brukselą. Pod koniec 2017 r. spór ten doprowadził ostatecznie do uruchomienia przez Komisję Europejską przeciwko Polsce procedury z artykułu 7 traktatu unijnego, do czego zresztą walnie się przyczyniła opozycja, nawołująca do jeszcze ostrzejszych rozwiązań.

Na łamach „Süddeutsche Zeitung" pojawił się wtedy napastliwy komentarz szefa działu zagranicznego tej gazety Stefana Korneliusa. Niemiecki komentator był najwyraźniej mocno rozczarowany postawą Polaków, którzy nie tylko nie dołączali masowo do organizowanych przez opozycję krzykliwych protestów, lecz wręcz wydawali się zadowoleni z rządów PiS. Kornelius przedstawiał Polaków jako fałszywych entuzjastów Unii. Postawił zarzut, że „zdecydowana większość chce pozostać w Unii tylko ze względu na korzyści dla gospodarki i hojne dotacje", powielając w ten sposób opinię o Polsce jako o zacofanym, krnąbrnym kraju, który nie dość, że odstaje od liberalnych standardów, to jeszcze nie potrafi okazać wdzięczności swoim dobroczyńcom. Zamiast „skorzystać z okazji, aby siedzieć cicho", ośmiela się ich krytykować oraz wysuwać żądania. „Polscy przywódcy życzą sobie ekonomicznej emancypacji, która uniezależni ich kraj od Niemiec" – napisał.

Wcześniej rzadko się zdarzało, aby jakikolwiek Niemiec tak otwartym tekstem przedstawiał pretensje wobec Polski. Kornelius poszedł jednak jeszcze dalej i stwierdził, że w tej sytuacji Polska powinna zostać usunięta z Unii Europejskiej. „Większość w Polsce nie chce tej Europy. Chce innej Polski w innej Europie. Konsekwencją jest wystąpienie [z Unii]" – napisał Kornelius.

Trudno ocenić, na ile komentarz Korneliusa był rodzajem balonu próbnego wypuszczonego z Niemiec w stronę Polski, a na ile mógł być skutkiem antyszambrowania antypisowskich dziennikarzy w niemieckich redakcjach, faktem jest jednak, że wraz z uruchomieniem procedury artykułu 7 odmieniane przez wszystkie przypadki hasło polexitu już na stałe weszło do repertuaru opozycji.

MYDLENIE OCZU

Na tym etapie polexit przedstawiany był przez opozycję jako świadoma gra obozu rządowego, który kontynuując zmiany w sądownictwie, eskalował konflikt z Unią Europejską, aby ostatecznie doprowadzić do wystąpienia Polski ze wspólnoty. Oczywiście większość osób obserwujących polską i europejską politykę, w tym również wśród opozycji, doskonale wiedziała, że taki scenariusz jest bujdą. Ani po stronie rządu, ani po stronie Unii nie było woli, aby doprowadzić do polexitu.

Chodziło o zastraszenie społeczeństwa i wywarcie presji na PiS, aby cofnął wprowadzone zmiany. Jednak nawet opór obozu rządowego mógł być politycznie korzystny dla opozycji. Przeciągający się w nieskończoność konflikt i dalsze narastanie sporu z Brukselą pozwalały podtrzymywać narrację o rzekomym polexicie. Powtarzane nieustannie hasło zaczęło w końcu odnosić skutek, wprawdzie mało kto wierzył w polexit, ale opozycji udało się go skojarzyć z polityką PiS.

W 2018 r. w kolejnej fazie sporu wokół sądownictwa wybuchł konflikt wo-

eprasa.pl 8c095ff059

kół tzw. pytań prejudycjalnych, czyli kwestii dotyczących wykładni unijnych traktatów i aktów prawnych, z którymi sądy państw członkowskich Unii Europejskiej zwracają się do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE). Problem polegał na tym, że pytania prejudycjalne zostały wykorzystane do kwestionowania reformy sądownictwa. Sędzia Igor Tuleya we wrześniu 2018 r. zawiesił prowadzoną przez siebie sprawę kryminalną do czasu rozstrzygnięcia przez unijny trybunał wysłanych przez niego pytań prejudycjalnych (niezwiązanych z prowadzoną sprawą). W reakcji minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro podważył legalność wysyłania pytań prejudycjalnych w sprawach dotyczących ustroju, kształtu i organizacji władzy sądowniczej państwa członkowskiego i złożył wniosek w tej sprawie do Trybunału Konstytucyjnego.

Spór ten został natychmiast wykorzystany do podniesienia alarmu. Borys Budka, obecny szef PO, stwierdził wówczas, że jeśli rząd nie uzna wyroku TSUE, to będzie to oznaczało „przygotowanie gruntu pod realne wyjście Polski z Unii Europejskiej". Ostatecznie kasandryczne przepowiednie Budki okazały się mydleniem oczu, bo kilka miesięcy później TSUE uznał pytania prejudycjalne Igora Tulei za „niedopuszczalne" i niemające związku z prowadzoną przez niego sprawą. Niewykluczone jednak, że rozpętana w październiku 2018 r. nowa burza wokół rzekomego polexitu była celowym zabiegiem. Warto bowiem zauważyć, że zbiegła się ona w czasie z wyborami samorządowymi, w których Platformie udało się utrzymać (a nawet umocnić) pozycję w miastach. Straszenie polexitem mogło zatem zadziałać mobilizująco na elektorat antypisowski.

WYPIERPOL TUSKA

Ostatnia fala polexitu zaczęła przybierać na sile wraz z nabierającą powoli tempa kampanią prezydencką oraz kolejną odsłoną sporu wokół wymiaru sprawiedliwości i grożącymi nam jakoby wielomilionowymi sankcjami finansowymi, jeśli Polska nie „zamrozi" funkcjonowania Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego (Komisja Europejska zdementowała podawane przez media informacje o sankcjach).

W związku z tym opozycja nieco zmodyfikowała taktykę. Mniej się już mówi o dążeniu PiS do wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej, za to więcej o tym, że to Unia usunie nas „za karę" z grona swoich członków. W tym celu ukuto mało wyrafinowane hasło „wypierpol", którego promotorem stał się Donald Tusk. Nawiązuje ono do „wypchnięcia Polski", czyli wyrzucenia na margines wspólnoty.

> Jeśli komuś zależy na zawieszeniu Polski w prawach członka UE, to chyba wyłącznie opozycji, która traktuje to jako rodzaj bomby atomowej zrzuconej na PiS

Tusk, znacznie bystrzejszy od szarej masy swoich dawnych koleżanek i kolegów z partii, dostrzegł jednak, że mało kto poza własnym elektoratem wierzy, że PiS dąży do polexitu. Zamiast tego mówi się więc o tzw. prawnym polexicie, czyli o zawieszeniu Polski w prawach członka lub o jej usunięciu ze wspólnoty w związku z niedostosowaniem systemu prawnego do standardów obowiązujących w Unii. Miałoby to nam grozić w przypadku dalszego oporu obozu rządzącego w sprawie reformy wymiaru sprawiedliwości. Zawieszenie niektórych praw członkowskich przewiduje zresztą wszczęty przeciwko Polsce artykuł 7 traktatu unijnego, ale dopiero po wyczerpaniu innych procedur i przegłosowaniu większością kwalifikowaną 72 proc. w Radzie Europejskiej. W domyśle więc najlepszą gwarancją uniknięcia tego scenariusza jest odsunięcie PiS od władzy.

Pomimo niechęci unijnego mainstreamu do rządu PiS nikt nie spieszy się z zawieszaniem Polski. Stworzyłoby to bowiem dość ryzykowny precedens. Dlatego rządy państw unijnych preferują negocjacje. Jeśli komuś zależy na prawnym polexicie, to chyba wyłącznie opozycji, która traktuje go jako rodzaj bomby atomowej zrzuconej na PiS. I coraz trudniej się łudzić, że opozycja byłaby w stanie się powstrzymać przed jej odpaleniem, gdyby tylko miała taką sposobność. Trzeba jednak też dodać, że wiele tu zależy również od polityki obozu rządowego, który może skutecznie pokrzyżować szyki swoim oponentom, jeśli zachowa pole manewru i nie pozwoli opozycji przejąć agendy w kontaktach z unijnymi instytucjami.

NIEBEZPIECZNA ZABAWA

Wykorzystywanie przez opozycję hasła polexitu w wewnętrznych grach politycznych w Polsce jest działaniem bardzo szkodliwym. Po pierwsze dlatego, że bardzo osłabia pozycję Polski na forum unijnym. A po drugie, że wprowadzając hasło polexitu do normalnego obiegu politycznego, nadaje mu wagę. Daleko nam wprawdzie do samospełniającej się przepowiedni, nie wskazują na to na szczęście żadne badania opinii publicznej, ale nie da się zaprzeczyć, że w ciągu ostatnich czterech lat polexit przekształcił się z zupełnej aberracji w rzecz w pewnym sensie zwyczajną i przyjmowaną jako teoretycznie coś, co może kiedyś nastąpić.

Prezydent Andrzej Duda, komentując wypowiedzi Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na temat rzekomego wyjścia Polski z Unii Europejskiej, stwierdził, że o polexicie może mówić jedynie ktoś, kto tego pragnie. Oczywiście opozycja tego nie pragnie, ale z pewnością nie zmartwiłby jej wzrost nastrojów eurosceptycznych. Takie nastroje poszerzają bowiem elektorat opozycji, jeszcze bardziej polaryzują społeczeństwo i w efekcie mobilizująco wpływają na wyborców. Tyle że jest to bardzo niebezpieczna i cyniczna strategia.

Pocieszeniem jest niewielka wiara Polaków w polexit oraz inflacja tego hasła. Bo polexit – podobnie jak inne katastrofy wieszczone przez opozycję – ciągle, jak widać, nie nastąpił i być może za jakiś czas i on zacznie budzić powszechne politowanie.

eprasa.pl 8c095ff059

Nie jestem tylko od gaszenia pożarów

Gdybyśmy rozmawiali cztery lata temu, to mówilibyśmy o innej Polsce, z innymi potrzebami społeczeństwa. Pod tym względem w mojej ocenie dynamika zmian jest spora

– mówi Krzysztof Kubów, szef Gabinetu Politycznego Prezesa Rady Ministrów, poseł PiS, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Zastąpił pan na stanowisku ministra Marka Suskiego. Symboliczna zmiana pokoleń?

Krzysztof Kubów: Premierowi się nie odmawia. I to jego trzeba pytać o motywacje, dla których ściągnął mnie do KPRM.

Nie jest pan pierwszym ani ostatnim z pokolenia 30+ w otoczeniu premiera Mateusza Morawieckiego. Co nowego przynosicie do KPRM?

Myślę, że to, co wyróżnia Prawo i Sprawiedliwość, to przede wszystkim synergia pokoleń. Tu nie chodzi o metryki, ale o zaangażowanie całego przekroju polityków. Tych doświadczonych i takich, którzy w polityce dopiero rozwijają skrzydła. Fundamentem spajającym PiS jest współpraca, a nasi koledzy z większym doświadczeniem nie są zamknięci na dzielenie się spostrzeżeniami i udzielanie porad. To jest zauważalne i bardzo to cenię. Każde pokolenie do polityki wnosi inne rzeczy. Proszę zwrócić uwagę, że każde kolejne wybory przynoszą nowy elektorat kończący 18 lat i wchodzący w wiek wyborczy. Ale to koniec – te same osoby po czterech latach dalej są młode, mają poglądy, ale kierują się już innymi przesłankami niż wcześniej. Często bazują na podobnych wartościach, ale ubranych w różne formy.



Zmiany są aż tak duże?

Dynamika zmian jest spora. Chodzi o potrzeby, relacje, oczekiwania, zmiany głównych tematów w agendzie politycznej (kwestia środowiska, nowych technologii – w tym etycznych aspektów korzystania z nich) i tak dalej. Przede wszystkim zupełnie inne punkty odniesienia. Naturalne jest, że są one inne dla każdego pokolenia. Młodsze pokolenie łatwo się przyzwyczaiło do osiągnięć poprzedników, które wtedy wymagały ogromnej pracy. To z jednej strony duża szansa, bo stawiamy cele jeszcze wyżej, ale z drugiej zagrożenie, bo możemy je postawić nieproporcjonalnie wysoko – nie doceniając tego, co już mamy. Gdybyśmy rozmawiali cztery lata temu, to mówilibyśmy o innej Polsce, z innymi potrzebami społeczeństwa. Pod tym względem w mojej ocenie dynamika zmian jest spora.

I pan jest tutaj w KPRM, by je wychwytywać?

Zapewne po to również, ale moja rola w KPRM to zajmowanie się konkretami. Jestem od tego, by rozmawiać z politykami całego obozu Zjednoczonej Prawicy. Słuchać tego, czego dowiadują się podczas rozmów w każdym regionie kraju. To niezbędne do zachowania bieżącego wyczucia potrzeb i emocji społecznych.

Co to za konkretne sprawy?

Zakres jest tak szeroki, że obejmuje wszystkie resorty i sprawy. Kancelaria jest takim hubem, który gromadzi je wszystkie.

A pan, jak niegdyś premier Oleksy, wsiada do taksówki i nie musi podawać adresu, bo wszędzie pana potrzebują.

eprasa.pl 8c095ff059



[śmiech] Nie chciałbym, by tak to zabrzmiało, ale obszar działalności jest duży. Doba ma 24 godziny – premier siłą rzeczy nie może się z każdym spotkać, wszystkich spraw omówić bezpośrednio.

Ile takich spotkań – w imieniu premiera – ma pan dziennie?

Tych spotkań jest codziennie kilkanaście, niekiedy kilkadziesiąt. Często to bardzo ciekawe rozmowy, idące pod prąd codziennym sporom politycznym.

Poda pan nazwiska rozmówców?

Może lepiej nie. [śmiech] Ale ze sprawą, konkretnym tematem mogą przyjść do mnie osoby z różnych obszarów funkcjonowania państwa.

I przychodzą: jeden poseł ze sprawą mostu na Pomorzu, drugi samorządowiec z apelem o drogę na Podkarpaciu, a trzeci z prośbą o budowę przedszkola.

Są sprawy skali mikro: dotyczące gmin, powiatów i województw, ale jest grono osób przychodzące z sugestiami usprawnienia prawodawstwa na poziomie centralnym. A są i kwestie bardzo szerokie, jak choćby ostatni temat: wygaszenia pieca w krakowskiej hucie. W Davos premier rozmawiał z Lakshmim Mittalem. Efekt? Piec zostanie uruchomiony ponownie. Dwa tygodnie temu miałem spotkanie z przedstawicielami branży i na tapecie sprawę opodatkowania śladów węglowych w Europie – by przedsiębiorstwa z sektorów hutnictwa czy szkła były konkurencyjne.

Lubi pan konkrety.

Tak, wolę 15 minut konkretnej rozmowy niż trzy godziny akademickich dyskusji. Czasem w takich rozmowach trzeba uderzyć ręką w stół, by nie dzielić włosa na czworo w nieskończoność.

Z tego, co słyszę, to pana zadaniem jest prowadzenie takiej małej księgi skarg i zażaleń, które potem trafiają na biurko premiera.

Nie tylko. Nie jestem tylko od gaszenia pożarów – te, jeśli już się pojawiają, najlepiej gasi premier. Sam jestem pośrednikiem, czasem filtrem różnych spraw, jakie się pojawiają. Czasem muszę się spotkać z trzema stronami sporu i starać się doprowadzić do konsensu. Zależy mi, żeby zawsze uczciwie podchodzić do tego rodzaju historii: „Mamy takie i takie środki, to wy powinniście wypracować propozycję, by te środki dobrze spożytkować". A później przekazuję to ministrom i innym osobom odpowiedzialnym: czy naprawdę jesteśmy w stanie zająć się tematem od strony prawnej czy merytorycznej.

Brzmi dobrze, ale przy całej sympatii i szacunku dla rad powiatu, sejmików czy szeregowych posłów praca przy premierze to co innego.

Wiadomo, że to skala państwowa. Naturalnie dużo większa. Nie skłamię, jak powiem, że mój dzień pracy trwa dziś od 14 do 18 godzin. A i tak nie nadążam za tempem premiera Morawieckiego, który chyba w ogóle nie śpi. Śmiejemy się czasem w KPRM, że normalny organizm by tego nie wytrzymał. Do tego koordynacja tysiąca tematów naraz, pamięć absolutna...

Zostawmy laurkę na inną okazję. Dopytam o tę specyfikę pracy: to prawda, że dostajecie czasem maile od premiera o drugiej, trzeciej w nocy?

Mogę zdradzić tylko tyle, że zdarzają się sytuacje, że korespondujemy późnym wieczorem, a za chwilę nawet wczesnym rankiem.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8c095ff059

Pana żona zapewne nie bardzo jest zachwycona.

Staram się, by pięć dni w tygodniu poświęcać na pracę i KPRM, ale weekend przeznaczyć dla rodziny i powrót do domu. Nie zawsze się to udaje, ale żona jest bardzo wyrozumiała. To jednak taka praca, że naprawdę chce się tu być i ma się poczucie misji.

Co jest w tym takiego pociągającego?

Projekt aktywnej Polski: stawiamy sobie trudne, ale ważne zadania – jak choćby cała Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, która jest motorem naszych działań gospodarczych, czy kolejne wspólne projekty międzynarodowe z naszymi partnerami za granicą. Ostatnia wizyta prezydenta Emmanuela Macrona, wiele rozmów z Angelą Merkel i innymi przywódcami – wszystko to dowód na rekonfigurację, jaka odbywa się na scenie europejskiej. Nie tylko z powodu brexitu. Te kilka naszych stanowczych, ale konstruktywnych stanowisk w Unii Europejskiej ze strony premiera polskiego rządu pokazuje, że rośniemy w siłę. W Berlinie, Paryżu czy Brukseli wiedzą już, że lepiej jest się z nami dogadać, niż być przeciwko nam.

> Wolę 15 minut konkretnej rozmowy niż trzy godziny akademickich dyskusji. Czasem w takich rozmowach trzeba uderzyć ręką w stół, by nie dzielić włosa na czworo w nieskończoność

Z perspektywy codziennej pracy widzi pan takie miejsca i obszary, w których powinniśmy czerpać wzorce z Niemiec czy Francji?

Myślenie o gospodarce. Choćby sprawa repolonizacji banków czy innych instytucji to jasny sygnał, że czerpiemy z codziennych wysiłków Niemiec czy innych krajów Zachodu. Czasem ta specyficzna mentalność przejawia się w bardzo drobnych sprawach: ostatnio w Warszawie zepsuł się prezydentowi Macronowi samochód. Zdarza się. Ale jaka była jego reakcja? Nie chciał niemieckiej limuzyny, z której korzysta nasz SOP, ale jasno stwierdził, że jest przywiązany do francuskiej marki. To tylko mały symbol, ale przecież i na poziomie szerszym widać, że dla Francuzów czy Niemców jasne jest, że interes narodowy jest bardzo istotny. Trzeba iść tą ścieżką i wzmacniać to poczucie w Polsce.

Na razie mamy osiemdziesiąt parę dni do wyborów. I grę o wszystko w kampanii.

Z mojej perspektywy będzie to nie tylko kampania wizerunkowa poszczególnych kandydatów, lecz i pytanie o to, czy Polacy chcą kontynuacji modelowej współpracy rządu z prezydentem.

Bywało różnie z tą modelową współpracą. Były weta, był ostry spór z szefem MON zakończony dymisją tego ostatniego.

Tak, ale to tylko pokazywało, że prezydent miał swoje zdanie i w kilku aspektach spraw musiał być rozjemcą. Mam na myśli szersze zjawisko: mieliśmy ostatnio werbalny atak ze strony prezydenta Rosji, a przecież przy ewentualnej głowie państwa z drugiej strony sporu w Polsce, będzie niezwykle trudno uzgodnić wspólne stanowisko. Będziemy rozgrywani, jak przy pamiętnej walce o krzesło.

Słychać czasem z PiS i od waszych sympatyków, że te wybory są w zasadzie i tak wygrane. Że nawet jeśli były wątpliwości, to załatwią je wpadki Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

To złe podejście, bo jeśli je przyjąć, to oznaczałoby, że mamy w sobie tyle pychy, ile swojego czasu Adam Michnik, który opowiadał o ciężarnej zakonnicy, którą trzeba po pijaku przejechać na pasach, żeby przegrać wybory. Ale są i pragmatyczne powody: takie podejście demobilizuje wyborców, a to elektorat, który wychodzi poza PiS, jest dziś szerszy. I dlatego trzeba zrobić wszystko, by te wybory wygrać w pierwszej turze.

Myśli pan, że to realne?

Realne. Ale potrzebna jest maksymalna mobilizacja zarówno naszych wyborców, jak i wszystkich tych, którzy stawiają na „mniejszych" kandydatów. Naprawdę nie ma co tracić głosu: 3 czy 4 proc. wyborców dla innego kandydata niczego nie zmienią, bo i tak zakładamy, że będzie dwóch głównych faworytów tego wyścigu. I dlatego warto już w pierwszej turze oddać głos na prezydenta Dudę.

Wróćmy do KPRM. Całe to otwarcie na pokolenie 30+ miało otworzyć PiS na wyborców dużych miast, spoza bazowego elektoratu partii. Wyszło tak sobie.

Duże znaczenie w tym podziale mają media, natomiast co do konkretnego zarzutu: nie zgadzam się, wydaje mi się, że poszliśmy szerzej. W ubiegłorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego byliśmy skazani na porażkę, zwłaszcza przy rosnącej frekwencji, a co się okazało? Że oprócz stabilnego elektoratu PiS potrafimy sięgnąć po sporą górkę wyborców. Osiągnęliśmy największą liczbę głosów w historii Polski – ponad 8 mln. W miastach mamy ponad 30 proc. głosów – to nieosiągalne dla większości naszych rywali. Proszę zobaczyć, jak trudno jest 20 proc. przekroczyć PO na wsi, a przecież na terenach wiejskich mieszka 40 proc. Polaków.

A jesienią? Pewien niedosyt był zauważalny, także w przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego.

Jesienią, przy wyborach parlamentarnych, panowało bowiem to wspomniane przez pana przekonanie i poczucie, że jest pozamiatane, bo sondaże pokazywały 45, 48, 51 proc. Przestrzegam przed wiarą w badania – każdy, kto wspiera obóz dobrej zmiany i prezydenta Andrzeja Dudę, powinien mieć poczucie odpowiedzialności, że 10 maja naprawdę rozstrzygamy kluczową sprawę co do przyszłości państwa, a nie uczestniczymy w takim czy innym plebiscycie.

Reklama | 33/0120/F

eprasa.pl 8c095ff059



MECENAS FILMU

PATRON HONOROWY FILMU

PATRONI MEDIALNI

eprasa.pl 8c095ff059

Jak Kwaśniewscy willę sprzedawali

Dialogi niczym z gangsterskich filmów. Szwindel na miliony, którego nie dało się utrzymać w tajemnicy. W rolach głównych: była para prezydencka i wąskie grono jej przyjaciół. Wreszcie próba zemsty upadłego eksagenta CBA i niespodziewany ruch prokuratury. Historia o „willi Kwaśniewskich" powraca w pełnej krasie. I powoli się domyka



MAREK PYZA

Wydawało się, że o tej sprawie wszyscy już zapomnieli, Jolanta i Aleksander Kwaśniewscy mogą spać spokojnie i się nie kłopotać, że przyjdzie im znów się tłumaczyć z posiadanych (bądź użytkowanych) nieruchomości. Któż by przypuszczał, że w nie lada kłopoty byłą parę prezydencką wpędzi osobista wendeta eksagenta CBA na dawnych szefach (ma im za złe, że nie stanęli w jego obronie, gdy w ubiegłym roku prokurator zajął się machlojkami Tomasza Kaczmarka w stowarzyszeniu Helper, które wyłudzało publiczne dotacje).

Trudno odgadnąć, na co liczył były funkcjonariusz służb, gdy przed kamerami TVN się zarzekał, że jedynymi obciążającymi Kwaśniewskich dowodami w sprawie willi w Kazimierzu Dolnym są jego notatki. Wiedział, że to nieprawda. Czy liczył, że prokuratura i CBA nie zdecydują się na odtajnienie i upublicznienie nawet drobnej części materiałów? Jeśli tak, to srogo się przeliczył. I poza postawionymi mu w listopadzie zarzutami prania brudnych pieniędzy, udziału w zorganizowanej grupie przestępczej czy wyłudzeń niebawem może usłyszeć kolejne – składania fałszywych zeznań. Skoro w 2009 r. o operacji w sprawie wilii mówił prokuratorowi zupełnie co innego niż kilka tygodni temu, w którychś zeznaniach musiał kłamać. Ustalenie tego będzie dla śledczych banalnie proste.

W odpowiedzi na oskarżenia Kaczmarka prokuratura i CBA ujawniają kilka godzin nagrań i kilkaset stron dokumentów ze śledztwa. Każdy może się z nimi zapoznać, by się przekonać, czy należy wziąć pod lupę majątek państwa Kwaśniewskich.

Oni sami się skarżą, że służby manipulują, ujawniając tylko część dokumentów, i pytają, dlaczego są podsłuchiwani, a nie przesłuchiwani. Odpowiadamy – podsłuchiwani od ponad dekady już nie są, ale przesłuchani będą zapewne na finiszu śledztwa. Taka jest praktyka postępowań przygotowawczych – podejrzanych, którym chce się postawić zarzuty, przesłuchuje się na końcu, po zgromadzeniu całego materiału dowodowego.

LEWA TRANSAKCJA

Czy CBA miało podstawy do zajęcia się tą sprawą w 2007 r.? Spójrzmy na fakty. W 2005 r. przyjaciółka Kwaśniewskich kupuje w Puławach dom za 300 tys. zł. Transakcją interesują się organy skarbowe, bo Maria Jaworska ma niskie dochody, które nie pozwalają na taki wydatek. Pod koniec 2007 r., aby uwiarygodnić posiadane środki, kobieta przedkłada w skarbówce umowę przedwstępną, według której dwa lata wcześniej zobowiązała się sprzedać dom w Kazimierzu Dolnym Markowi Michałowskiemu (prezes Budimeksu, przyjaciel Kwaśniewskich), na poczet czego ten miał zapłacić jej wówczas milion złotych. Akt notarialny spisano dopiero w październiku 2007 r., by ratować się przed organami skarbowymi, jednak nie zawiera on żadnej wzmianki o umowie z 2005 r.

Gdy rozmowa Józefa Oleksego z Aleksandrem Gudzowatym staje się publiczna, do akcji wkracza CBA. Były premier mówi bowiem szefowi Bartimpeksu, że Kwaśniewscy na podstawionego „kolesia" kupili dom w Kazimierzu. Rozpoczyna się kontrola operacyjna. Okazuje się, że pierwszy kontakt Jaworskiej z Michałowskim nastąpił w kwietniu 2006 r., po tym, jak w mediach pojawiły się już informacje o kupnie nieruchomości przez Kwaśniewskich.

Sprawa z daleka wygląda na ustawkę, ale CBA musi zgromadzić dowody, by odpowiedzieć na podstawowe pytanie: do kogo faktycznie należy willa – do

eprasa.pl 8c095ff059



Rys. Rafał Zawistowski

Michałowskiego czy Kwaśniewskich? Jeszcze zanim Biuro oddeleguje do sprawy funkcjonariusza pod przykryciem, z podsłuchanych rozmów telefonicznych wyłoni się klarowny obraz przekrętu. W ostatnim etapie Tomasz Kaczmarek, który wcieli się w rolę biznesmena zainteresowanego kupnem domu, ma już „tylko" się zaprzyjaźnić z Janem Jaworskim, synem Marii, i doprowadzić do transakcji, z której pieniądze – jak przypuszcza CBA – trafią do Kwaśniewskich.

Wbrew temu, co ostatnio twierdzi Kaczmarek, kluczowe w tej operacji wcale nie są sporządzane przez niego notatki służbowe. Dużo więcej dowodów przynoszą nagrane rozmowy bohaterów. Wynika z nich, że syn Jaworskiej jest pośrednikiem między Kwaśniewskimi a Kaczmarkiem, Kwaśniewska podejmuje wszelkie decyzje dotyczące willi, a Michałowskiego jakby w tej sprawie zupełnie nie było. Pełni funkcję klasycznego „słupa".

KLUCZE U JOLI

„Wiesz, że sprzedaję twój dom, bo nie jesteś zainteresowany, słyszałeś o tym? Cha, cha, cha" – mówi Jaworska, dzwoniąc do Michałowskiego. *„Tak, tak, tak, dotarło do mnie, dotarło do mnie"* – odpowiada mężczyzna.

Trzeba wielkiej naiwności, by nie widzieć drugiego dna w tym kuriozalnym dialogu. Jak i w wielu innych. Klucze do posiadłości ma Maria Jaworska (opiekuje się willą pod nieobecność byłej pary prezydenckiej), która też płaci rachunki za media (o pieniądze na nie musi się często u „Joli" dopominać, wielokrotnie narzeka na to w rozmowach z synem: *„Jasiek, Jola musi dać dwa tysiące. […] Żeby tam były w szufladzie, bo ja nie będę zakładała, bo ja nie mam, no. Ja nie będę brała z debetu dlatego, żeby płacić cudze rachunki, no"*. Była prezydentowa ma drugi komplet i dowolnie nim dysponuje. Dowiadujemy się tego, gdy do domu przyjeżdża przyjaciel Kwaśniewskich, niechcący uruchamia alarm i dzwoni do Jaworskiej. Informuje, że klucze dała mu „Jola". Ale w kolejnych rozmowach Jaworska w przedziwny sposób – najwyraźniej spodziewając się, że może być nagrywana – parokrotnie, wręcz nachalnie, „przypomina" mężczyźnie, że klucze dostał od... Marka Michałowskiego (czyli teoretycznie formalnego właściciela nieruchomości).

Kwaśniewska jest za to jedyną osobą posiadającą kluczyk do sejfu znajdującego się w budynku. Jak się później okaże, znajdowały się w nim prywatne dokumenty Aleksandra Kwaśniewskiego.

To żona PZPR-owskiego ministra ds. młodzieży konsultuje z Jaworską wybór pakietu telewizji satelitarnej: *„I... tam na wiesz, te, te, no to, że te sportowe kanały to bardzo dobrze, bo jak mówię teraz przy, przy wiesz tych mistrzostwach to fajna rzecz. […] My mamy Cyfrę, wiesz, w tej Cyfrze nie ma przecież... przecież nie będziemy kupować, wiesz Polsatu teraz, żeby Olek mógł sobie oglądnąć..."*.

Nagrywane osoby z reguły zachowują ostrożność. Gdy Jaworska rozmawia z Michałowskim, mówi o „tej swojej znajomej", pod której „dyktando" pisała wyjaśnienia dla skarbówki. Chodzi o Kwaśniewską. Gdy rozmawiają o sprawach remontowych, Michałowski podpowiada: *„No dobrze, a tam przede wszystkim, to wiesz, no skontaktuj się może z tą, no wiesz z kim... może ona coś podejmie"*. I tak za każdym razem.

eprasa.pl 8c095ff059

Dlaczego gdy trzeba podjąć jakąkolwiek decyzję, jedyną instancją jest Kwaśniewska? Dlaczego Jaworscy zwracają się o pieniądze do Kwaśniewskiej, a nie do Michałowskiego, który oficjalnie ma być właścicielem domu? Po co Kwaśniewskiej klucz do cudzego sejfu?

I wreszcie: dlaczego to ona ma podejmować decyzję o cenie cudzej nieruchomości? Jaworscy się cieszą, że dom zostanie sprzedany, bo nie będą już musieli się nim zajmować, co jest uciążliwe, a ponadto zarobią prowizję.

Jan Jaworski: „On [o Tomaszu Kaczmarku – przyp. red.] jest taki napalony już, już ma zebrane pieniądze, już wiesz, wstępnie chce z architektem rozmawiać i tak dalej. On naprawdę poważnie do tego podchodzi. A nie jest tak, że: a, zobaczymy. Ona już ma plan, już wiesz, rozmawiał ze mną, czy byśmy ewentualnie to mogli...".

Maria Jaworska: „Ale to nie mówi Joli".

J.J.: „Nie, no nie, żeby nie mogła, wiesz, tutaj windować ceny, czy coś. [...] Poza tym ja liczę na to, że jakby, że sama wyjdzie z inicjatywą jakiejkolwiek, jakiejkolwiek, mówię jakiejkolwiek prowizji. Wiesz, no...".

W kolejnej ich rozmowie pojawia się „kwestia rozwiązań transakcyjnych". Jak mówią, kupiec „musi być bardzo elastyczny", i cieszą się, że Tomek nie musi mieć „wszystkiego na papierze". Dzięki temu tylko połowa kwoty za dom zostanie uwzględniona w akcie notarialnym. Pozostała część zostanie przekazana pod stołem.

„TELEFONY MAJĄ USZY"

Agent Tomek dobrze wykonał swoją robotę. Nie tylko zdobył zaufanie Jaworskich i doprowadził do transakcji, lecz wielokrotnie wydobył ze swoich rozmówców (używał ukrytego mikrofonu) potwierdzenie tego, że dom należy naprawdę do Kwaśniewskich. Pierwszy raz usłyszał o tym od Agnieszki, dziewczyny Jana Jaworskiego.

Tomasz Kaczmarek: „No, Agnieszka mi powiedziała, nie? Ale chcę z, wiesz, z wami porozmawiać z racji tego, żeby nie mieć później jakiejś jazdy".

Jan Jaworski: „Ale powiedziała ci co?".

T.K.: „Że to Kwaśniewscy są właścicielami tego, nie... a że tu jest ktoś inny".

J.J.: „A widzisz...".

T.K.: „A jej matka się odezwała i mówi: nie, nie, nie, ty się nic nie odzywaj... mówi: lepiej, żebyś sam opowiadał".

J.J.: „Matka ch... mądrzejsza jest niż córka".

T.K.: „Ja mówię: no, dobra".

J.J.: „No, dobra, bo ja jej powiedziałem, że jest to... ja jej też powiedziałem, że wprost ci nie powiem, bo jest sytuacja... że jesteś zobowiązana do czegoś... po prostu, nie... ściany mają uszy, telefony mają uszy...".

> Kwaśniewscy twierdzą, że CBA nie ujawniło tej części materiału, która działa na ich korzyść. Ale tego, co jest na upublicznionych nagraniach, nie da się usprawiedliwić. Jest zbyt jasne, zbyt czytelne

W kolejnym fragmencie tej rozmowy funkcjonariusz słyszy taką opowieść: *„Wyobraź sobie taką sytuację... teoretycznie zupełnie. Dwójka ludzi na wysokim stanowisku i tak dalej, którym cały czas patrzą na ręce... ma swojego bardzo zaufanego przyjaciela, który prowadzi... również jest prezesem firmy agencji nieruchomości [...] i oni mogą z nim na gębę wszystko zrobić. Ten człowiek, który jest bardzo zamożny i ma mnóstwo pieniędzy, może coś takiego kupić. Nikt mu nie będzie zadawał pytań, skąd ma pieniądze. Bo mógłby powiedzieć: w skarpecie albo pod łóżkiem tyle znalazłem, albo w spodniach [...] no i w tym momencie urząd skarbowy, który jest naciskany przez różne instytucje [...] się po prostu interesuje, bo napisały gazety i stara im się udowodnić pewną rzecz, nie jest w stanie tego udowodnić przez wiele lat, chociaż przedłużają, przedłużają, przesłuchują ludzi, którzy nie mają nic do ukrycia".*

Nazwiska tu nie padają, ale mechanizm jest czytelny – to ma być sposób Kwaśniewskich na „bezpieczne" interesy w nieruchomościach.

Gdy rozmowa schodzi na temat kontroli urzędu skarbowego po rzekomej transakcji w 2005 r. między Jaworską a Michałowskim, Jan opowiada Kaczmarkowi: *„To się po prostu ciągnęło i było upierdliwe... konsultacja z jednym prawnikiem. Drugie... wysyłanie pocztą telefonu komórkowego, wiesz, i tak dalej... bezpiecznego... to jest jak z filmu".*

„GRYPSERA" O BUTACH

Im bliżej jest transakcji z Kaczmarkiem, tym coraz bardziej filmowe stają się też dialogi naszych bohaterów. Pierwotna cena domu nie wynosi 3,5 mln zł, ale „35 zł", innym razem (po utargowaniu) zamiast 3,1 mln, używana jest kwota „310 zł" – za „buty", które oznaczają gotówkę. „Zielone buty" to dolary, „garaż" – sejf w biurze Michałowskiego, a „szewc" – zaprzyjaźniony kantor. Dywagacje Jolanty Kwaśniewskiej nad „butami w rozmiarze europejskim" (czyli w euro) poznaliśmy już przed dekadą. Teraz obraz nam się dopełnia.

Co na nim widzimy? Byłą parę prezydencką, która choć w III RP ma status nietykalnych, swoje interesy załatwia niczym „chłopcy z miasta". Obawiając się podsłuchów, stosuje konspiracyjne metody komunikacji, podstawia słupy. Wszystko po to, by ukryć swój majątek.

Kwaśniewscy twierdzą, że CBA nie ujawniło tej części materiału, która działa na ich korzyść. Ale tego, co jest na upublicznionych nagraniach, nie da się usprawiedliwić. Jest zbyt jasne, zbyt czytelne. Wystarczy się z tym zapoznać, by odstąpić od obrony byłej pary prezydenckiej.

Śledztwo w tej sprawie umorzono w 2010 r., ale wówczas katowicka prokurator Iwona Palka – wbrew poleceniu prokuratora generalnego Andrzeja Czumy – nie włączyła do akt śledztwa materiału operacyjnego CBA. To dlatego do dziś nikt nie poniósł konsekwencji, a Kwaśniewscy nie usłyszeli nawet zarzutów. Na nowo postępowanie podjęto w 2016 r. Ma się zakończyć do czerwca.

eprasa.pl 8c095ff059



Poczta Polska ze strategią nastawioną na paczki

W 2019 r. przychody Poczty Polskiej z obsługi paczek i przesyłek kurierskich wyniosły 1,05 mld zł. Z szacunków spółki wynika, że za cztery lata przychody z tego segmentu się podwoją. Firma rzuca wyzwanie rynkowi, na którym dominują zagraniczne przedsiębiorstwa. Środkiem do osiągnięcia celów jest znowelizowana Strategia Poczty Polskiej na lata 2020–2024

Od kilku lat jesteśmy świadkami rewolucji technologicznej. Jeszcze 10 lat temu skrzynki pocztowe wypełniały rachunki za prąd, gaz, pisma z banków, powiadomienia z urzędów. Dziś coraz częściej zamiast papierowego listu dostajemy powiadomienie na nasz adres e-mailowy. Z danych Poczty Polskiej wynika, że w ub.r. wolumen tradycyjnej korespondencji spadł o 9 proc. W najbliższych latach ta tendencja się utrzyma. Tym bardziej że rząd zaczął już przygotowania do wdrożenia programu e-doręczeń. Nowa usługa przyspieszy i usprawni wymianę informacji. Kluczową rolę w tym procesie może odegrać Poczta Polska, która ma szansę zostać Narodowym Operatorem Cyfrowym.

Jednocześnie z roku na rok Polacy robią coraz więcej zakupów w e-sklepach. Rynek paczkowy w Polsce rośnie w dwucyfrowym tempie. Jak wskazuje Urząd Komunikacji Elektronicznej, wolumen przesyłek kurierskich i paczek tylko w latach 2015–2017 wystrzelił o 37 proc., z 243,3 mln do 334,2 mln szt. Dziś sięga on już 0,5 mld szt., według prognoz w ciągu kolejnych czterech lat może rosnąć średnio o niemal 11 proc. rocznie. Segment przesyłek kurierskich w ostatnich latach zwiększał swoją wartość w tempie nawet kilkuset milionów złotych rocznie. W 2018 r. zwiększył swoje przychody o rekordową kwotę 665,5 mln zł. W efekcie ocenia się, że rodzimy rynek KEP wart jest 7,8 mld zł, z perspektywą osiągnięcia poziomu 12,6 mld zł w 2024 r.

Owej dynamice sprzyja rozwój e-commerce. W latach 2012–2017 wartość e-handlu skoczyła z 24 do 40 mld zł. W 2018 r. oceniono ją na ok. 45–50 mld zł. Na tym nie koniec, potencjał dalszego wzrostu polskiego rynku e-commerce jest jednak większy.

Dziś Poczta Polska jest jedną z firm, które walczą o klienta. Na tym bardzo konkurencyjnym rynku działają najwięksi międzynarodowi gracze: DPD, DHL, UPS, GLS. To sprawia, że walka o pozycję w tym sektorze, który ma być jednym z głównych źródeł przychodów Poczty, jest wyjątkowo trudna.

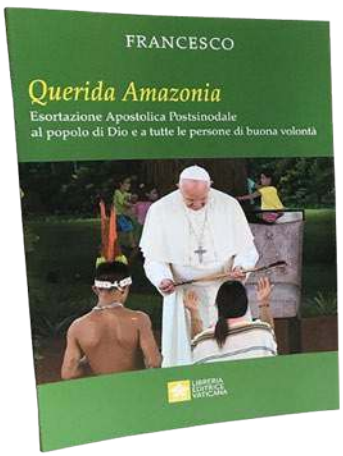
Nie jest to jednak walka skazana na porażkę, dlatego w znowelizowanej strategii spółki przyjęto, że w ciągu najbliższych lat inwestycje w nowoczesne sortownie, maszyny paczkowe i infrastrukturę IT wyniosą 1,9 mld zł.

Doinwestowanie sprawi, że Poczta Polska będzie mogła z wykorzystywać swoje atuty, do których należy największa w kraju sieć placówek. Nie bez znaczenia jest także to, że spółka, pozostając największym pracodawcą w kraju (zatrudnia ok. 80 tys. osób), ma unikatowy dostęp do obywateli, instytucji i przedsiębiorstw.

Impuls, jaki stwarza znowelizowana strategia, może sprawić, że narodowy operator pocztowy z powodzeniem odnajdzie się na rynku i nie podda się walkowerem. Bo wówczas rynek zostanie przejęty przez firmy z Niemiec, Francji czy USA.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 26/0220/F

eprasa.pl 8c095ff059



Rozczarowanie modernistów, radość ortodoksów

W swej adhortacji Franciszek nie poparł żadnego z rewolucyjnych postulatów synodu ds. Amazonii, m.in. wprowadzenia diakonatu kobiet ani możliwości wyświęcania żonatych mężczyzn, a więc zniesienia celibatu kapłańskiego. Sprawa nie jest jednak ostatecznie zamknięta



GRZEGORZ GÓRNY

12 lutego w Watykanie została ogłoszona adhortacja apostolska „Querida Amazonia". Dokument podsumowujący obrady ubiegłorocznego synodu ds. Amazonii był oczekiwany w Kościele z dużą niecierpliwością. Do ostatniej chwili wszyscy zadawali sobie pytanie, czy Franciszek przychyli się do postulatów ojców synodalnych, czy też zdystansuje od nich. Na pierwszy plan wysuwały się zwłaszcza trzy propozycje: wprowadzenie diakonatu kobiet, możliwość wyświęcania żonatych mężczyzn, a więc zniesienie celibatu kapłańskiego, oraz „wypracowanie amazońskiego rytu, który wyraża liturgiczne, teologiczne, dyscyplinarne i duchowe dziedzictwo Amazonii".

REWOLUCJI NIE BĘDZIE

Opublikowana adhortacja zawiera wiele wątków, które można podzielić na cztery części: społeczną, kulturową, ekologiczną i kościelną. Uwaga komentatorów koncentrowała się głównie na ostatnim aspekcie, dlatego że zawierał on najbardziej rewolucyjny potencjał. Gdyby pomysły zaproponowane przez uczestników synodu zyskały aprobatę Franciszka, wówczas doszłoby w Kościele do przełomowych zmian.

Co znalazło się w adhortacji? Po pierwsze, w ogóle nie została podjęta kwestia zniesienia bezżenności księży. Franciszek napisał, że tylko kapłan może sprawować Eucharystię, odpuszczać grzechy czy udzielać namaszczenia chorym. Zdecydowanie odciął się on też od propozycji wyświęcania kobiet na księży. Stwierdził, że „takie spojrzenie faktycznie ograniczyłoby perspektywy, poprowadziłoby nas do klerykalizacji kobiet, pomniejszyłoby wielką wartość tego, co już dały i w subtelny sposób spowodowałoby zubożenie ich niezbędnego wkładu". Dodał zarazem, że kobiety „powinny mieć dostęp do funkcji, jak również do posług kościelnych, które nie wymagają sakramentu święceń i pozwalają im lepiej wyrazić ich własną rolę".

Franciszek nie podjął też decyzji o stworzeniu nowego amazońskiego rytu mszy świętej. Wezwał do liturgicznej inkulturacji Amazonii, ale z zachowaniem obowiązujących do tej pory norm. Reasumując, adhortacja nie poparła wprost żadnego z najbardziej kontrowersyjnych postulatów zawartych w dokumencie końcowym synodu.

KRYTYKA I POCHWAŁA

Nic dziwnego, że dokument spotkał się z krytyką w niemieckojęzycznym świecie katolickim, zdominowanym przez środowiska lewicowo-liberalne. Aż do momentu publikacji panowało tam przekonanie, że Franciszek poprze rewolucyjne pomysły ojców synodalnych. Pierwsze komentarze były wręcz miażdżące. Przewodniczący Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików Thomas Sternberg wyraził rozczarowanie, że Franciszek wykazał „brak odwagi do przeprowadzenia prawdziwych reform". Wpływowy teolog austriacki ks. Paul Zulehner napisał, że „współczesna teologia kobiet nigdy nie była mocną stroną papieży, nawet papieża Franciszka", pojawiające się zaś w adhortacji argumenty przeciw święceniom kobiet nazwał wręcz „żenującymi". Niemiecki teolog ks. Paul Suess stwierdził, że wizja Kościoła w Amazonii zawarta w papieskim dokumencie momentami zamienia się w koszmar. Przewodnicząca Katolickiego Związku Kobiet w Niemczech Agnes Wuckelt oświadczyła, że adhortacja stanowi „cios dla wszystkich kobiet, które liczyły, że otrzymają silny sygnał mówiący o równości w Kościele katolickim". Dodała, iż „nie do zniesienia jest sytuacja, w której Kościół nadal odmawia kobietom równych praw i degraduje je do usługodawców na podstawie argumentów biologicznych".

W środowiskach wiernych katolickiej ortodoksji dokument spotkał się natomiast z bardzo życzliwym przyjęciem. Przewodniczący Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki przyznał, że z ulgą przeczytał część adhortacji dotyczącą kapłaństwa. Omawiając treść „Querida Amazonia", powiedział m.in.: „Gdy idzie o celibat kapłański, to wydaje mi się, że ważna jest treść punktu 101, gdzie mowa jest o tym, co podkreślali często kardynałowie Müller i Sarah: celibat w Kościele katolickim nie bierze się z tego, że jest funkcjonalny, pozwala zachować majątek kościelny czy inne dobra, tak jak często opisuje się to w sposób komiczny. Kapłaństwo katolickie wyrasta z obrazu Chrystusa, który jest Oblubieńcem Oblubienicy – Kościoła. To utożsamienie stoi u podstaw kapłaństwa

eprasa.pl 8c095ff059

Chrystusowego. Potem następuje to, co było właściwe Chrystusowi: całkowita ofiara, którą składa [kapłan] na rzecz swego Kościoła. Znacznie trudniej o to we wspólnotach, w których nie obowiązuje celibat. [...] Trudno utożsamić się całkowicie z samym Chrystusem, gdy mamy pod opieką nie tylko wspólnotę kościelną, ale i rodzinną".

Powołując się na dokument Franciszka, abp Gądecki przestrzegł też przed środowiskami feministycznymi w Kościele, które żądają święceń dla kobiet.

Adhortację z zadowoleniem przyjął również były prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Müller, który wyraził nadzieję, że „Querida Amazonia" może pojednać poszczególne ideologicznie skłócone frakcje w Kościele.

LEKCJA „AMORIS LAETITIA"

Jeśli ktoś myślał, że do wspomnianego pojednania dojdzie, to musiały go z tego błędu wyprowadzić kolejne publiczne wypowiedzi katolickich hierarchów. Chodzi zwłaszcza o głosy czterech wpływowych purpuratów, którzy stwierdzili, że dokument wcale nie zamyka dyskusji o zniesieniu celibatu. W takim duchu wypowiedzieli się: przewodniczący Episkopatu Niemiec kard. Reinhard Marx, sekretarz generalny synodu ds. Amazonii kard. Lorenzo Baldisseri, podsekretarz watykańskiej Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka kard. Michael Czerny i prymas Austrii kard. Christoph Schönborn.

Wiele wskazuje na to, że kluczowa dla recepcji „Querida Amazonia" może się okazać nie tyle treść samego dokumentu, ile jego interpretacja. Podobnie było w przypadku poprzedniej adhortacji Franciszka „Amoris laetitia". Po jej ukazaniu się wielu hierarchów i teologów mówiło wprost, że potwierdza ona dotychczasowe nauczanie Kościoła i nie zmienia niczego w dyscyplinie sakramentów. A jednak, powołując się na ten dokument, wiele episkopatów, diecezji czy parafii zaczęło dopuszczać do komunii osoby rozwiedzione i utrzymujące relacje seksualne w ponownych związkach. Tak się stało m.in. w Niemczech, Belgii, Argentynie czy na Malcie. Powodem były nie dość jasne i dwuznaczne sformułowania zawarte w „Amoris laetitia".

W tym kontekście symbolicznego znaczenia nabiera niedawna wizyta w Rzymie argentyńskiego prezydenta Alberta Fernándeza – polityka, który po objęciu urzędu jako swój pierwszy cel wskazał legalizację aborcji. 31 stycznia wziął on udział we mszy celebrowanej w Watykanie przez przewodniczącego Papieskiej Akademii Nauk bp. Marcela Sáncheza Sorondo i przystąpił do sakramentu Eucharystii razem ze swą konkubiną Fabiolą Yáñez. Hierarcha, który sam jest Argentyńczykiem, doskonale wiedział, że prezydent i jego kochanka nie mają nawet ślubu cywilnego, a mimo to udzielił im komunii. W rozmowie z portalem LifeSiteNews biskup bronił swej decyzji, dziwiąc się, że ktoś w ogóle widzi w tym problem.

Swobodna interpretacja „Amoris laetitia" powoduje więc, że nawet w Watykanie dopuszcza się do sakramentu Eucharystii rozwodników żyjących bez ślubu cywilnego w konkubinacie i uważa się to za normalne.

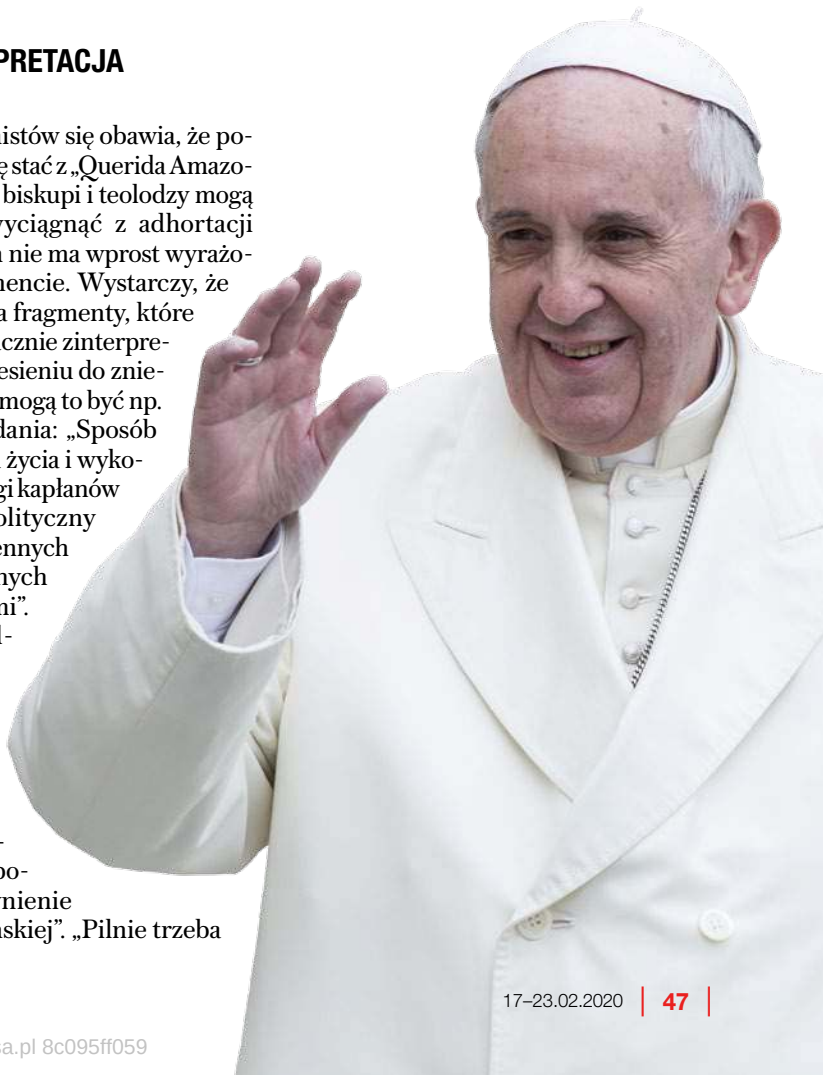
JAKA INTERPRETACJA ZWYCIĘŻY

Część watykanistów się obawia, że podobnie może się stać z „Querida Amazonia". Niektórzy biskupi i teolodzy mogą mianowicie wyciągnąć z adhortacji wnioski, jakich nie ma wprost wyrażonych w dokumencie. Wystarczy, że powołają się na fragmenty, które można dwuznacznie zinterpretować. W odniesieniu do zniesienia celibatu mogą to być np. następujące zdania: „Sposób ukształtowania życia i wykonywania posługi kapłanów nie jest monolityczny i nabiera odmiennych odcieni w różnych miejscach ziemi". „W szczególnych warunkach Amazonii, zwłaszcza w jej puszczach i miejscach bardziej odległych, musimy znaleźć sposób na zapewnienie posługi kapłańskiej". „Pilnie trzeba sprawić, aby ludy amazońskie nie były pozbawione tego pokarmu nowego życia i sakramentu przebaczenia".

Podobnej nadinterpretacji, by wprowadzić ryt amazoński,

można dokonać także, powołując się na fragmenty dokumentu dotyczące inkulturacji: „Nie kwalifikujmy pospiesznie jako przesąd lub pogaństwo pewnych wyrazów religijnych, rodzących się spontanicznie z życia ludów. [...] Możliwe jest przyswojenie sobie w jakiś sposób symbolu rodzimego, niekoniecznie kwalifikując go jako bałwochwalczy. Zawsze można wykorzystać mit pełen znaczenia duchowego, a nie zawsze uważać go za pogański błąd".

W praktyce znaczenie „Querida Amazonia" zależeć będzie więc od tego, jaka interpretacja dokumentu zostanie narzucona i jaka zwycięży. Być może będzie ona inna w różnych rejonach świata, tak jak się to stało w przypadku „Amoris laetitia".



Fot. giulio napolitano/Shutterstock.com

eprasa.pl 8c095ff059



Potrzebujemy odwagi, by inwestować w przyszłość

Z Danielem Obajtkiem, prezesem PKN Orlen SA, o wynikach oraz inwestycjach Polskiego Koncernu Naftowego, o budowaniu multienergetycznej spółki, o zarządzaniu, nie zaś administrowaniu największą firmą paliwową w regionie, rozmawiają Michał Karnowski i Maciej Wośko („Gazeta Bankowa")

Zacznijmy od wyników Orlenu. W 2019 r. spółka osiągnęła zysk operacyjny EBITDA LIFO na poziomie 9,4 mld zł oraz zysk netto w wysokości 4,5 mld zł. W ciągu ostatnich czterech lat, od 2016 do 2019 r., zysk netto koncernu wyniósł łącznie ponad 23 mld zł. Wynik EBITDA LIFO w 2019 r. był o 1,1 mld zł wyższy niż rok wcześniej i został wypracowany przy rekordowym przerobie ropy wynoszącym 33,9 mln ton oraz rekordowej sprzedaży na poziomie 43,3 mln ton. Najwyższy w historii koncernu rezultat EBITDA LIFO, na poziomie ponad 3 mld zł, osiągnęły segment detaliczny oraz obszar energetyki, który w minionym roku dostarczył do wyniku 1,6 mld zł.

Daniel Obajtek: Jesteśmy bardzo zadowoleni z tych wyników. Tym bardziej że zostały one wypracowane pomimo zdecydowanego pogorszenia warunków makroekonomicznych, na które spółka nie ma wpływu. Możemy jednak wpływać na optymalizację kosztów i poprawę efektywności. To m.in. umowy, które zostały renegocjowane, to zmiana biegunów logistyki

eprasa.pl 8c095ff059

w Orlenie, zasilenie systemu paliwem z nowego kierunku, jakim jest Litwa – wreszcie gros produktów z naszej rafinerii w Możejkach trafia bezpośrednio do Polski. Wyniki Orlenu są stabilne. 23 mld zł zysku netto w ciągu czterech lat. Wcześniej, w ciągu ośmiu lat rządów PO, Orlen wykazał 2,9 mld zł. To jest realna zmiana gospodarcza, biznesowa, która pozwala nam dziś zdecydowanie szybciej inwestować, rozwijać się i realizować proces akwizycji. Orlen musi się rozwijać, żeby gonić konkurencję, a na to pozwalają właśnie wypracowane zyski i stabilna struktura dochodów.

Czy to oznacza, że wcześniej zyski były tak niskie, bo „optymalizowano" koncern? To kwestia złych umów, nieszczelności systemu?

Skala przychodów związana z uszczelnieniem obrotu paliw w Polsce, skuteczna walka z szarą strefą rządu i premiera Morawieckiego miały i mają niebagatelne znaczenie dla PKN Orlen. My, jako zarząd, dokładamy swoje. Zarządzamy tak, by wypracowywać jak najlepsze zyski. Za czasów PO koncern był administrowany. Poważnych inwestycji nie było, bo inwestowano tylko w małej skali. Na większe inwestycje nie było odwagi. Choćby kwestia modernizacji rafinerii w Płocku. Ale to się zmieniło. W tym roku zakończymy w płockiej rafinerii modernizację instalacji hydrokrakingu. Umożliwi ona zwiększenie rocznej produkcji diesla o 100 tys. ton. Z kolei modernizacja jednej z jednostek HON (hydroodsiarczanie oleju napędowego) zwiększy produkcję oleju napędowego o 150 tys. ton. Tylko dzięki tym dwóm inwestycjom łączna EBITDA wzrośnie o 200 mln zł rocznie. Inwestujemy również w kluczową dla płockiej rafinerii instalację visbreakingu, która znacząco zwiększy uzysk produktów lekkich, czyli benzyny i oleju napędowego. Dzięki tej inwestycji, którą ukończymy do końca 2022 r., zysk operacyjny EBITDA PKN Orlen wzrośnie nawet o 415 mln zł rocznie. Ale inwestycje są również w innych obszarach: energetyce i petrochemii. Budujemy również tak potrzebne do rozwoju koncernu centrum badawczo-rozwojowe. Sukcesywnie poszerzamy sieć naszych stacji. Wszystkie te inwestycje będą poprawiać zysk operacyjny. Np. po zakończeniu inwestycji w ramach Programu Rozwoju Petrochemii EBITDA powinna się zwiększyć o 1,5 mld zł rocznie.

Trzeba przyznać, że polskie stacje benzynowe zmieniły się w ostatnich latach...

Przez lata obowiązywał model biznesowy – mało budujmy, bo niedługo nie będziemy sprzedawać paliw. Budowano sześć stacji rocznie, dziś to ponad 40 obiektów w roku, ok. 200 modernizowanych. My mówimy, że stacje to nie tylko paliwo – dziś to jest punkt obsługi klienta. To miejsce, gdzie są nasze paliwa – diesel, benzyna i gaz – jest sklep z polskimi produktami, restauracja, a już niedługo to także energia elektryczna i wodór. Rozwijamy naszą sieć stacji za granicą. Marka Orlen jest już widoczna na naszych stacjach w Niemczech, Czechach i na Słowacji, gdzie przeprowadziliśmy co-branding, a docelowo myślimy o rebrandingu. Inwestujemy w rozwój, bo to jest właśnie budowanie silnego koncernu.

Nie wszystkim to się podoba.

Nie po to jestem prezesem PKN Orlen, by się wszystkim podobać. Inwestycje to kwestia utrzymania i budowania wartości koncernu. Bez inwestycji nie będzie w przyszłości zysków, które są podstawą do wypłaty dywidendy. Zawsze będę rekomendował politykę dywidendową, bo wiąże ona akcjonariuszy z Orlenem. Ale nigdy też nie zaniecham inwestycji w przyszłość koncernu.

No to zapytamy inaczej: na wszystkich rynkach, na których obecny jest Orlen, odnotowano wzrost konsumpcji diesla i benzyny. Wyjątkiem są Niemcy, gdzie sprzedaż oleju napędowego utrzymała się na niezmienionym poziomie. Czy zatem warto angażować się w elektromobilność i nowoczesne napędy, choćby wodór?

Gdybym myślał o koncernie naftowym w perspektywie tylko kilku najbliższych lat, to można się skupić jedynie na paliwach tradycyjnych. Ale zarządzając taką firmą jak Orlen, trzeba myśleć w perspektywie 20–30 lat. Alternatywne źródła energii i paliwa są już obecne w gospodarce. Nie możemy iść w poprzek rynku, nowoczesności i innowacji. Proszę sobie przypomnieć, co się wydarzyło, gdy Orlen jedynie przyglądał się dystrybucji gazu LPG i nie inwestował w to paliwo. Powstawały stacje z gazem, a na Orlenie go nie było, więc klienci szukali go gdzie indziej. Nie wolno do tego dopuścić. Dziś gaz LPG jest na Orlenie. Tak samo będzie z ładowarkami do samochodów elektrycznych i wodorem. Jeśli chcemy się liczyć w przyszłości, musimy iść do przodu. Nie można spoczywać na laurach i jedynie administrować. Trzeba podejmować decyzje i szybko je realizować.

To podejście do zarządzania, które omawiane było choćby w czasie Forum Ekonomicznego w Davos. Zwrócenie uwagi na korzyści nie tylko dla akcjonariuszy, ale też interesariuszy firmy, spółki, koncernu.

Akcjonariusz nie bogaci się jedynie z dywidendy, ale też korzysta przecież ze wzrostu wartości akcji. To dzieje się w dłuższym okresie. Tej wartości nie buduje się w czasie jednego sezonu, kwartału, roku ani nawet kadencji. Inwestycje, akwizycje, rozwój – to procesy korzystne dla wszystkich interesariuszy, choć w dłuższej perspektywie działalności koncernu.

Czy to jest odpowiedź na pytanie, po co Orlenowi akcje Energi SA?

Obejmując stanowisko szefa Orlenu, zapowiadałem, że PKN musi się stać multienergetyczną spółką. I konsekwentnie ten cel realizuję. Szczerze mówiąc, traktuję to jak misję. Musimy mieć w ofercie nowoczesną petrochemię, ciężką chemię, nowoczesne rafinerie i silny pion energetyczny. On już istnieje w koncernie, przynosi zyski, ale chcemy go dalej rozwijać. Inwestujemy w offshore, w nisko- i zeroemisyjne źródła wytwarzania energii, mamy kogenerację. Więc Energa pozwoli nam te wartości doskonale bilansować w ramach działalności koncernu. To też projekty związane

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 8c095ff059

z siecią ładowania elektromobilności, to OZE, elektrownie gazowe i potężny portfel klientów. Nowoczesna firma może zaproponować klientowi komplet usług, a taką firmą ma być właśnie Orlen.

Na Pomorzu zawrzało. Najpierw Daniel Obajtek ogłasza fuzję Orlenu z gdańskim Lotosem, teraz wezwanie do sprzedaży akcji Energi w Gdańsku.

Nie rozumiem tych konferencji i pikiet, tej paniki. Przecież, gdy Gdańskie Przedsiębiorstwo Energetyki Cieplnej sprzedawano niemieckiej spółce, a gdańskie wodociągi spółce francuskiej – nikt nie protestował. Teraz, gdy polska firma chce kupić polską firmę, protestują. Energa potrzebuje kapitału do prowadzenia dużych, przyszłościowych inwestycji. I gdy pojawia się wiarygodny inwestor, oni protestują. Nie mogę tego zrozumieć, nie jako prezes Orlenu, członek PiS, ale jako Polak. Powiem wprost: te protesty świadczą o obawach niektórych polityków o utratę wpływów. A może wreszcie politycy PO, tak chętnie powołujący się na konstytucję i prawa obywatelskie, zrozumieją, że w Polsce mamy wolność gospodarczą i wezwanie do sprzedaży akcji jest naturalnym procesem biznesowym.

Fuzja z Lotosem jest w drugiej fazie negocjacji i Komisja Europejska zastosowała procedurę „stop the clock", by mieć więcej czasu na zapoznanie się z dokumentacją dostarczaną przez Orlen. Czy nie obawia się pan, że to czas na podjęcie działań ze strony konkurencji? O tym, że uważnie nam się przyglądają, przekonała się Polska Grupa Lotnicza, ogłaszając zakup niemieckich linii Condor. Lufthansa zareagowała natychmiast.

Proces przygotowania fuzji, rozmowy z Komisją do łatwych nie należą. Szkoda, że o tym projekcie nie pomyślano przed akcesją do UE, tak jak zrobili to Węgrzy w przypadku koncernu MOL. Ale wtedy w Polsce w modzie był trend nierozwijania polskich firm, jeśli już, to ich prywatyzowania. Szybko sprzedać, mieć tanią siłę roboczą, montownie, przestarzałe technologie i budować w Polsce rynek zbytu – tak można to ująć w skrócie. Na szczęście to już historia. Dzisiaj polski rząd doskonale rozumie, jak ważne dla gospodarki są silne narodowe koncerny. Fuzja Orlenu z Lotosem wzmocni obie spółki. Jako jeden silny podmiot będziemy mogli o wiele skuteczniej konkurować z zagranicznymi koncernami. Świetnie to rozumie wicepremier Jacek Sasin, który wspiera nasze działania, za co chciałbym mu podziękować.

> Nie po to jestem prezesem PKN Orlen, by się wszystkim podobać. Inwestycje to kwestia utrzymania i budowania wartości koncernu. Bez inwestycji nie będzie w przyszłości zysków

Ale Orlen z konkurencją na rynkach zagranicznych sobie radzi. Dość wspomnieć spółki w Czechach, Niemczech i na Litwie. Potrafimy zmierzyć się z konkurencją, wreszcie to my kupujemy, a nie nas kupują.

Potrzebujemy odwagi, żeby patrzeć dalej. Tak jak śp. prezydent Lech Kaczyński, który w ten sposób pojmował polską rację stanu. Nie klaskać. Nie przytakiwać. Iść bez kompleksów. Podejmować ambitne decyzje, bo bez nich nie będzie silnego państwa, gospodarki, bezpieczeństwa i nie będzie nas. Mógłbym przecież być prezesem spokojnie administrującym Orlenem. Miałbym czas i święty spokój. Nie narażałbym się wielu grupom, którym podpadłem, bo podejmuję trudne decyzje, dywersyfikuję dostawy ropy, bo rozmawiam o Enerdze, bo mówię o Lotosie, bo rozwijam PKN Orlen, bo inwestuję. Dlaczego to robię? Ponieważ mieszkam w Polsce i zależy mi, aby mój kraj się rozwijał. Każdy z nas powinien realizować jakąś wizję, stawiać sobie ambitne cele i je urzeczywistniać.

Musimy zapytać o wyjątkową – nazwijmy to tak – „przygodę" Orlenu z Robertem Kubicą. Jak pan widzi perspektywy tego rzadkiego przecież mariażu mistrza i potężnego koncernu?

Robert Kubica jest symbolem niezłomnego człowieka. A świat na takich symbolach buduje hart ducha. Jest Polakiem z taką naszą charakterystyczną siłą woli, determinacją, wolą walki. Znaleźliśmy się w Formule 1 poprzez Roberta, a Robert bierze udział w wyścigach także dzięki nam. Polacy go kochają, a 70 proc. badanych popiera decyzję o wsparciu naszego mistrza. Wskazują też na to wyniki biznesowe – mamy coraz więcej klientów na naszych stacjach, którzy wybierają Orlen wspierający polskiego sportowca. Robert jest naszym ambasadorem na świecie. Formułę 1 oglądają 2 mld ludzi. Bolid Alfa Romeo Racing Orlen będzie w naszych barwach narodowych. To jest promocja Polski i koncernu w Europie i na świecie. Nasze zaangażowanie w F1 i współpraca z tak wspaniałym sportowcem to również biznes. Produkty Orlenu sprzedajemy na sześciu kontynentach w stu krajach. 60 proc. naszych przychodów pochodzi z rynków zagranicznych.

Może Czesi i Niemcy, tak jak Polacy, też wybiorą Orlen, gdy błyśnie im w Formule 1?

Nie mamy się czego wstydzić, mamy doskonałą reputację. Rozwijamy się też na Słowacji, na Litwie. Stacje Orlenu są za granicą wizytówką nie tylko PKN Orlen, ale też Polski. Tak jak każdy sportowiec reprezentuje ojczyznę poza granicami, tak my chcemy, by Orlen był marką wywołującą jak najlepsze skojarzenia. Gdziekolwiek będziemy.

eprasa.pl 8c095ff059

Jak zapewnić sobie spokój na urlopie

Atrakcyjne ubezpieczenie już od półtora złotego dziennie



Wystarczy chwila. Moment dekoncentracji lub nieuwagi i nieszczęście murowane. Wbrew pozorom najczęstszą przyczyną wypadków w górach nie jest jazda na nartach czy na desce, ale zwykłe poślizgnięcie na śniegu lub lodzie. Tegoroczny sezon urlopowy zaczął się pechowo: złamania, zwichnięcia, uszkodzenia stawów i więzadeł, urazy głowy, a nawet kręgosłupa. Ratownicy Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego mówią, że mają więcej pracy niż zwykle. Czy warto ryzykować, gdy cena za spokój jest niewielka?

Niepokój o siebie i najbliższych nie może nam odbierać radości z zimowego urlopu. Nie może jej mącić strach o to, co będzie, jeśli podczas zimowych wakacji dopadnie nas choroba, przydarzy się wypadek, zgubimy bagaż albo ktoś go nam ukradnie. To ważne w Polsce i jeszcze ważniejsze za granicą, gdzie koszty opieki medycznej bywają znacznie wyższe, a za akcje służb ratowniczych trzeba nierzadko płacić samemu.

Dlatego przed wyjazdem warto zadbać o ubezpieczenie turystyczne, które pokrywa koszty leczenia. Jego cena zaczyna się w PZU już od 1,50 zł dziennie przy wyjazdach krajowych i od 3,60 zł przy podróżach za granicę. Wyjeżdżając poza Polskę, za 5 zł dziennie możemy mieć dodatkowo gwarancję, że jeśli wydarzy nam się coś złego, to ubezpieczyciel sfinansuje przyjazd do nas i pobyt bliskiej osoby. Może też opłacić kierowcę, który przywiezie nas z wakacji do domu, jeśli sami nie będziemy mogli usiąść za kierownicą.

– Ubezpieczenie turystyczne daje nam więcej niż publiczna służba zdrowia w Polsce czy karta EKUZ za granicą. Dzięki niemu możemy bezpłatnie skorzystać z pomocy lekarza w prywatnej przychodni czy otrzymać zwrot kosztów za leki, które przepisał lekarz. Jeśli przytrafi się nam poważniejszy wypadek, ubezpieczenie PZU Wojażer daje nam prawo do bezpłatnego transportu medycznego do szpitala czy nawet do domu, leczenia, zabiegów i pilnych operacji – tłumaczy Joanna Saczkowska z Zespołu Ubezpieczeń Osobowych PZU.

W razie nieszczęścia za granicą z ubezpieczenia są pokrywane koszty akcji ratowniczej, np. użycia śmigłowca, jeśli tamtejsze służby nie udzielają jak w Polsce pomocy bezpłatnie. – Ubezpieczenie jest też nieodzowne, gdy wyrządzimy komuś krzywdę, np. najedziemy na kogoś na stoku albo przez nieostrożność zniszczymy sprzęt w hotelu. Dzięki polisie odszkodowanie dla osoby, która przez nas ucierpiała, wypłaci ubezpieczyciel. Pokryje też straty hotelu – wyjaśnia specjalistka.

Ubezpieczenie PZU Wojażer chroni nas od wyjścia z domu do powrotu do niego. Można je kupić za pośrednictwem strony internetowej https://moje.pzu.pl/pzu/travel, pod numerem telefonu 801 102 007 albo w placówce PZU. Posiadacze Karty Dużej Rodziny mogą liczyć na 10 proc. zniżki.

PG

Ile kosztuje leczenie za granicą

- **Włochy** – ponad 72 000 zł – leczenie urazu kolana (np. po wypadku na nartach)
  ponad 40 000 zł – złamanie kości udowej
- **Austria**
  ponad 43 000 zł – leczenie urazu kolana
- **Francja**
  ponad 52 000 zł – uraz kręgosłupa, 8 dni hospitalizacji
- **Szwajcaria**
  120 000 zł – otwarte złamanie kości podudzia, leczenie operacyjne, 13 dni hospitalizacji

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 21/1219/F

Fot. PZU

eprasa.pl 8c095ff059

zbierzmy.pl

Ruszamy już dziś!

Portal Zbierzmy.pl to nowa inicjatywa wydawnictwa Fratria. Dzięki niemu chcemy gromadzić środki finansowe na produkcje filmowe, wydawnicze i technologiczne, które będą pokazywać historię naszego kraju bez tabu, bez ukrywania i zafałszowywania faktów. Jest już pierwszy projekt i pierwsza zbiórka

Wydawnictwo Fratria powstało w odpowiedzi na potrzebę stworzenia w Polsce mediów prawdziwie wolnych. Takich – z pozoru niezależnych wydawnictw – było w naszym kraju wiele, jednak w praktyce Polacy otrzymywali nieustannie ten sam przekaz, przekaz ściśle dopasowany do określonej doktryny politycznej. Przekaz, który grubą kreską oddzielał społeczeństwo nie tylko od zbrodni czasów Polski Ludowej, lecz także od kolejnych afer rodzących się w III RP, z którymi wiązane były nazwiska ludzi ze szczytów władzy. Dziś nasze wydawnictwo kontynuuje swoją drogę mówienia o tym, co ważne. Robimy to dzięki portalowi Zbierzmy.pl.

Portal Zbierzmy.pl powstał, aby wspierać ambitne projekty, gotowe do zaprezentowania odkrywcze pomysły i idee. Dzięki Zbierzmy.pl gromadzimy środki na produkcje – filmowe, wydawnicze, technologiczne, które wzbogacą naszą rzeczywistość.

Chcemy pokazać światu, że Polacy potrafią robić rzeczy wielkie i potrafią za ich pośrednictwem pokazywać prawdę o naszym kraju i naszej narodowej tożsamości.

Na poruszenie czekają ważne tematy:

- afera FOZZ,
- prywatyzacja (wyjaśnimy rolę Leszka Balcerowicza i Janusza Lewandowskiego),
- afera alkoholowa,
- karuzela VAT.

Zaczynamy od „Gry w Gazetę" – prawdziwej historii wydawnictwa



Agora i „Gazety Wyborczej". A to historia prawdziwie sensacyjna. Za medium uważanym przez wielu za wolne, niezależne i stworzone w oparciu o odpowiedzialność społeczną, na bazie entuzjazmu po „festiwalu Solidarności", stoją ludzie ściśle związani z jedną stroną sceny politycznej. Ludzie, którzy dziś mówią o wolności, a w przeszłości bratali się z tymi, którzy przed wolnością chronili się za lufami czołgów.

Celem zbiórki prowadzonej za pośrednictwem strony Zbierzmy.pl jest produkcja filmowa poświęcona wydawnictwu Agora i prawdziwej historii „Gazety Wyborczej", której reżyserem jest Mariusz Pilis – twórca i scenarzysta filmowy, dziennikarz, korespondent wojenny, autor dokumentów m.in. „List z Polski" „Bunt stadionów", „Teraz i w godzinę śmierci" oraz „Sprawiedliwość".

Temat, który chcemy podjąć, jest trudny. Jego źródła były przez lata starannie maskowane przez wpływowe środowiska polityczne, biznesowe i medialne. To sprawy, które dotyczą nierzadko ludzi pełniących przez lata najważniejsze stanowiska państwowe.

Wspólnie możemy przełamać milczenie i zaprezentować historię naszego kraju bez tabu, bez ukrywania i medialnego zafałszowywania faktów, które są ważne i będą kluczowe w kształtowaniu świadomości i wiedzy przyszłych pokoleń.

Darowizny wpłacone za pośrednictwem strony Zbierzmy.pl, zgodnie ze wskazanym na tej stronie tytułem wpłaty, zostaną w całości przeznaczone na produkcję filmu, którego reżyserem jest Mariusz Pilis.

Dzięki portalowi Zbierzmy.pl chcemy pokazać współczesną historię Polski taką, jaka jest naprawdę.

eprasa.pl 8c095ff059



Jestem gotowy na ataki

Takim momentem, kiedy rola „Gazety Wyborczej" stała się dla mnie wielce zaskakująca, była katastrofa smoleńska. Stwierdziłem wtedy, że warto przyjrzeć się temu, czym ta gazeta jest, kim są ludzie, którzy ją tworzą, i jak powstawała – mówi wybitny dokumentalista ***Mariusz Pilis*** w rozmowie z Piotrem Filipczykiem

Dokument o „Gazecie Wyborczej" będzie pierwszym z wielu projektów realizowanych za pomocą portalu Zbierzmy.pl. Będzie pan przecierał szlaki i dlatego w pewien sposób od sukcesu pana filmu „Gra w Gazetę" może zależeć sukces całego przedsięwzięcia. Jak pan ocenia samą inicjatywę?

Mariusz Pilis: Z dużą nadzieją patrzę na to, co dzieje się wokół platformy. To jest bardzo dobry i bardzo ważny pomysł poszerzający spektrum instytucji, które mogą oferować wsparcie. To bardzo ważny krok, który może pomóc wielu twórcom. Jeżeli uda się za pomocą mojego projektu zainteresować ludzi i podciągnąć tę platformę do góry, to będę zaszczycony.

Skąd pomysł na film o „Gazecie Wyborczej"?

To jest historia, z którą noszę się od około ośmiu lat. Obserwując to, co działo się z „Gazetą", w jaki sposób angażowała się w życie polityczne i społeczne, mam wrażenie, że jest na tyle dużym składnikiem przestrzeni publicznej, że warto się jej przyjrzeć, warto zrobić o tym film. Mam 52 lata, byłem świadkiem, jak w efekcie przemian „okrągłego stołu" gazeta się rodziła – bo przecież pamiętajmy, że jest ona elementem układu okrągłostołowego. Czytałem ją wiele lat, widziałem, w którą stronę skręca. Mam świadomość, jak bardzo oddziaływała, zwłaszcza kiedyś i właściwie do dzisiaj, jaki wpływ ma na decyzje Polaków, na to, jakich dokonują wyborów. Takim momentem, kiedy rola „GW" stała się dla mnie wielce zaskakująca, była katastrofa smoleńska, choć przestałem ją czytać dużo wcześniej, kiedy osoby z tego środowiska zaczęły nazywać Kiszczaka i Jaruzelskiego ludźmi honoru. Stwierdziłem wtedy, że warto przyjrzeć się temu, czym ta gazeta jest, kim są ludzie, którzy ją tworzą, jak powstawała i dlaczego ma taki a nie inny wpływ na to, co wiemy o Polsce, co o Polsce się mówi za granicą. Pamiętajmy, że „GW" jest bardzo złożonym organizmem – to nie tylko gazeta, ale także olbrzymia korporacja, która jest obecna w bardzo wielu miejscach. To wszystko jest warte opowiedzenia, tym bardziej że

Fot. Fratria

eprasa.pl 8c095ff059

zbierzmy.pl

na samym początku jej powstania były wobec tej gazety ogromne oczekiwania. Dziś dla wielu przerodziły się one w jedno wielkie rozczarowanie.

Jednak, o czym pan wspomniał wcześniej, dla wielu osób, zwłaszcza za granicą, czy to na Zachodzie, czy w dysydenckich środowiskach w Rosji, „Gazeta Wyborcza" pozostaje ważnym ośrodkiem kształtowania opinii, a Adam Michnik – autorytetem.

Nie chciałbym w tym momencie dyskutować, w jakim stopniu jest to wyrachowana gra – zwłaszcza w Rosji, która wybiera sobie takie, a nie inne autorytety, bo to jest bardzo względne. Pewne jest, że „GW" przez wiele lat w sposób niezagrożony, bezkonkurencyjny, dysponując olbrzymimi finansami, była w stanie ulokować w różnych miejscach w Europie mnóstwo ludzi jako korespondentów, współpracowników, których – teraz to widzę, bo dotknęło mnie to wielokrotnie osobiście przy okazji realizacji filmów za granicą – śmiało można nazwać jednostkami wpływu. To są ludzie, którzy kształtują opinię o Polsce, a będąc poza krajem wiele lat, byli w stanie stworzyć wokół siebie grono tych, którzy się z nimi kontaktują – dziennikarzy, ludzi kultury itp. Poprzez to funkcjonuje przekaz, który trudno złamać. Adam Michnik jest za granicą postrzegany, obok Lecha Wałęsy, jako jeden z twórców przemian w Polsce i jeżeli on przez tyle lat na swoim stanowisku nakreśla pewną rzeczywistość, to trudno się dziwić, że ta rzeczywistość jest później tak oceniana i odbierana.

„Wyborcza" w swojej historii przeżyła sporo zawirowań. Czy w pana filmie też będziemy się mogli temu przyjrzeć?

Chciałbym przejść przez historię „GW" od jej początku. Od podarowania jej Adamowi Michnikowi aż po dzień dzisiejszy. To bardzo długi okres, jednak w tym czasie spokojnie można wyznaczyć wiele elementów zachowania „GW", które miały wpływ na sytuację w Polsce. Np. czasy afery Rywina to skrajna sytuacja, ale też pewien sztandar ideologiczny, kiedy okazało się, że „Wyborcza", zrzucając maskę, stwierdziła, że „im nie jest wszystko jedno". Jedno jest pewne – ten film powinien powstać. W Polsce filmów opisujących duże i wpływowe organizacje jeszcze się nie robi, choć na Zachodzie jest ich coraz więcej. Wszystkie mają jeden wspólny mianownik: z reguły na takie projekty szuka się pieniędzy społecznych, obywatelskich.

Dlaczego to takie ważne?

Nie da się zrobić tego, opierając się na redakcji czy telewizji. Trzeba szukać takich pieniędzy, które będą dawały możliwość niezależnego i swobodnego spojrzenia na sam problem. Mam świadomość, jak delikatnego, kontrowersyjnego i emocjonalnego tematu dotykam. Można się spodziewać na każdym etapie pracy wielu pytań, może ataków, dużej nieprzychylności. Trzeba być na to gotowym. Dlatego tak ważny jest też tutaj dorobek twórcy, jego uczciwość i rzetelność. Żeby ludzie wiedzieli, na co przeznaczają swoje pieniądze i co w zamian dostaną. Ja traktuję widza bardzo poważnie, chcę być wobec niego fair. Dlatego staram się robić zawsze szczere filmy.

Czy organizował już pan wcześniej zbiórki pieniędzy na projekty filmowe?

Tak, mój przedostatni film, który zrealizowałem wspólnie z Darkiem Walusiakiem, „Teraz i w godzinę śmierci", był w całości finansowany właśnie ze zbiórek. To był film opowiadający historię z czterech kontynentów, pokazujący siłę i moc różańca, opowiadający o tym, jak można zmieniać rzeczywistość wokół siebie, także systemy i prezydentów, nie za pomocą krwawych rewolucji, a czynu i modlitwy. To był duży projekt, mieliśmy mnóstwo wpłat, także tych drobnych, bo przecież nie każdego stać na duże datki, i udało nam się zebrać pół miliona złotych. Film osiągnął ogromny sukces. Udało nam się go wprowadzić do pierwszej dziesiątki polskiego box office'u obok wielkich hollywoodzkich produkcji! Film był również nominowany do tzw. katolickich Oscarów (papieski festiwal Mirabile Dictu), gdzie zajął drugie miejsce w kategorii najlepszy film, co jak na dokument jest ogromnym sukcesem. Po tym wydarzeniu film zyskał dystrybutora w Ameryce Południowej, gdzie bije rekordy oglądalności. Był w top 10 box office'u w całej Ameryce Środkowej. Mam nadzieję, że podobnie będzie i tym razem, bo temat jest ważny. Jeżeli nie uda się go zrealizować w ten sposób, to prawdopodobnie nigdy nie powstanie. Nikt nie da na niego środków, bo wielu ten film zaboli.

To nie będzie pierwsze pana doświadczenie z takimi „bolesnymi" produkcjami. Wystarczy wspomnieć „List z Polski", który nigdy nie ukazał się w żadnej polskiej telewizji, a wywołał wielką burzę.

Tak, miałem świadomość, że ten film nie ma wówczas szansy powstać w żadnej polskiej telewizji. Kiedy się do niego zabierałem, był maj 2010 r., świeżo po katastrofie smoleńskiej. Film został wyemitowany w październiku przez holenderską telewizję publiczną, która zdecydowała się na jego produkcję. Współpracowałem tam wówczas z ludźmi, którzy wiedzieli, że w inny sposób nie mamy szans wypowiedzenia wszystkich wątpliwości, które towarzyszą tej katastrofie. Film został puszczony w prime time i uzyskał jedną z najwyższych oglądalności w historii. Nigdy nie był emitowany w Polsce w żadnej telewizji. Ma natomiast 4,5 mln wyświetleń w internecie, mnóstwo pirackich kopii w różnych językach. Ten film, choć bardzo osobisty, okazał się wyrażeniem emocji przeżywanych wówczas przez wiele milionów widzów.

Po tym filmie był pan wściekle atakowany przez niektóre środowiska.

Tak. I to były moje pierwsze poważne doświadczenia z ludźmi z „Wyborczej". Dochodziły do mnie głosy, że ludzie związani z tym tytułem zarówno w Polsce, jak i poza nią angażowali się w sabotowanie mojego filmu oraz organizowanych seansów. A tych seansów było kilkaset w całej Europie. Dlatego też mam pewnego rodzaju osobiste motywacje, żeby przyjrzeć się temu środowisku.

eprasa.pl 8c095ff059



Nigdy w historii nie zdarzyło się, by nieanglojęzyczny film zdobył najważniejszego Oscara. Hollywood pokazało, że nie jest pępkiem świata filmowego, nagradzając, i to nie tylko w tej kategorii, południowokoreański „Parasite" w reżyserii Bonga Joon-ho. To jednocześnie wielki sukces małego azjatyckiego państwa, które od lat prowadzi przemyślaną politykę wizerunkową, by stać się krajem cenionym i modnym w świecie zachodnim

Od k-popu po Oscary

Fot. Jennifer Graylock/East News

eprasa.pl 8c095ff059

Hollywood abdykowało

Podczas tegorocznej gali oscarowej Hollywood nie tylko po raz pierwszy oddało głównego Oscara nieamerykańskiemu filmowi, lecz także już zupełnie padło na kolana przed bożkiem politycznej poprawności



ŁUKASZ ADAMSKI

Od kilku lat nie jestem w stanie oglądać całej gali. Budzę się nad ranem, by obejrzeć nagrody w najważniejszych kategoriach. Nie jestem odosobniony w swoim uczuciu. Według oficjalnych danych 92. galę rozdania Oscarów obejrzało w USA zaledwie 23,6 mln widzów. Jest to najniższy wynik w historii transmisji tej uroczystości. 10 lat temu galę oglądało 41,3 mln widzów. Rok temu pierwszy raz gala odbyła się bez prowadzącego. Oglądalność była nie najgorsza (29,6 mln). Jednak bez wątpienia obraz tegorocznej uroczystości – do bólu poprawnej, nudnej i pozbawionej zadziorności komików prowadzących w poprzednich latach Oscary – miał wpływ na frekwencyjną porażkę. Hollywood abdykowało pod pręgierzem politycznej poprawności dwa lata temu, gdy Kevin Hart zrezygnował z prowadzenia gali. Wszystko przez to, że kilka lat wcześniej na Twitterze żartował z homoseksualistów. To wystarczyło, by stał się persona non grata. Hart przeprosił środowiska LGBTQ. Ba, przeprasza do dziś, m.in. w dokumentalnym serialu Netflixa „Dont f...ck this up".

Billy Crystal, który kilkakrotnie prowadził galę, słusznie powiedział, że Oscary bez prowadzącego są jak proces sądowy bez świadka. Weteran amerykańskiej komedii dodał, że kiedyś to właśnie nieprzewidywalność i wpadki prowadzącego stanowiły o atrakcyjności show. Trudno się dziwić, że brytyjski komik Ricky Gervais trollował galę Oscarów (w czasie jej trwania!) na Twitterze, nawiązując do swojego serialu „After Life" z Netflixa: „Obejrzyjcie ten serial. Opowiada o facecie, który zdaje sobie sprawę, że ludzkość jest obrzydliwą, narcystyczną plagą, co prowadzi go do złości i depresji oraz utraty woli życia. Albo możecie obejrzeć Oscary i doświadczyć tych uczuć bezpośrednio". Gervais, prowadząc Złote Globy, doprowadził do furii dużą część ludzi z Hollywood, mówiąc, że nie powinni się wypowiadać na tematy polityczne, bo skończyli mniej klas niż Greta Thunberg. Hollywoodzka śmietanka nie chce jednak być w taki sposób wyśmiewana. Szczególnie gdy ma do przekazania swoje polityczne manifesty.

Nie było ich aż tak wiele w tym roku, co zaskakuje w kontekście porażki demokratów z impeachmentem Donalda Trumpa. Widać jednak, że Hollywood jest zrezygnowane, co zresztą przyznał komik i prowadzący polityczny talk-show w HBO Bill Maher, mówiąc kilkanaście dni temu w CNN, że Trump jest prawdopodobnie już nie do pokonania. Czy dlatego najmocniejszą krytykę Trumpa wziął na siebie Brad Pitt, niesłynący przecież specjalnie z politycznych wystąpień? „Powiedzieli mi, że mam tylko 45 sekund na przemowę, co stanowi 45 sekund więcej niż Senat dał Johnowi Boltonowi" – oświadczył aktor, odbierając Oscara za drugoplanową rolę w „Pewnego



eprasa.pl 8c095ff059

razu w Hollywood" Quentina Tarantino. To było najmocniejsze nawiązanie do sprawy impeachmentu znienawidzonego w Hollywood prezydenta USA.

Prawdziwie ideologiczny show dał Joaquin Phoenix, odbierając Oscara za tytułową rolę w „Jokerze": „Myślę o tych niepokojących problemach, z jakimi się zmagamy. I myślę, że czasami czujemy, że walczymy o różne cele. Ale ja widzę w tym podobieństwa. Myślę, że czy mówimy o nierównościach wynikających z płci, rasizmie, prawach osób queer czy prawach zwierząt, mówimy o walce z nierównościami, o walce z przekonaniem, że jedna nacja, jedna rasa, jedna płeć, jeden gatunek ma prawo dominować, kontrolować, wykorzystywać inny". Następnie aktor zaczął perorować o tym, że jesteśmy odłączeni od świata zwierząt. „Wychodzimy do świata naturalnego i niszczymy go, myślimy, że możemy zapłodnić nienaturalnie krowę, a kiedy ona rodzi, kradniemy jej dzieci. Mimo że słyszymy jej smutek. A potem kradniemy jej mleko i dodajemy je do naszej kawy i płatków" – żalił się skądinąd wybitny aktor. Po takim wyznaniu żart prowadzącego galę mógłby popsuć wzniosły nastrój. Żart pojawił się tylko na Twitterze, gdzie niezrównany Gervais napisał: „Nie mogę się doczekać wszystkich waszych inspirujących przemów o równości. Ale to dobrze, że te trzy godziny, jakie spędzacie na gali, to czas, kiedy wasza słabo opłacana służba złożona z imigrantów może przeznaczyć na odespanie tygodnia".



Wegewynurzenia Phoenixa były wyjątkowo mocno oklaskiwane. Hollywood upadło też na kolana przed weganizmem. Podczas gali w Dolby Theater podawano tylko potrawy wegańskie. Zrezygnowano z ryb i nabiału, który, jak przekonuje filmowy Joker, kradniemy krowom. Na słynnym Balu Gubernatora (The Govenors Ball) dopuszczono dania niewegańskie, ale tylko w proporcji 30 do 70 proc. Weganizm nie był jedynym znakiem rozpoznawczym tegorocznej gali. Nie mniej istotne były zarzuty, że Akademia Filmowa, nominując do Oscara tylko jedną Afroamerykankę Cynthęe Erivo, wykazała się rzekomym rasizmem. Przypominam, że chodzi o tę samą Akademię, która w zeszłym roku 50 proc. Oscarów aktorskich przyznała czarnoskórym artystom. Dostało się nawet Stephenowi Kingowi, który przecież słynie z lewicowo-liberalnych sympatii. Pisarz wrzucił tweeta, gdzie przytomnie zauważył iż, to jakość powinna rządzić w sztuce, a nie różnorodność. King dodał, że jako członek Akademii głosuje w trzech kategoriach: scenariusz oryginalny, scenariusz adaptowany i najlepszy film, i zawsze kieruje się jakością tekstów, a nie różnorodnością płciową czy rasową. Autor „To" dostał od razu po łapkach od czarnoskórej reżyserki Avy DuVernay („Selma", „Jak nas widzą"), która napisała, że jest on zacofany i jest ignorantem. King bronił się, pisząc dalej, że najważniejszą rzeczą jest stworzenie ludziom równej szansy startu, bez względu na rasę, kolor skóry, płeć i orientację seksualną. Ostatecznie King przeprosił, podobnie jak Kevin Hart.

To, że rozdanie Oscarów stało się nudnym i długim politpoprawnym show, nie jest zaskoczeniem. Czasy, gdy Roberto Benigni, idąc po Oscara, skakał po krzesłach, depcząc niemal ramiona Stevena Spielberga, już nie wrócą. Natomiast 92. gala Oscarów zakończyła się zupełnie niespodziewanie. Wspominam Benigniego, bo był on w 1999 r. bliski przełomu. Włoski komik zdobył za swoje poruszające „Życie jest piękne" trzy statuetki, w tym dla najlepszego aktora oraz filmu nieanglojęzycznego, co pokazywało, że obraz spoza Hollywood może zdobyć więcej niż jedną statuetkę w swojej kategorii. W 2011 r. pięć najważniejszych Oscarów (w tym za film, reżyserię i pierwszoplanowego aktora) dostał francuski „Artysta" Michela Hazanaviciusa. Był to jednak film niemy i osadzony w czarno-białym Hollywood, więc trudno go uznać za prawdziwy „nieanglojęzyczny obraz". Rok temu oczekiwano, że Oscara za najlepszy film roku zgarnie meksykańska „Roma" (statuetki w kategorii reżyseria i film nieanglojęzyczny), ale główną nagrodę sprzed nosa zgarnął mu „Green Book".

W tym roku nie tylko zmieniono nazwę kategorii z „film nieanglojęzyczny" na „film międzynarodowy", lecz pierwszy raz w historii Oscarów przyznano najważniejszą statuetkę filmowi nieamerykańskiemu. Absolutnie genialny „Parasite" Bonga Joon-ho dostał sześć nominacji do Oscara, co już było sporym zaskoczeniem. Bukmacherzy przewidywali, że koreański zdobywca Złotej Palmy pokona m.in. polskie „Boże Ciało" Jana Komasy w swojej kategorii oraz zgarnie Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny. Nikt się jednak nie spodziewał, że Bong, jak go po prostu zwą w Korei, pokona w kategorii najlepszy reżyser swoich mistrzów (którym notabene złożył hołd ze sceny) – Martina Scorsesego i Quentina Tarantino. Prawdziwa eksplozja nastąpiła natomiast, gdy Jane Fonda otworzyła kopertę z napisem „najlepszy film" i się okazało, że nie będzie nim faworyt „1917" Sama Mendesa. „Parasite" wygrał tego Oscara nie tylko dlatego, że Bong mistrzowsko żongluje w filmie gatunkami filmowymi (od dramatu społecznego, przez groteskę, po slasher) i opowiada o problemach klasowych rozwarstwiającego się demokratycznego społeczeństwa. Tego samego problemu dotykał w zeszłym roku pominięty w Oscarach horror „To my" Jordana Peele'a oraz „Joker" Todda Phillipsa oraz w pewnym stopniu nominowane w kategorii najlepszy film „Le Mans '66".

Nie tylko więc przesłanie ideologiczne spowodowało tak spektakularny sukces filmu Bonga. Hollywood po prostu zdecydowało się zrezygnować ze swojej pozycji filmowego hegemona. Akademia powiedziała głośno światu, iż uznaje, że jej filmy mogą przegrać z kinematografią takich odległych kulturowo krajów jak Korea Południowa. To wielka zmiana w hollywoodzkiej mentalności. Szczególnie że Akademia miała szansę uhonorować główną nagrodą pocztówkę miłosną na swoją cześć, która wyszła spod ręki Quentina Tarantino. Zdecydowano się wspaniały film Tarantino pominąć (tylko dwa Oscary) i przekazać wszystkie najważniejsze laury filmowi z Azji. To abdykacja Hollywood.

Fot. Jen Lowery / SplashNews.com / East News

eprasa.pl 8c095ff059



Nazywa się Bong. Bong Joon-ho. I właśnie rozsadził system. Od środka. Niczym bohaterowie jego po czterokroć oscarowego filmu „Parasite". Jak oni wszedł do wymarzonego i, jak się wydawało, nieosiągalnego świata sposobem. A właściwie sposobami

Bong, człowiek, który rozsadził system



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Urodził się w 1969 r. w czasach panującej w Korei Południowej junty wojskowej. W dorosłe życie wkraczał wraz z przełomowymi politycznymi zmianami, jakie zachodziły w jego kraju. Niewiele mówiący o sobie prywatnie, w jednym z wywiadów stwierdził, że o ile sam czuje się beneficjentem przełomu lat 80. i 90. ubiegłego wieku, o tyle jego nastoletniemu dziś synowi będzie się żyło znacznie trudniej w świecie, w którym coraz mocniej widać społeczny i ekonomiczny rozdźwięk.

Jego konsekwencje odbijają się w losach filmowych bohaterów „Parasite" (czyli „Pasożyt" – Bong nie daje jednoznacznej odpowiedzi, kto nim jest). Przewrotną fabularną konstrukcję zaczyna od przypadkowego zdarzenia, w wyniku którego do luksusowej rezydencji trafia sympatyczny chłopak, przedstawiciel najniższej społecznej klasy. Krok po kroku, ruch po ruchu, wprowadza do nieosiągalnego wcześniej świata swoich najbliższych. Powoli anektują teren.

Przy okazji jednej z rozmów o „Parasite" Bong stwierdził, że filmowi bohaterowie na jego dom raczej by się nie połakomili. Nie ma w nim zbytku, a rodzina plasuje się w niższym poziomie klasy średniej. To się zapewne zmieni po tegorocznej oscarowej nocy. A jak wpłynie na życiowe wybory 50-letniego Bonga? Zobaczymy.

By nakręcić „Parasite" – znacznie skromniejsze od dwóch poprzednich filmów – wrócił do Korei Południowej. Po zdobyciu Złotej Palmy podkreślał, że woli tego rodzaju kino od wysokobudżetowych produkcji.

Jako reżyser zadebiutował w 1994 r. Krótkometrażowa czarna komedia zapowiadała kierunek, który do dziś go określa: kino gatunku połączone ze społeczną krytyką. Takie były filmy, dzięki którym zaczęto go rozpoznawać poza Koreą. „Zagadka zbrodni" (2003) i „Matka" (2009) to kryminały. „The Hoast: Potwór" (2006) jest horrorem (zarazem jednym z największych koreańskich przebojów kasowych). W thrillerze SF „Snowpiercer: Arka przyszłości" (2013) zagrali m.in. Tilda Swinton, Jon Hurt, Ed Harris oraz filmowy Kapitan Ameryka Chris Evans. W 2017 r. do głównego konkursu w Cannes trafiła, wyprodukowana przez Netflixa, „Okja" – o przyjaźni dziewczynki i zmutowanej świni. Film wywołał w Cannes burzę związaną z... wpływem platform streamingowych na sztukę filmową.

I tu dochodzimy do „sposobów", dzięki którym reżyser koreańskiego filmu rozsadził oscarową strukturę.

Nim jeszcze trafił do międzynarodowych konkursów, fanem jego filmów był Quentin Tarantino. Odbierając najważniejszego Oscara, Bong nie omieszkał za to podziękować, ale wspomniał też swojego pierwszego amerykańskiego mistrza kina – Martina Scorsesego i jego wypowiedź, która do dziś mu towarzyszy: „To, co najbardziej osobiste, jest najbardziej twórcze".

Opinia Tarantino, filmy „Snowpiercer..." i „Okja", które przedstawiły go szerokiej publiczności; nawet nagłośniona awantura Netflixa z Cannes, były kolejnymi krokami do przełomu, jaki dokonał się podczas 92. gali Oscarów. Jednak – poza niewątpliwym talentem twórcy – za sukcesem „Parasite" stała jeszcze jedna siła. Pieniądze i promocyjne zaangażowanie Miky Lee, mieszkającej w Kalifornii koreańskiej potentatki medialnej, kierującej CJ Group (imperium wartym 4,1 mld dol.), która współfinansowała wymienione wcześniej obrazy Bonga. Spektakularne przebicie się nieanglojęzycznego „Parasite" do głównej nagrody to także sukces Lee.

Wracając jednak do Bonga Joon-ho. Pytany tuż po gali, co dalej, zdradził, że pracuje nad dwoma projektami – koreańskim i anglojęzycznym. W przygotowaniach jest też sześciogodzinny projekt dla HBO, rozwijający pomysły, z których reżyser musiał zrezygnować, kręcąc wersję kinową „Parasite". A już w maju do telewidzów (TNT) trafi serialowa wersja „Snowpiercera".

Fot. materiały prasowe Gutek Film

Reklama | 30/0220/F

eprasa.pl 8c095ff059

MocArty
RMF CLASSIC
2019

RMF Classic



Wielki plebiscyt słuchaczy RMF Classic – już po raz 10!
Prestiżowe wyróżnienia dla ludzi filmu, kultury i sztuki

Zagłosuj na **www.rmfclassic.pl**
i wygraj zaproszenia na Galę Finałową
oraz wiele cennych nagród!

eprasa.pl 8c095ff059



Kanał Dunaj – Hudson

Wojciech Stanisławski

Tożsamości – choćby splecionej z kilku wątków, zmieszanej z kilku popiołów – nie da się zmienić jak awatara: występuje tylko w liczbie najbardziej pojedynczej

Nowy Jork był i jest miastem stu narodów: zawsze robi wrażenie to, że ponad 30 proc. jego obecnych mieszkańców jest urodzonych poza granicami USA, że podobny odsetek ma rodziców wywodzących się z dwóch różnych grup etnicznych; możliwych kombinacji jest sporo, skoro statystyki wymieniają ponad 200 mieszkających w mieście narodowości.

Ten krajobraz jednak zawsze się zmieniał. Powieści i filmy utrwaliły nam na dobre obraz trzech przede wszystkim, oprócz anglosaskiego, Nowych Jorków: włoskiego, irlandzkiego i żydowskiego. Sprawiedliwość nakazuje wymienić czwarty, chiński, a chwila refleksji pozwala dodać do tej wyliczanki również polski, wietnamski czy portorykański. Tak było oczywiście dawno: narody idą w górę i w dół, dziś o swoją szansę walczą, brutalniej niż dawniej, przybysze z Laosu i Gujany, ale w pamięci zbiorowej najmocniej zapadły sceny rozpięte gdzieś między „Powszechną historią nikczemności" Borgesa a kadrami „Dawno temu w Ameryce": perszerony i prostytutki, głód i beztroska dzieci ulicy, peruki, meloniki i czarne suknie, pobożność katolików i chasydów – a wszystko to w ostrym kontraście do oazy dobrych obyczajów, mimozy i szarej koronki, w której dorastają bohaterki prozy Henry'ego Jamesa. Oba światy oddziela kilka ulic, ale zdają się w nich rządzić dwie różne pory roku: na Washington Square zawsze panuje siwozielona wiosna, w górę miasta zwyciężają silniejsze żywioły, jeśli nie zadymka, to spiekota.

Tak utrwalone w wyobraźni odbiorców panoramy zawsze są wyzwaniem dla pisarza: czy zdoła wepchnąć but w drzwi, dorzucić bodaj jedną kreskę do wizji utrwalonej przez dziesiątki dzieł zazębiających się i wspierających nawzajem? Nowy Jork gazeciarzy, podobnie jak XIX-wieczny Paryż czy przedwojenne Wilno wydają się tworem zarazem skomplikowanym i twardym jak muszla: łatwiej ich wizerunek sparafrazować (jak robił to choćby Woody Allen), niż dorzucić coś nowego.



Cătălin Dorian Florescu, „Człowiek, który przynosi szczęście", tłum. Maria Przybyłowska, Fundacja Pogranicze, 2019

Pierwsze nowojorskie rozdziały powieści Cătălina Florescu wydają się parafrazą lub wariacją na motywach znanych już fabuł: śnieg i gruźlica, konkurujące rodowody zmarzniętych kilkulatków, których rodzice przypłynęli przez ocean ze śniegów Galicji lub skalnych rumowisk Pietramelara, kelnerzy i fabrykantki aniołków, mandoliny i skrzypce: ot, dzień jak co dzień na Bowery. Pisarz, który jako nastolatek uciekł spod dyktatury Ceaușescu, a dziś pisze po niemiecku, ma jednak odwagę snucia opowieści: ścieżka jego bezimiennego bohatera, zapalczywego sobowtóra Jackie Coogana, jest coraz bardziej osobna, stroma, niepowtarzalna (i, dodajmy, okrutna).

Opowieść o nowojorskiej nędzy, pokusie i odkupieniu byłaby jednak tylko jedną z wielu fantazji, gdyby Florescu nie splótł jej z drugim wątkiem. Losy niepiśmiennych rybaków z delty Dunaju to też wdzięczny, egzotyczny i „etniczny" temat (obok Rumunów pojawiają się Lipowanie, zapomniana dziś społeczność starowierów, którzy osiedli na północnych obrzeżach Imperium Ottomańskiego), ale gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Tulcza, gdzie Lower East Side? Owszem, miasto stu narodów przygarniało i Rumunów, niejaki Nicolae Dunca wsławił się nawet w wojnie secesyjnej, ale czy to wszystko razem nie nazbyt przekombinowane?

Na szczęście nie. „Człowiek, który przyniósł szczęście" oferuje stosowną dla budowanej à rebours minisagi rodzinnej porcję emocji miłosnych i rodzicielskich, zdrady, porzucenia i oczarowania, trzecioplanowych bohaterów którzy, jak fryzjer Ahile i portier Pasquale, otrzymali na tyle wyraziste rysy, by przetrwali w naszej pamięci choć kilka miesięcy. Bardziej doświadczony czytelnik też otrzyma swoją

eprasa.pl 8c095ff059

porcję szarad: między dwoma odległymi nurtami powieści – nowojorskim i naddunajskim – niemal od pierwszego rozdziału przerzucane są paralele. Gazety o krzykliwych nagłówkach znaczą równie niewiele dla biedaków po dwóch stronach oceanu – urwis wciska je przechodniom, rybak wykleja nimi szałas jak tapetą – ale okazuje się, że to z nich zbudowane są ich marzenia. Najciekawsza jednak jest konkluzja książki, tak nieoczekiwanie staroświecka, że mogła zaskoczyć nawet samego autora, beneficjenta licznych nagród i stypendiów, deklarującego się co i raz jako „nie Rumun, nie Szwajcar, lecz Europejczyk". Bohaterom powieści bowiem czasem przychodzi przymierzać i wybierać różne tożsamości – włoską, żydowską, irlandzką – jak kaszkiet lub parę butów, czasem przeszłość odbierana jest im lub uciekają od niej, niekochanej, na drugi koniec świata. Ostatecznie jednak okazuje się, że tożsamości – choćby splecionej z kilku wątków, zmieszanej z kilku popiołów – nie da się zmienić jak awatara: występuje tylko w liczbie najbardziej pojedynczej.

Chłodny literat patrzy na Warschau



Jan Emil Skiwski, „Umierające miasto. Opowiadania i wspomnienia", red. Maciej Urbanowski, Wydawnictwo LTW, 2020

Rzadko kiedy zdarza się potępienie tak zupełne. „Skiwski" – to nazwisko w kilku powieściach i relacjach z czasów okupacji pada jak chlaśnięcie, ni to szeptem, ni to ze świstem policzka, i za każdym razem ma w sobie ciężar wykluczającej dalszą rozmowę kondemnaty. A zarazem ta biografia jest fatalnie złożona, jedna półprawda rodzi drugą.

W nielicznych opracowaniach, w których Skiwski w ogóle był wymieniany, wyrzucano mu to, co przebaczyć najtrudniej: redagowanie, z błogosławieństwem władz Generalnego Gubernatorstwa, dwutygodnika „Przełom" z ambicją zbudowania antysowieckiej płaszczyzny porozumienia z III Rzeszą, ambicją w roku 1944 równie chybioną, co świadczącą o zdumiewającym deficycie słuchu społecznego u jej inicjatora. Ale wiadomo przecież, że prawdziwą przyczyną ciążących na Skiwskim wyroków była obecność w Katyniu w kwietniu 1943, u boku Goetla i Mackiewicza. Zdaniem komunistycznych prokuratorów z roku 1949 tamta wyprawa do Katynia była jedynie konsekwencją jego „przedwojennej postawy, antydemokratycznej i wrogiej wobec Związku Sowieckiego". Cóż, zarzut „wrogości wobec Związku Sowieckiego" można by postawić (nieraz stawiano) sporej części przedwojennej elity. Ale i na wenezuelskiej emigracji pozostał Skiwski osobny i nieprzysiadalny. Jego ówczesne poglądy, na które składał się rytualny antysowietyzm, żarliwe oddanie idei federacji europejskiej podszyte mocną frankofilią oraz świeżej daty obsesyjny antyamerykanizm uczyniłyby go w dzisiejszych czasach – pozwólmy sobie na ten paradoks – kimś bliskim ideowo Agnieszce Holland...

Mniejsza o złośliwości. W rzeczywistości Skiwski, zamilczany przez półwiecze, stał się w najnowszych czasach bohaterem publicystów, którzy kierują się tyleż integralnym antykomunizmem, ileż przekornym pragnieniem, by za wszelką cenę pójść pod prąd potocznych przekonań. Równowagę między głosami potępienia a admiracji usiłuje zachować prof. Maciej Urbanowski: najbardziej konsekwentny, a przez długie lata jedyny badacz spuścizny Skiwskiego, autor jego wnikliwej biografii (2003), redaktor wyboru pism politycznych (2014), a obecnie – wyboru niemal nieznanych, często niepublikowanych, fragmentów spuścizny literackiej.

Ta proza – niemal w całości, z wyjątkiem dwóch–trzech grotesek, traktująca o czasie okupacji hitlerowskiej – wywiera uderzające wrażenie. Zastanawiam się, w jakim stopniu dzieje się tak za sprawą tego, że Warszawa z lat 1939–1944 pojawia się w prozie, jeśli nie liczyć Twardocha, coraz rzadziej: czy podobnie poruszające okazałoby się odkryte w nieznanym rękopisie, opublikowane po raz pierwszy opowiadanie wojenne Andrzejewskiego czy Iwaszkiewicza? W każdym razie wizja Miasta, stworzona przez Skiwskiego, jest niezwykle spójna. To obraz nakreślony przez mizantropa, spójny i antyheroiczny: galeria bufonów, tchórzy, kokot, „realistów", pań z towarzystwa pełnych klasowych pretensyj, chojraków, wyniosłych dam z konspiracji, którym w obfitości przydano, niczym w garderobie teatralnej, siwych grzywek, maślanych oczu, loczków szczesanych na czoło, rudych pukli i bladych zarostów. Te charakterystyki są przenikliwe i ostateczne, nie da się im zaprzeczyć; nad tym mrowiskiem ludzkim unosi się odór zleżałych perfum. I nic nie pomaga bohaterom tej prozy tragiczny los, jaki spotyka ich z rąk Niemców lub Sowietów: nieporuszony Skiwski trwa między chłodną nienawiścią do okupantów a chłodną niechęcią do swoich. Nie przypadkiem przywołuję Twardocha: te opowiadania, opublikowane kilka lat wcześniej, wywołałyby podobny szok, co „Morfina".

Mam wrażenie, jakby w tym połączeniu podejrzliwości wobec ludzi oraz pragnienia dotarcia do rzeczywistego, psychologicznego lub wręcz animalnego fundamentu ich emocji i zachowań, którego doświadczamy w tej prozie, kryła się prawda tłumacząca w równym stopniu nieszczęsne losy samego Skiwskiego, co jego opowiadań i projektów politycznych. Zdolność wyzwolenia się od zbiorowych wzruszeń jest cenna: tyle że czasem można w sobie rozwinąć ten talent trochę zanadto.

eprasa.pl 8c095ff059

Adamski



Powrót Pana Picklesa

Adam Sandler nie jest pierwszym komikiem, któremu bardzo trudno się wygrzebać z szufladki z napisem „aktor z głupich komedii" i zaskarbić sobie szacunek Akademii przyznającej nominacje do Oscara. Pisałem w tym miejscu tydzień temu o jego kapitalnej roli w „Nieoszlifowanych diamentach", która, ku powszechnemu zdumieniu, nie zasłużyła na nominację do Oscara. Jim Carrey jest jeszcze bardziej nielubianym przez Akademię aktorem. Nie dostał nominacji za wspaniałe role w „Człowieku z księżyca" Formana czy „Truman Show" Weira. W serialu „Kidding" dowodzi jak bardzo destrukcyjne jest zaszufladkowanie w zawodzie aktora.



W „Kidding" Carrey wciela się w pewnym stopniu w samego siebie. W gwiazdę tkwiącą w szufladzie, spętaną własnym wizerunkiem. Z wieczną maską na twarzy. Jeff znany jest kilku pokoleniom Amerykanów jako Pan Pickles. Jest żywą legendą dziecięcej telewizji. Od trzech dekad naucza małych Amerykanów, jak żyć i być dobrym człowiekiem. Jest na tyle kochaną i charyzmatyczną postacią, że oglądają go nawet dorośli, pamiętający jego urok z dzieciństwa. Za maską wesołego Pana Picklesa kryje się ból, mrok i cierpienie. Jeden z synków Jeffa ginie w wypadku samochodowym. Pan Pickles to po prostu Jim Carrey, który obnażył mrok swojej duszy w dostępnym na Netflixie dokumencie „Jim and Andy".

Drugi sezon serialu „Kidding" (piszę to po trzech odcinkach) nie ma w sobie tak wielkiego emocjonalnego ładunku jak pierwszy. Jednak w ciekawy sposób rozwija postać Jeffa, który nadal chce być autorytetem dla milionów dzieciaków. Tym, który chce mieć z nimi kontakt 24 godziny na dobę. Bezpośrednio. Za pomocą lalki podłączonej do internetu, przez którą Jeff na żywo odpowiada dzieciom na pytania, śpiewa im kołysanki i wysłuchuje ich problemów. Sprowadza na siebie gniew wielu rodziców. Jego ojciec i szef stacji telewizyjnej nadającej jego show (świetny Frank Langella) jest przerażony ekscentrycznym pomysłem syna. Jego siostra (Catherine Keener) niespodziewanie pokręcony pomysł popiera.

„Kidding" jest rasową tragikomedią, która obok „The Kominsky Method" pokazuje, na czym polega istota tego gatunku filmowego. Jim Carrey gra cały czas na granicy szaleństwa. Współczujemy mu, przerażają nas trawiące go demony, bawi nas jego plastyczna twarz, dzięki której był w latach 90. na szczycie komedii. Nie wiem, jak rozwinie się ten sezon (po zupełnie zdumiewającym, przewrotnym siódmym odcinku „Nowego papieża", który nadał sens całej opowieści, boję się oceniać seriale po kilku odcinkach), ale wygląda na to, że może się „Kidding" stać klasyką gatunku. Przejmująca opowieść.

„KIDDING" DOSTĘPNY NA HBO GO

DVD

Wszystko o jego matce

Każdy film Pedro Almodóvara ma wątki autobiograficzne. Jednak „Ból i blask" jest jego najbardziej osobistym wyznaniem. Almodóvar zaprasza nas do świata reżysera Salvadora Mallo (Antonio Banderas), który zmaga się z niemocą twórczą oraz egzystencjalnym i fizycznym bólem. Migreny, bóle pleców i stawów, refluks, depresja i brak weny prowadzą go wprost w szpony nałogu heroinowego. Ponowne zjednoczenie z dawnym przyjacielem i aktorem Alberto, z którym pokłócił się 32 lata wcześniej, każe mu zajrzeć we własną duszę. Mallo został wychowany w ubogiej rodzinie mieszkającej w zaadaptowanej na dom jaskini z kochającą i surową matką (Penélope Cruz) u boku. Teraz powraca do wspomnień z dzieciństwa. Almodóvar nakręcił film we własnym mieszkaniu i ubrał w swoje ciuchy Banderasa. To film nie tylko o nim i miłości do jego mamy, lecz także o relacji z Banderasem, który osiągał swoje największe aktorskie szczyty w obnażających aktorsko dziełach Pedro. Ten film jest najpiękniejszym dowodem ich przyjaźni. Antonio obnaża tym razem samego Pedro. Obnaża jego fobie, lęki, ale też namiętności. Obnaża jego miłość. Do matki i kina.



„BÓL I BLASK", REŻ. PEDRO ALMODÓVAR, DYSTR. GUTEK FILM

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 8c095ff059

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Przypowieść o ojcostwie

DVD

Nie zdobył ten film przychylności akademików i został zupełnie pominięty w nominacjach do Oscara. Brad Pitt mógłby zatriumfować również za rolę w „Ad Astrze", a nie tylko u Quentina Tarantino. Ten niezwykły film łączący z sobą narrację kina Terrence'a Malicka, elementy „Czasu Apokalipsy" Coppoli i poetykę „2001. Kosmicznej odysei" Kubricka. James Gray znów nakręcił zupełnie oryginalny film, bez patrzenia na panującą, modę filmową.

Przyszłość. Roy McBride (Brad Pitt) jest jednym z najsłynniejszych astronautów. To syn legendarnego Clifforda McBride'a (Tommy Lee Jones), który wiele lat wcześniej poleciał z misją szukania innych cywilizacji. Jego statek zaginął gdzieś obok Jowisza. Po 16 latach okazuje się, że informacje o śmierci bohatera Ameryki były przedwczesne. Roy wyrusza w tajną misję mającą uratować świat przed katastrofą. Ceną za to jest spotkanie ojca.

Nie jest „Ad Astra" wybuchową opowieścią o apokalipsie w stylu „Armageddonu" (co zabawne, w obu na astronautę ratującego Ziemię czeka Liv Tyler). Jeżeli spodziewacie się takiego kina, to będziecie zawiedzeni. Ten film ma wielki budżet (90 mln dol.) i gwiazdy na pokładzie. Jest bardziej przypowieścią niż rozrywkowym blockbusterem. Rozmach jednak imponuje. Operator Hoyte van Hoytema („Interstellar") maluje kamerą przytłaczającą przyszłość. Statki kosmiczne przypominają bardziej te z „Obcego" niż kina s.f. z XXI w., baza na Księżycu jest zimna i industrialna, zaś czerwień Marsa w każdym kadrze niepokojąca. Gray doskonale się też bawi klasyką, choć film ten nie jest żadną żonglerką gatunkową. Scena pościgu łazików na Księżycu jest np. bezpośrednim nawiązaniem do westernów Johna Forda.

Wątek uratowania Ziemi przez astronautę jest tylko przyczynkiem do o wiele głębszej opowieści. Roy leci na kraniec Układu Słonecznego, by zrozumieć, dlaczego został porzucony przez ojca. Leci tam, by przepracować własne traumy. Wchodzi do „jądra ciemności", by wyjść z niego wzmocniony albo zginąć. Brad Pitt dojrzewa aktorsko jak najlepsze wino. Jego rola jest subtelna, doskonale wyważona, zagrana na drobnych grymasach.

Relacja ojca z synem to tylko warstwa, pod którą kryją się kolejne rozważania. Czy warto porzucać najważniejszych dla siebie ludzi w imię nauki i chęci dosięgnięcia nieznanego? Czy z drugiej strony prawdziwa miłość jest możliwa, gdy występuje poczucie życia w klatce? Ten motyw wciąż u Graya powraca. Od „Małej Odessy", przez „Kochanków", aż po „Imigrantkę" – wszędzie kajdany krępują rozdartego bohatera. Roy nie chce mieć rodziny. Jego domem ma być kosmos. Jest doskonale wytrenowaną maszyną z idealnymi parametrami psychologicznymi i fizycznymi. A co z duszą? Jeśli przegapiliście ten mądry i bardzo niejednoznaczny film w kinie, to nadróbcie w kinie domowym.

„AD ASTRA", REŻ. JAMES GRAY, DYSTR. IMPERIA CINEPIX

Imponujący dokument

VOD

Warto ten niezwykły dokument obejrzeć po seansie „1917" Sama Mendesa. Kinowy magik od „Władcy pierścieni" Peter Jackson dokonał tytanicznej pracy, by przenieść nas w sam środek I wojny światowej. Jackson z swoją ekipą przejrzał 100-godzinny materiał filmowy z archiwum Imperial War Museum, którego obszerne fragmenty poddano obróbce cyfrowej. Wyczyszczono taśmy, dodano dźwięk i dano spektakularny obraz odpowiadający standardom dzisiejszego 4K.



Nie tylko strona techniczna filmu zachwyca. Peter Jackson zbudował też dramaturgię wojennej dokumentalnej opowieści. Łączy się ten film z triumfującym na ostatnich Oscarach „1917". Oba opowiadają o losach zwykłych żołnierzy, którzy zostali wrzuceni w sam środek frontu pierwszej tak krwawej i brutalnej wojny XX w. Nie geopolityka jest tutaj najważniejsza, ale los tych prostych żołnierzy oddających życie za brata z boku.

„I MŁODZI POZOSTANĄ", REŻ. PETER JACKSON. FILM DOSTĘPNY NA HBO GO

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 8c095ff059

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Śpiewajmy Starszych Panów

Ktoś powinien napisać dla Wojciecha Solarza tekst o miłości, najlepiej komedię romantyczną – usłyszałem kiedyś w okolicach telewizji. Zgodziłem się z tym. O Emilii Komarnickiej-Klynstrze tego nie usłyszałem, ale powinienem.

„Duet, czyli receptę na miłość" napisała Magda Wołłejko, córka sławnego aktora i sama aktorka. Reżyserował Adam Sajnuk, dyrektor teatru WARSawy, mający dobry teatralny słuch zarówno do rzeczy ambitnych, jak i popularnych. Kto w tym zagrał, już się domyślacie. Tak, pani Wołłejko rozpisała rzecz całą na dwie osoby i ogródek.

Mamy parę sąsiadów, ludzi po przejściach, którzy zaprzyjaźniają się po oporach, głównie z jej strony. Pojawia się jednak pytanie o dalszy ciąg znajomości. Rzecz rządzi się żelaznymi prawami komedii romantycznej, chociaż sam tekst bywa miejscami sofistyczny, rodem bardziej z teatralnego „realizmu magicznego" niż ze świata kina. Wzmaga to wrażenie naszpikowanie sztuki piosenkami z Kabaretu Starszych Panów. Z jednej strony mamy „niemal musical". Z drugiej teksty Jeremiego Przybory ciągną w górę literackość przypowieści.

Dostajemy jednak logikę tego typu utworów, z przewidywalnością rozwiązań, cząstkowych i finałowych. Zawsze się przeciw komediom romantycznym z ich przesłodzonym optymizmem buntuję. W życiu tak nie jest, krzyczę. Zróbcie choć jedną, dwie komplikacje więcej, żebyśmy naprawdę zaczęli się przejmować. Zarazem wiem, że ten optymizm ma nas jakoś zarazić.

Mamy kilka cech specyficznych „Duetu". Z jednej strony prześwitują przezeń przypadłości nowej epoki, choćby wszechobecność wątku gejowskiego w relacjach między facetami i kobietami, nie mówiąc o roli internetu. Z drugiej dostajemy dużo delikatności w kreśleniu ludzkich relacji, niekoniecznie zdominowanych tylko przez seks. No a klimat Wasowskiego i Przybory dodaje do tej delikatnej konstrukcji dodatkowe pięterko. Ciepło myślę o pokoleniu dzisiejszych trzydziestoparolatków, którzy pochylają się nadal nad taką czystą poezją. Takimi są ci bohaterowie.

I chętnie się domyślam, ba po części wiem, że tacy są też grający w tym aktorzy. Każde z nich wchodzi trochę w swoją specjalność. Komarnicka, preferująca na ogół bardziej asertywne, ostrzejsze postaci. Solarz – delikatny, trochę księżycowy, choć umiejący bawić się sytuacjami z inwencją poety. To dla nich, dla ich przykuwających uwagę osobowości, dla ich charyzmy, warto było to przedstawienie robić.

Reszta jest temu podporządkowana: uroczo umowna, bawiąca się rekwizytami scenografia Katarzyny Adamczyk, muzyka grana przez team pod kierunkiem Michała Lamży. Komarnicka była niedawno prawie zwycięzcą programu Polsatu „Twoja twarz brzmi znajomo". Trzeba tam było nie tylko śpiewać, ale udawać innych wokalistów. Więc tu czaruje nas piosenkami. Solarz nie jest aż takim mistrzem głosu. Ale jest specem od zabawy piosenką, parodiowania samego siebie. Dokazał tego w Kabarecie na Końcu Świata. I ostatecznie to do niego należy wykonanie najbardziej przebojowego utworu Starszych Panów – o urokach rodziny.



To zabawne, uchodząca za konserwatywną telewizja opowiada nam o uczuciach singli, którzy bynajmniej nie żyją „przykładnie". Tekst wprowadza w ich życie odrobinę ładu, ale nikogo nie poucza, na nic nie nawraca. W najbliższy poniedziałek dostaniecie po prostu spotkanie z sympatycznymi ludźmi, którym wreszcie powinno się udać. Aż chce się im kibicować. Jak Komarnickiej i Solarzowi, żeby było ich jak najwięcej na ekranie.

Piotr Zaremba

Hiszpańskie doznania

Jesteśmy na południu Hiszpanii, w trójkącie Sewilla, Cordoba i Malaga. Jest ciepło, w ciągu dnia ponad 20 stopni. Stosunkowo mało turystów, jedynie w dni weekendowe ulice Sewilli i kolejki do katedry, a szczególnie do Alcazar, są dłuższe. Uderza piękna architektura; ewolucyjne przechodzenie talentów ludzkich z cywilizacji arabskiej ku chrześcijańskiej. Przykładowo, niemal cała przestrzeń sewilskich pałaców Alcazaru, czy mniejszego Pilatos, przypomina czasy przedchrześcijańskie – Alcazar był siedzibą władców arabskich, potem królów hiszpańskich; ogrody z niezwykłą roślinnością i wszędzie ściany pokryte piękną, wielobarwną mozaiką z płytek, plafony zaś pokryte bogato zdobionymi w drewnie kasetonami; wszędzie złocenia. Obok jedna z najpiękniejszych katedr w Europie; portale przepięknie zdobione, z tym samym przywiązaniem do szczegółów, chęcią zbliżenia się do Boga poprzez Jego doskonałe uwielbienie. Talent człowieka staje się narzędziem komunikacji, modlitwą artysty. Ściany pokryte tymi samymi mozaikami, aż do znudzenia powtarzającymi się niemal w każdej budowli, a potem w sklepach z pamiątkami. Jest to jednak piękne, tak jakby cywilizacja arabska oddała chrześcijanom co najlepsze, a myśmy tego nie zniszczyli do końca, a bardziej przebudowali i wzbogacili chrześcijańską treścią! Gotyk współgra tutaj z pozostałością po stylu mudejar.

Malarstwo włoskie wczesnego renesansu, manieryzmu i baroku wydaje się szczytowym osiągnięciem ludzkości. To nieprawda; wystarczy pojechać do Sewilli, by w kolejnych muzeach, kościołach i galeriach zobaczyć znanych powszechnie Murilla czy de Zurbarána, ale też rzeźby „hiszpańskiego Michała Anioła" Juana Martíneza Montañésa (1568–1649), mniej znanego, raczej nieobecnego w galeriach europejskich. Jego pomnik stoli przy jednym z najpiękniejszych placów i kościołów. Wśród jego rzeźb widocznych zarówno w świątyniach, jak i w muzeach, dominuje tematyka religijna. Realne postacie Chrystusa ukrzyżowanego czy świętych, w tym męczenników, mają realistyczne twarze, realnie pogrubione żyły, palce z paznokciami, mimo iż pierwotnie stały wysoko, poza ludzkim wzrokiem. Ta sama konieczność dbania o szczegół, przestrzeń ma być wypełniona do ostatniego centymetra kwadratowego ciężką pracą artysty.

Wchodzimy do sewilskich kościołów; jest ich bardzo dużo. W katedrze, podobnie jak w kościele Najświętszego Zbawiciela, zwalają z nóg ołtarze główne. Wykonane w drzewie, wysokie na kilkanaście metrów, misternie rzeźbione. Setki postaci, głównie aniołków, masa szczegółów rzeźbiarskich, złoceń. A w środku kolejna figura Matki Boskiej przystrojona w sukienkę, z włosami, a w bocznym ołtarzu – jednym z wielu – znów figura Chrystusa, także ubrana w szkarłatny płaszcz. Patrzysz człowieku i widzisz doskonałość ludzkiej pracy, szczególne wykorzystanie talentu ku chwale Boga. A wszystko dzięki temu, że byli tu przed wiekami Arabowie, których dorobku kulturowego nikt nie chciał poniżyć.

Nie znaczy to wcale, by Hiszpanie dzisiejsi byli zawsze tacy skorzy do podtrzymywania swojej historii w żywej pamięci. Nigdzie nie znaleźliśmy żadnej wzmianki, żadnej tablicy ani rzeźby nawiązującej do postaci gen. Francisca Franca i jego czasów, także do ofiar republikańskich rządów, jak choćby wyniesionych na ołtarze męczenników hiszpańskiej wojny domowej. Historia skończyła się wraz ze śmiercią ostatniego króla Alfonsa XIII. Zmowa to czy umowa społeczna? //

Jan Żaryn



Autopromocja

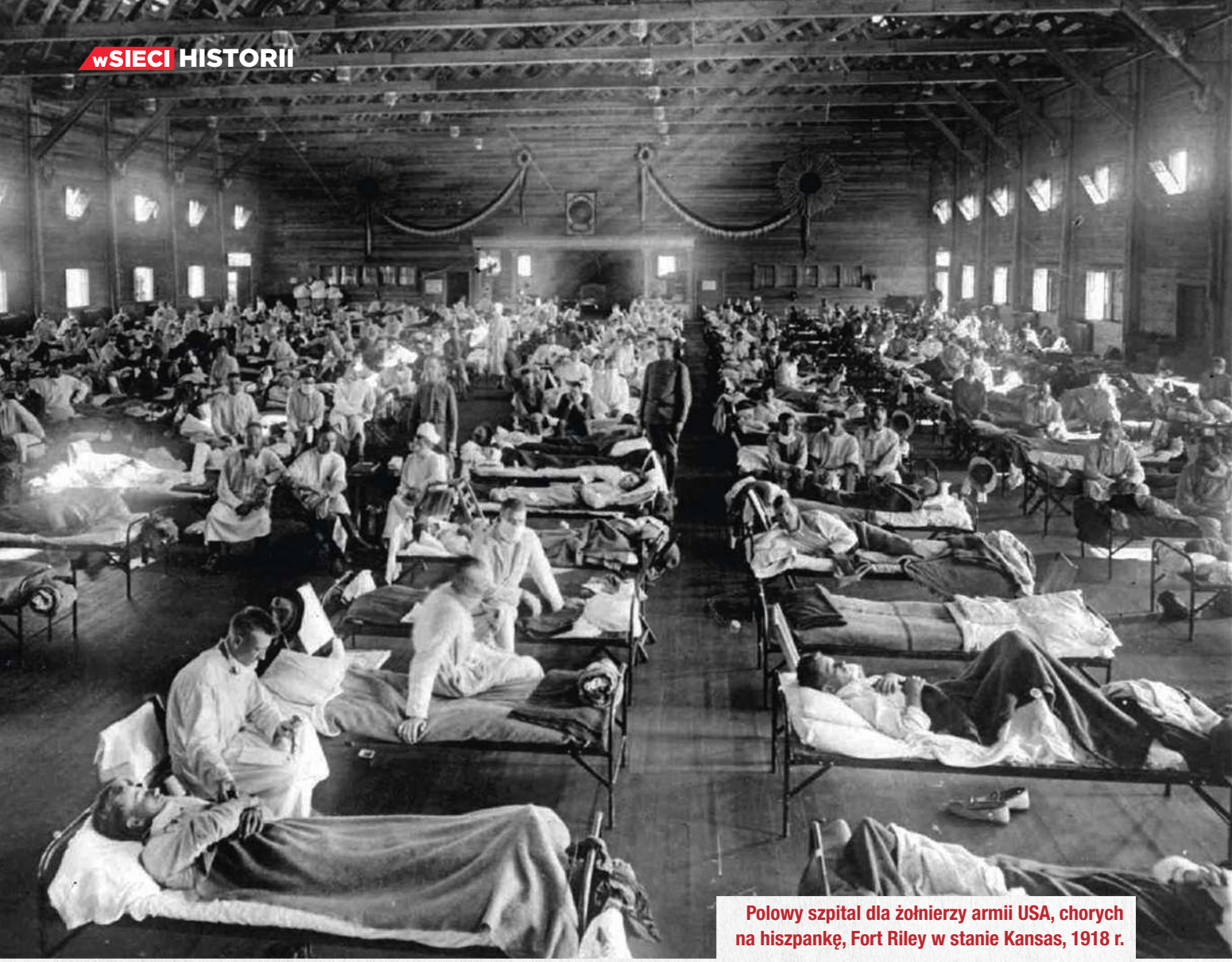
wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

www.wSieciHistorii.pl



eprasa.pl 8c095ff059



Polowy szpital dla żołnierzy armii USA, chorych na hiszpankę, Fort Riley w stanie Kansas, 1918 r.

Hiszpanka też była Chinką

Sto lat przed tym, jak chiński koronawirus 2019-nCoV trafił z Wuhan do innych krajów, na świecie wygasała ostatnia wielka pandemia grypy zwanej hiszpanką. Mogła ona zabić nawet 100 mln ludzi. Badania naukowe wykazały, że jej wirus również pochodził z Chin



Andrzej Fedorowicz

Na początku 1920 r. lekarze w Polsce odetchnęli – przestali pojawiać się nowi chorzy z objawami hiszpanki. Jedną z jej ostatnich ofiar był wybitny matematyk, 31-letni profesor Uniwersytetu Warszawskiego Zygmunt Janiszewski, który zmarł 3 stycznia we Lwowie. W sumie Polska miała szczęście – epidemia trwała tu stosunkowo krótko. Pierwsze zachorowania pojawiły się w lipcu 1918 r. we Lwowie, skąd wirus rozprzestrzeniał się wzdłuż trasy kolejowej

FOT. AP PHOTO/NATIONAL MUSEUM OF HEALTH

eprasa.pl 8c095ff059

Lwów-Kraków-Katowice. W Krakowie masowe zachorowania rozpoczęły się we wrześniu, w Warszawie miesiąc później.

Ponieważ trwała jeszcze wojna, wojskowa cenzura uniemożliwiała informowanie o epidemii. Zakazane było nawet drukowanie nekrologów w gazetach ze wzmiankami o przyczynie śmierci. To również sprzyjało roznoszeniu się wirusa. Tak było zresztą we wszystkich zaangażowanych w I wojnę światową krajach Europy. W neutralnej Hiszpanii nie utajniano informacji, dlatego pierwsze dane epidemiologiczne dotyczące grypy pochodziły właśnie stamtąd. I z tego właśnie nazwano ją „hiszpanką".

Gdy w listopadzie 1918 r. Polska odzyskiwała niepodległość, chorował już cały kraj. Informacje o „hiszpańskiej influenzy" mogły być podawane, brakowało jednak instytucji, które by zbierały dane dotyczące przyczyn zgonów. Dlatego też liczby ofiar hiszpanki w Polsce nigdy nie ustalono. Z pamiętników wiadomo jednak, że musiało być ich wiele. Wymierały całe rodziny. Lekarz Karol Rozenfeld wspominał: „Zaskoczeni znienacka, staliśmy wszyscy bezradni w obliczu klęski, której ogromu ani zmniejszyć, ani nawet w przybliżeniu określić nie byliśmy w stanie. Ogólne uczucie grozy zwiększała niemoc terapii, bezowocność wszystkich wysiłków w przypadkach złośliwych, szybko kończących się śmiercią".

Śmiertelna epidemia wygasła po czterech miesiącach, w styczniu 1919 r. Jak stwierdzili lekarze, większość ofiar tej fali grypy zmarła z powodu wirusowego krwotocznego zapalenia płuc. Co zdumiewało, to to, że umierali głównie młodzi ludzie, w wieku poniżej 40 lat. Hiszpanka wróciła do Polski wiosną 1919 r., tym razem miała jednak znacznie łagodniejszy przebieg. Ostatecznie zaczęła wygasać na początku 1920 r.

Skąd się wzięła hiszpanka?

Skala pandemii, która w latach 1918–1919 przetoczyła się przez świat, przekraczała wszystko, z czym ludzkość miała wcześniej do czynienia. Była to pierwsza tak zabójcza zaraza od czasów czarnej śmierci w połowie XIV w. Na hiszpankę zachorowało w sumie 500 mln ludzi, co stanowiło jedną trzecią ówczesnej populacji świata. Zmarło 50–100 mln ludzi – dokładne szacunki nie są możliwe z powodu braku rejestracji zachorowań w Afryce i Azji. Najwięcej śmiertelnych ofiar było w Indiach – 17 mln, jednak procentowo największe straty poniosły endemiczne, najmniej odporne na nowe choroby grupy etniczne. Na wyspach Samoa zmarło 20 proc. ludności, a niektóre zamieszkałe przez Indian rejony Alaski stały się praktycznie bezludne.

W Europie najwięcej ofiar hiszpanka spowodowała we Francji – 400 tys. 250 tys. osób zmarło w Wielkiej Brytanii. Masowym zachorowaniom sprzyjało to, że epidemia szerzyła się wśród przebywających w okopach i szpitalach wojskowych żołnierzy. Złe warunki sanitarne, zimno i niedożywienie sprzyjały wysokiej śmiertelności. Epidemia bez problemu przekraczała linie frontu; w maju 1918 r. zdziesiątkowała żołnierzy 37 niemieckich dywizji przygotowanych do ofensywy na linii Marny, której celem było zajęcie Paryża. Z tego samego powodu nie powiodła się też francuska kontrofensywa.

Skala pandemii, która w latach 1918–1919 przetoczyła się przez świat, przekraczała wszystko, z czym ludzkość miała wcześniej do czynienia

Europejskim krajem, który najlepiej poradził sobie z epidemią, była Dania. Chorych szybko umieszczano tam w szpitalach i otaczano profesjonalną opieką. Z tego powodu śmiertelność w Danii wyniosła zaledwie 0,27 proc. Po drugiej stronie świata dobrze poradziła sobie Australia, gdzie wprowadzono ścisłą kwarantannę i liczbę chorych udało się zatrzymać na poziomie 12 tys.

Gdzie zaczęła się pandemia? Problem jest o tyle trudny, że hiszpanka wystąpiła w trzech falach, z których każda objawiała się nieco innym przebiegiem choroby. Czy oznacza to, że jednym określeniem nazwano trzy różne, następujące krótko po sobie epidemie grypy, spowodowane przez różne odmiany wirusa i mogące mieć swój początek w różnych częściach świata?

Gorączka z Kansas czy z Étaples?

4 marca 1918 r. w Fort Riley w amerykańskim stanie Kansas kucharz Albert Gitchell zgłosił się do wojskowego lekarza z temperaturą 39,5 st. C. To właśnie on jest pierwszą oficjalnie zarejestrowaną ofiarą grypy hiszpanki. Wkrótce dołączyli do niego kapral Lee Drake oraz sierżant Adolph Hurby. W ciągu tygodnia zachorowało w Fort Riley 1227 żołnierzy, z których 46 zmarło, a „gorączka z Kansas" dotarła do Nowego Jorku i kilku innych miast. To, że pierwszym zarażonym był kucharz, skłoniło naukowców do postawienia tezy, że wirus pierwszej fali grypy mógł zostać przeniesiony na ludzi przez zwierzęta. Gdy wysłani na front I wojny światowej amerykańscy żołnierze znaleźli się w Europie, wiosną 1918 r. epidemia zaczęła rozprzestrzeniać się błyskawicznie.

Wirusolog John Oxford uważa jednak, że hiszpanka była w Europie już pod koniec 1917 r. Wojskowi lekarze z obozu w Étaples w regionie Pas-de-Calais w północnej Francji zgłaszali wówczas przypadki nowej choroby o wysokiej śmiertelności, którą później rozpoznali jako grypę. Przepełniony obóz i szpital wojskowy, leczący m.in. ofiary ataków chemicznych, były idealnym miejscem do rozprzestrzeniania się nowego wirusa: codziennie przez obóz przewijało się ok. 100 tys. żołnierzy.

W obozie hodowano świnie i drób, żywność sprowadzano też z okolicznych wiosek. Oxford i jego zespół doszli do wniosku, że wirus hiszpanki był roznoszonym przez ptaki zmutowanym wirusem, który następnie przeniósł się na świnie hodowane w pobliżu frontu, a z nich przeniósł się na ludzi. Czy gorączka z Étaples i z Kansas mogły mieć ze sobą coś wspólnego? Wiele wskazuje, że tak, gdyż przypadki odnotowane w Fort Riley nie były pierwsze. W Haskell County w stanie Kansas pierwsze zachorowania pojawiły się również pod koniec 1917 r., chociaż, podobnie jak w Étaples, nie zostały rozpoznane jako nowa forma grypy. »

eprasa.pl 8c095ff059

» W jaki jednak sposób grypa w Stanach Zjednoczonych i we Francji mogła się pojawić niemal w tym samym czasie?

Chiński ślad

Fala zachorowań, która rozpoczęła się wiosną 1918 r., chociaż wysoce zaraźliwa, miała łagodny przebieg. Prawdziwa apokalipsa rozpoczęła się latem. W sierpniu 1918 r. śmiertelność wśród chorych na grypę zaczęła gwałtownie rosnąć. Stało się to niemal jednocześnie w porcie Brest we Francji, w Bostonie w USA oraz afrykańskim Freetown w Sierra Leone. Umierała nawet co trzecia osoba, a szczególne zdumienie lekarzy budził tzw. odwrócony profil wiekowy ofiar epidemii. Podczas gdy grypa zabija głównie osoby starsze, dzieci oraz ludzi o obniżonej odporności, teraz większość ofiar stanowili ludzie w wieku 20–40 lat. W Szwajcarii na hiszpankę zmarło więcej ludzi młodych niż starszych. Zdarzały się nawet miejsca, w których na grypę nie zachorowała żadna osoba po 50. r.ż.

Druga fala epidemii rozprzestrzeniła się po całym świecie i spowodowała najwięcej ofiar. Wirus podążał śladami globalnego konfliktu wraz z przemieszczającymi się na duże odległości oddziałami wojska i marynarzami statków dowożących zaopatrzenie z różnych krajów. Jednym z nich były Chiny. Historyk Christopher Langford ustalił na podstawie dokumentów, że epidemia identyczna z grypą hiszpanką pojawiła się pod koniec 1917 r. w wioskach położonych wzdłuż Wielkiego Muru Chińskiego, skąd w ciągu sześciu tygodni rozprzestrzeniła się 500 km dalej. Chociaż powodowała dużą śmiertelność, była jednak relatywnie niższa niż później w Europie i innych częściach świata. Większa odporność Chińczyków na wirusa hiszpanki mogła brać się z tego, że byli oni na niego częściowo uodpornieni. A to oznaczałoby, że wirus pochodzi z Azji.

Gwałtowny wzrost liczby zachorowań nastąpił wraz z przemieszczaniem się do Europy coraz większej liczby amerykańskich żołnierzy i chińskich robotników

Drogą, którą przedostał się do Europy, była Kanada, a jego roznosicielami – ochotnicy Chińskiego Korpusu Pracy. W 1916 r. marszałek Douglas Haig poprosił rząd Chin o przysłanie 21 tys. robotników w celu uzupełnienia niedoborów siły roboczej i zastąpienia w różnego rodzaju pracach potrzebnych na froncie ludzi. Chińczycy mieli być przewiezieni statkami do Vancouver na zachodnim wybrzeżu Kanady, a stamtąd pociągami do Halifaxu na wschodzie i dalej do Europy. Pierwszy statek przewożący 1088 robotników wypłynął z portu w Weihaiwei 18 stycznia 1917 r. W sumie w czasie I wojny światowej do Europy trafiło niemal 100 tys. Chińczyków.

Jak rozpaczliwie potrzebowano rąk do pracy, może świadczyć to, że 2 marca 1918 r. 1899 robotników Korpusu wypłynęło z Weihaiwei, mimo że wstrzymano w nim właśnie rekrutację ochotników z powodu „zarazy". Chociaż w Kanadzie wiedziano o tym i zarówno pociągi które miały przewozić Chińczyków, jak i obozy, w których ich gromadzono, były szczelnie odizolowane, kwarantannę medyczną prowadzono bardzo pobieżnie. Miały na to wpływ również rasistowskie uprzedzenia. Zarażeni wirusem grypy i wysłani do Europy robotnicy Korpusu,



Przemarsz oddziału piechoty USA przed wyjazdem na front do Francji w 1918 r. Żołnierze mają nałożone maseczki, by zapobiec zarażeniu grypą hiszpanką

zatrudnieni m.in. przy budowie okopów, dali najprawdopodobniej początek zabójczej epidemii.

Azja – wylęgarnia pandemii?

Historyk Mark Humphries znalazł archiwalne dokumenty potwierdzające, że choroba układu oddechowego, która dotknęła północne Chiny w listopadzie 1917 r., została zidentyfikowana rok później przez chińskich urzędników jako identyczna z hiszpańską grypą. Znaleziono też dowody, że wirus krążył w europejskich armiach przez miesiące, a może nawet lata przed pandemią z 1918 r., a gwałtowny wzrost zachorowań nastąpił wraz z przemieszczaniem się do Europy coraz większej liczby amerykańskich żołnierzy i chińskich robotników.

Wciąż jednak nie ma odpowiedzi na wiele pytań. Czy wirus przedostał się do Europy już z pierwszym transportem w Weihaiwei, który dotarł do Francji wczesną wiosną 1917 r.? W jaki sposób pojawił się w Kansas – został przeniesiony z któregoś z chińskich obozów kwarantanny w Kanadzie przez ptaki lub inne zwierzęta? Jak długo wirus krążył po Francji i Kansas, zarażając kolejne osoby, i co spowodowało gwałtowny wzrost zachorowań, który przerodził się w epidemię?

Naukowcy nie są też zgodni, czy drugą, zabójczą falę zachorowań na hiszpankę wywołał nowy wirus przywieziony przez robotników Chińskiego Korpusu Pracy latem 1918 r., czy może jakaś mutacja jego wcześniejszych form. Szczególne zainteresowanie badaczy budził niespotykany wcześniej odwrócony profil wiekowy ofiar. Wirusolog Yoshiro Kawaoka uważa, że za wysoką śmiertelność „drugiej" hiszpanki nie był odpowiedzialny bezpośrednio sam wirus, ale gwałtowna reakcja układu odpornościowego na nowy patogen, powodująca zniszczenie płuc. To wyjaśniałoby, dlaczego ta fala pandemii trwająca do jesieni 1918 r. zabijała głównie młodych ludzi, z najsilniejszym układem odpornościowym.

Profesor Claude Hannoun, główny ekspert od grypy z Instytutu Pasteura, uważa, że wirus „drugiej" hiszpanki zmutował w Stanach Zjednoczonych niedaleko Bostonu, a stamtąd rozprzestrzenił się na Europę. Wciąż jednak nie wiadomo wszystkiego, np. jakie były źródła trzeciej fali hiszpanki i jej związek z wcześniejszymi zachorowaniami. Ponieważ jednak spowodowała ona najmniej ofiar, nie budzi już takiego zainteresowania badaczy.

Droga hiszpanki przypomina nieco wcześniejszą o 600 lat epidemię dżumy. Pierwsze ślady tej choroby pojawiły się w latach 20. XIV w. w Mongolii. Stamtąd zaraza przedostała się do Chin, które pustoszyła od 1331 do 1353 r., a w 1345 r. trafiła na Krym. Do Europy dotarła w październiku 1347 r. na pokładach genueńskich galer, które przybyły do sycylijskiej Messyny z Kaffy (obecnej Teodozji) na Krymie. Ta genueńska faktoria handlowa była oblegana przez chana Złotej Ordy, Dżanibeka. Jego armia zastosowała wówczas broń biologiczną, przerzucając przez mury miejskie zwłoki ludzi, którzy zmarli na dżumę.

Koronawirus 2019-nCoV nie jest tak groźny jak dżuma, jest jednak niebezpieczny z innego powodu. To kolejna mutacja, która na ludzi przeniosła się ze zwierząt. Zdaniem wirusologów najczęściej dochodzi do tego właśnie w Chinach, gdzie z powodu zwyczajów kulinarnych, warunków higienicznych oraz dużego zagęszczenia ludności i zwierząt tego rodzaju międzygatunkowe transfery są najłatwiejsze. A dziś, dzięki połączeniom lotniczym, nowe wirusy są w stanie przemieszczać się na drugi koniec świata o wiele szybciej niż w przeszłości. //

POLSKIM OKIEM

W oczach zagranicy...



Ryszard Czarnecki

Strasburg, Parlament Europejski, spotkanie z szóstką dziennikarzy z Białorusi, Gruzji, Mongolii, Tunezji, Jordanii i Madagaskaru. Przyjechali tutaj, aby rozmawiać o prawach człowieka i demokracji oraz wolności słowa i wolności mediów.

Rozmowy takie są pouczające. Tematy sugerowałyby, że mogę mieć ciężką przeprawę z żurnalistami – ale nic z tych rzeczy. Dziennikarze jakoś nie są zakładnikami stereotypów na temat naszego kraju i wcale nie pytają o reformę sądownictwa i o to, czemu „Gazeta Wyborcza" nie ma tylu reklam od spółek skarbu państwa, ile w okresie słusznie minionym...

Bolorordene z Mongolii, gdy dowiaduje się, że odpowiadałem za relacje z jej krajem i całym regionem Azji Centralnej jako wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego, najpierw pyta, co sądzę o Mongolii, a potem o... wielką rolę Polski w regionie. Mówię, że jej ojczyzna to najbardziej demokratyczny kraj w Azji postsowieckiej. A o Polsce, że w ostatnich latach inwestujemy we współpracę regionalną, bo to wzmacnia siłę naszą i naszych sąsiadów w relacjach z Berlinem, Paryżem, Brukselą czy Waszyngtonem.

Kolorindra z Madagaskaru, gdy słyszy, że byłem w dwudziestu paru krajach jako oficjalny obserwator wyborów z ramienia PE, pyta, po co wysyłamy takie misje i co one tam robią? Mówię, że Europa nie powinna na innych kontynentach występować w roli nauczyciela ani też sędziego czy prokuratora. I dodaję, że mój kraj to rozumie, bo nigdy nie mieliśmy kolonii, podobnie jak nasi sąsiedzi z nowej Unii czy Skandynawii – ale czy rozumie to Europa Zachodnia?

Natia z Gruzji dopytuje o to, jak postrzega się jej kraj w Europie, i widać, że nie przepada za Rosjanami. Ale Alena z Białorusi wręcz przeciwnie – co widać, gdy pyta, dlaczego Putina nie zaproszono na obchody wyzwolenia niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz. Szkoda, bo to nasza najbliższa sąsiadka – z Brześcia.

Jeszcze Heba Al-Hayah z Jordanii pyta o priorytety Unii. Gdy mówię o budżecie na lata 2021–2027 kiwa głową ze zrozumieniem.

„Miej proporcje, mocium panie". Dziennikarze z trzech kontynentów nie pytali mnie o Izbę Dyscyplinarną SN, Puszczę Białowieską czy Trybunał Konstytucyjny. Na Polskę patrzą jak na jeden z pięciu największych krajów Unii.

Tylko Białorusinki mi szkoda... //

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 8c095ff059



15 grudnia 2019 r. w Radomiu odbyły się uroczystości z okazji 120. rocznicy urodzin Teresy Grodzińskiej. Na zdjęciu msza święta w kościele garnizonowym

To dzięki takim osobom jak Teresa Grodzińska i ich bezprzykładnemu poświęceniu możliwe było wskrzeszenie po latach zaborów niepodległej II Rzeczypospolitej

Zapomniana bohaterka wojny z bolszewikami



Marcin K. Schirmer

Teresa Grodzińska byłą jedną z licznych ofiar krwawej wojny polsko-bolszewickiej w 1920 r. Zgłosiła się do wojska na ochotnika, aby służyć jako sanitariuszka. Została po barbarzyńsku zamordowana. Jej bohaterska postawa stała się w okresie międzywojennym symbolem poświęcenia dla ojczyzny i wzorem dla rówieśników, porównywalną nawet z Orlętami Lwowskimi.

Po II wojnie światowej postać Teresy Grodzińskiej z przyczyn ideologicznych wymazano z przestrzeni publicznej. Dopiero teraz, w wolnej Polsce, w stulecie wojny, możemy w pełni docenić zaangażowanie i daninę młodego życia, jakie złożyła w ofierze niepodległości.

Dziewczyna z dworu

Teresa Grodzińska (1899–1920) urodziła się w majątku Jaszowice położonym k. Radomia. Wychowywana była w duchu patriotyzmu i konieczności pracy na rzecz innych. Jej matka, Bronisława z Arkuszewskich, była znaną działaczką społeczną. Założyła Radomskie Koło Ziemianek, pod patronatem którego organizowano kursy rzemieślnicze dla młodzieży. W swoim dworze prowadziła polską szkołę dla okolicznych dzieci. Uczyły w niej siostry Teresy. Ojciec, Feliks, był sędzią pokoju i wieloletnim radcą w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Takie wychowanie oraz wzorce, jakie wyniosła z domu rodzinnego, miały istotny wpływ na jej dalsze życie. Już podczas nauki w gimnazjum wykazywała się aktywnością społeczną, podejmując wiele inicjatyw. Działała w tajnej Organizacji Młodzieży Narodowej, uzyskała także pozwolenie władz na założenie w gimnazjum drużyny harcerskiej oraz powołanie samorządu szkolnego. Wzorem wielu dziewcząt z ziemiańskich rodzin miała studiować ogrodnictwo. Tak też się stało

FOT. SŁAWOMIR KASPER/IPN

eprasa.pl 8c095ff059

i w 1920 r. rozpoczęła naukę w Warszawskiej Szkole Ogrodniczej. Jednak wybuch wojny polsko-bolszewickiej radykalnie zmienił jej życie. Wobec zagrożenia bytu dopiero co wskrzeszonego niepodległego państwa polskiego nastąpiła masowa mobilizacja społeczeństwa gotowego stanąć do walki. Teresa nie pozostała bierna. Zapisała się na kurs dla sanitariuszek, po ukończeniu którego opiekowała się rannymi żołnierzami w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie. Jednak w połowie 1920 r. sytuacja na froncie stawała się krytyczna. Zagony bolszewickie w szybkim tempie maszerowały na zachód, wypierając polskie oddziały. W lipcu 1920 r. zaczęły zbliżać się do Warszawy. W tej sytuacji Grodzińska zgłosiła się ochotniczo do wojska i została skierowana na front.

Na froncie

Wraz ze swoją kuzynką Janiną Zdziarską dostała przydział do 2 batalionu 4 Pułku Piechoty Legionów Polskich. Jej jednostka walczyła w okolicach Hrubieszowa, stawiając zacięty opór nacierającej słynnej Armii Konnej, dowodzonej przez Siemiona Budionnego. Konarmia słynęła z niebywałego okrucieństwa jej sołdatów zarówno wobec walczących przeciwko niej żołnierzom, jak i ludności cywilnej. Wchodzący w jej skład kozacy mordowali nie tylko jeńców, ale także wszystkich, którzy stanęli im na drodze: starców i dzieci oraz rannych. Walki pod Hrubieszowem miały bardzo zacięty i krwawy przebieg, bo ich celem było zatrzymanie pochodu Konarmii. Brała w nich udział także Teresa, która z ofiarnością pełniła swoją służbę, opatrując rannych i odsyłając ich poza linię frontu. 22 sierpnia, mimo że była dziewczyną bardzo drobną i szczupłą, na własnych plecach przenosiła kontuzjowanych i krwawiących z ran żołnierzy przez płonący most na rzece Huczwie. Nie ustawała pomimo silnego ostrzału artyleryjskiego nieprzyjaciela, ratując życie wielu rannym. Jej odwaga i poświęcenie stały się później podstawą wniosku o nadanie orderu Virtuti Militari.

Niestety wobec przeważających sił wroga oddziały polskie musiały się wkrótce wycofać. We wsi Stepankowice Teresa została zaskoczona nagłym atakiem kozaków i schwytana do niewoli. Tym samym jej los był przesądzony. Ostatnie chwile naszej bohaterki znamy z relacji naocznych świadków. Po zamknięciu w stodole w pobliskich Czortowicach broniła własnej czci i honoru przed bolszewikami „(...) modląc się głośno, broniła się siekierą przez kilka godzin, kładąc trupem dwóch bolszewików, aż w końcu sama padła w nierównej walce. Rozwścieczeni Kozacy rozsiekali ją szablami". Jej zmasakrowane ciało pochowali na miejscu chłopi. Wkrótce oddziały polskie odbiły miejscowość i doszło do ekshumacji zwłok dziewczyny. Została pochowana z honorami na cmentarzu w Chełmie, a na grobie umieszczono napis „Cześć Ci, Męczennico". 18 września 1920 r. rodzina dokonała powtórnej ekshumacji i szczątki Teresy spoczęły w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Radomiu. Pochowano ją z pełnymi honorami, a pogrzeb miał wojskowy przebieg. Udekorowana trumna wieziona była na lawecie armatniej w asyście kompanii honorowej i orkiestry wojskowej. Pogrzeb stał się wielką manifestacją patriotyczną, w której masowo uczestniczyli mieszkańcy. Za trumną szli także uratowani przez Teresę żołnierze. Jeden z nich wspominał: „Cofając się, zmuszeni byliśmy przekroczyć most prażony ogniem nieprzyjacielskim. Zostałem trafiony, upadłem. Zauważyła to jedna sanitariuszka. Niepomna własnego bezpieczeństwa wróciła się, pomogła mi wstać i pod gradem kul przeprowadziła mnie do punktu sanitarnego. To ona była moją wybawicielką".

> **„Widzę czuby kozackie spocone, rozwiane, jak pochylają się z koni i każą jej zdejmować butki"**

W uznaniu zasług i męstwa na placu boju Teresa Grodzińska została pośmiertnie odznaczona Krzyżem Virtuti Militari V klasy oraz Krzyżem Walecznych. Była jedną z pierwszych i w ogóle jedną z niewielu kobiet udekorowanych tym wysokim odznaczeniem. Jej dzielna postawa i tragiczna śmierć stały się symbolami poświęcenia dla ojczyzny i były kultywowane przez władze II RP. Tabliczkę poświęconą jej pamięci umieszczono w murze zamku na Wawelu. Nazwano także jej imieniem w 1926 r. jedną z sal Szpitala Ujazdowskiego, w którym uczyła się zawodu sanitariuszki. O bohaterskiej postawie Grodzińskiej tak pisał na łamach prasy sam Melchior Wańkowicz „...Z koperty podłużnej wysuwa się fotografia dziewczęca z siekanką z koralików na szyi, z lilijką skautowską. Patrzę na drobne ręce, które pielęgnowały postrzeloną przez brata jaskółkę i które chwyciły za toporzysko w tę samotną noc. Patrzę na zabawny, pensjonarski koczek tej jeszcze dziewczynki niemal, tak utrudzonej, że biec nie mogła do lasu i czuję, zda się szybkie bicie serca pod tym lnem przy stodole. Widzę czuby kozackie spocone, rozwiane, jak pochylają się z koni i każą jej zdejmować butki".

Współcześnie

Po II wojnie światowej władze komunistyczne starały się wymazać z pamięci postać Teresy Grodzińskiej. To były czasy, kiedy tępiono wszelkie przejawy patriotyzmu. To, że pochodziła z ziemiańskiej rodziny, oraz jej uczestnictwo w wojnie z bolszewikami były dla nich nie do przyjęcia. Usunięto nawet pamiątkowe tablice jej poświęcone. Dopiero w wolnej Polsce możliwe było przywracanie pamięci bohaterom tamtych dni i uczczenie tej niezwykłej dziewczyny. W 2007 r. odsłonięta została pamiątkowa tablice w gmachu szkoły średniej w Radomiu, do której uczęszczała. Nazwano także jej imieniem jedną z ulic miejskich. W nakręconym w 1999 r. filmie „Wrota Europy", opartym na opowiadaniu M. Wańkowicza, przedstawione zostały okoliczności jej ostatnich dni na froncie.

Z okazji 120. rocznicy urodzin T. Grodzińskiej, która przypadała 20 grudnia, w 2019 r. odbyły się w Radomiu uroczystości upamiętniające dzielną sanitariuszkę i jej męczeńską śmierć. Miały one uroczystą oprawę i patronował im prezydent RP Andrzej Duda. Podczas przemówienia prezes IPN Jarosław Szarek określił ją mianem „Inki 1920 r." oraz podkreślił wpływ na jej bohaterską postawę patriotycznych tradycji kultywowanych w rodzinie. Premier Mateusz Morawiecki napisał w liście, że „Trudno o piękniejszy przykład zaangażowania, determinacji i moralnej siły". W ten sposób wolna Polska nie tylko oddała hołd naszej bohaterce, ale także przywrócono jej imię do panteonu osób poległych za ojczyznę. //

eprasa.pl 8c095ff059



Feliksa Stamma życiorys mniej znany

Feliksa Stamma (1901–1976) kibicom sportu w Polsce przedstawiać nie trzeba. Jednak jego życiorys nie jest do końca znany. Ciekawe informacje o nim przynoszą dokumenty bezpieki – zarówno tej cywilnej, jak i wojskowej

FOT. PAP/ZBIGNIEW MATUSZEWSKI



Grzegorz Majchrzak

Feliks Stamm to legendarny wieloletni trener polskich pięściarzy. To on był autorem ich największych sukcesów, włącznie z „laniem ruskich" podczas pamiętnych mistrzostw Europy w boksie w 1953 r. w Warszawie. To on był również twórcą „polskiej szkoły boksu" i to pod jego opieką polscy bokserzy odnosili największe sukcesy podczas igrzysk olimpijskich. Nic zatem dziwnego, że stał się postacią legendarną, czego wyrazem jest m.in. jego pomnik odsłonięty w ub.r. w stolicy czy nazwanie jego imieniem Muzeum Boksu w Warszawie. Nie dziwi zatem, że powstało wiele biografii i artykułów na jego temat. Zawsze jednak można znaleźć nowe informacje. Te przynoszą np. archiwa bezpieki.

Z pewnością do mniej znanych faktów z jego życiorysu należy m.in. „służba" w Wojewódzkiej Komendzie Milicji Obywatelskiej w Poznaniu, od marca do września 1945 r. Formalnie był tam zatrudniony jako referent sportowy, faktycznie jednak trenował pięściarzy poznańskiej Warty – przedwojennego klubu bokserskiego, założonego w 1924 r., a w 1945 r. wcielonego do pionu gwardyjskiego. Nie to jednak w nich wydaje się najciekawsze. Niezwykle interesujące są oceny jego osoby pisane ręką funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. I tak we wrześniu 1950 r., kiedy starał się o paszport, zastępca szefa Pomorskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa pisał o nim m.in.: „Wymieniony od młodych lat zajmował się sportem i już w roku 1933 [miał wtedy 32 lata – przyp. GM] został wysłany przez rządy sanacyjne do Ameryki na przeszkolenie bokserskie. Po powrocie i zdobyciu techniki był trenerem boksu w Bydgoszczy, skąd bardzo często wyjeżdżał zagranicę na mecze bokserskie". I dodawał: „Do rządów sanacyjnych ustosunkowany był pozytywnie, lecz w życiu politycznym żadnego udziału nie brał, zajmował się wyłącznie sportem, inne sprawy natomiast go nie interesowały".

Wyłania się z tego obraz człowieka, dla którego boks był pasją. Potwierdza to również wcześniejsza opinia zastępcy szefa Pomorskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa z sierpnia 1949 r. „Opinię wyżej wymieniony w miejscu zamieszkania posiada dobrą. W życiu społeczno-politycznym udziału nie bierze, pomimo że jest dobrze uświadomiony politycznie. Do obecnej rzeczywistości jest pozytywnie ustosunkowany". Notabene rok później, podtrzymując opinię o pozytywnym stosunku do powojennej rzeczywistości Stamma, ubek stwierdzał zarazem: „Pogląd polityczny wymienionego jest nieskrystalizowany"...

W aktach personalnych żołnierza – Feliks Stamm był w stopniu chorążego – można odnaleźć m.in. napisany przez niego własnoręcznie życiorys. Zaczyna się on od słów: „Urodziłem się dnia 14 grudnia 1901 r. w Kościanie woj. poznańskie, jako syn murarza Augustyna i matki Antoniny, z domu Żak". Słynny trener pisał tam też o swojej pierwszej pracy: „Po ukończeniu szkoły pracowałem w szkole jako robotnik, a w sezonie zimowym w cukrowni w Kościanie jako robotnik". Wspominał również o swoich wojennych losach: „W 1939 r. brałem udział w obronie Warszawy, wzięty do niewoli po 7 dniach uciekłem z punktu zbornego w Błoniach", a dalej: „Od roku 1941 do [19]43 pracowałem jako pomocnik ogrodnika w ogrodnictwie Warszawa – Bielany. Od 1943 r. do [19]44 r. w firmie budowlanej »Körner« na Bielanach jako pomoc biurowa. W czasie powstania 1944 r. przeniosłem się do Łowicza, gdzie pracowałem w »Rolniku« jako robotnik. Po oswobodzeniu przeniosłem się do Poznania". Pominął natomiast – co nikogo nie powinno dziwić – swoją aktywność dwie dekady wcześniej w wojnie z bolszewikami, kiedy jako żołnierz 16. Pułku Ułanów brał udział m.in. w walkach pod Baranowiczami. //

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

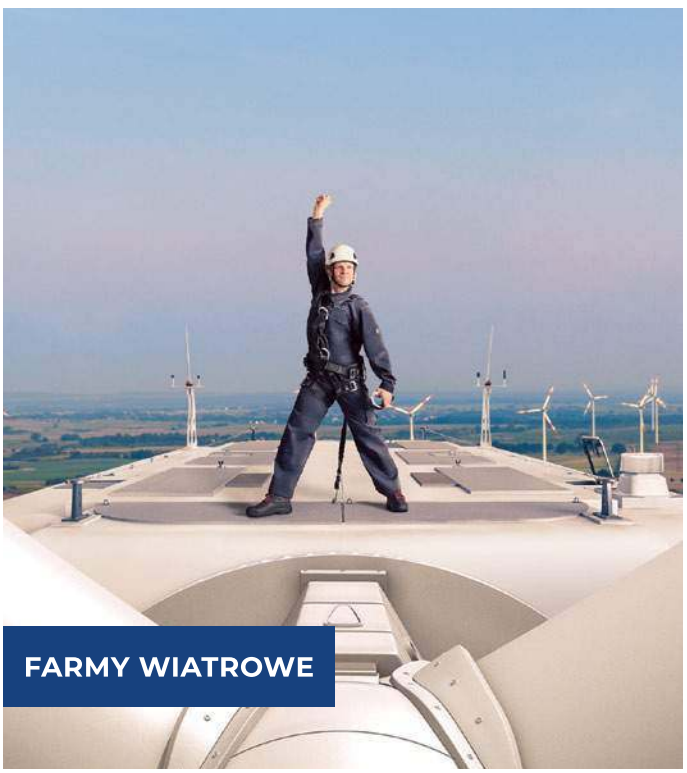
Reklama | 21/0220/F

eprasa.pl 8c095ff059

MAMY ENERGIĘ DO ZMIAN

www.zapewniamyenergie.pl

PGE
Polska Grupa Energetyczna









eprasa.pl 8c095ff059



K jak krwawy Maciek

Hanna Karp

Od kiedy siły postkomunistyczne przestały kreować politykę informacyjną w polskiej telewizji publicznej (a to już są dobre cztery lata), słyszymy, że telewizja ta jest telewizją PiS, PRL-bis, telewizją reżimową, rządową, a jej dziennikarze to funkcjonariusze rodem ze stanu wojennego itp., itd. Wcale mnie te zawodzenia nie przerażają. Mam za dobrą pamięć i wiem, jak było w stanie wojennym, w czasach Gierka i Jaruzelskiego, pamiętam też skrajnie rażącą nieobecność opozycji w telewizji publicznej, gdy rządzili nią ludzie PO-PSL z nadania premiera Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Za to dziwi mnie, gdy pamięć tracą zacni dziennikarze, których pracę bardzo szanuję. W jednym z niedawnych numerów „Sieci" (dokładniej siódmym) redaktor Witold Gadowski, pisząc o telewizji pod rządami Jacka Kurskiego, przywołał w swoim felietonie Macieja Szczepańskiego. Wspominał m.in. o tym, jak „krwawy Maciek" w czasach rządów Edwarda Gierka zaszczuwał w telewizji niewygodnych ludzi i promował uległe wobec rządzącej partii kreatury. Publicysta na koniec skonstatował, że gdyby chcieć rzeczywiście zreformować telewizję publiczną, „należałoby wpuścić tam do rządzenia dziennikarzy". Rozumiem, że chodziłoby o to, żeby to oni zaczęli budować media publiczne, bez, jak czytamy, „odruchów serwilistycznych".

Otóż nie, nie zgadzam się. Pewien polski reżyser, chodzi o Kazimierza Dejmka, bardzo dosadnie definiował misję zawodu aktora. Uważam podobnie, gdybym miała krótko opisać pracę dziennikarza. Nie ma potrzeby powtarzać Dejmkowych rymów dosłownie. Ale wiemy, o co chodzi. Otóż, tak. Dziennikarz jest od pisania i zbierania informacji. I wolałabym, żeby tak zostało.

GIEREK I ULICA WORONICZA

A skoro już wywołano Macieja Szczepańskiego, warto przypomnieć tę postać, by uniknąć błędu łatwych analogii PRL z czasem obecnym. Bo naprawdę nie ma powodu, byśmy dali się sugerować politykom niedawnej partii władzy, a teraz totalnej opozycji, czy kłamstwom towarzystwa dziennikarskiego. Ludziom, którzy całe lata udowadniali to, jak wielkimi ludźmi honoru byli Kiszczak, Jaruzelski i ich urbanowi kompani, a teraz chcą uchodzić za autorytety moralne nauki zawodu dziennikarskiego i dziennikarskiej rzetelności.

Edward Gierek i jego propagandowy sztab od początku wykorzystywali siłę medialnego obrazu, kreując pierwszego sekretarza na medialną gwiazdę. Nie przypadkiem już w pierwszym roku rządzenia Gierek złożył wizytę w gmachu TVP przy ul. Woronicza. Oglądał kamery i studyjny sprzęt, wysłuchał wskazówek o tym, jak prezentować się w studiu przed kamerą. Pierwszemu sekretarzowi KC PZPR od początku towarzyszyły widowiskowe – jakby przewidujące wielomilionową widownię telewizyjną – gesty. Od chwili, gdy obejmując 20 grudnia 1971 r. najwyższy urząd PRL, wygłosił telewizyjne przemówienie, w którym w sposób spektakularny odwołał podwyżkę cen, zapowiedział wypuszczenie z więzień protestujących robotników i powrót do koszar wojska i milicji.

Maciej Szczepański osadzony w październiku 1972 r. na fotelu przewodniczącego Komitetu ds. Radia i Telewizji od początku podjął się roli głównego kreatora medialnej linii „propagandy sukcesu". Sam zresztą wymyślił ten termin. Odpowiadał za pracę całej telewizji i radia oraz ich politykę personalną. Był niezwykle wymagający, a nawet często w stosunku do podległego personelu

eprasa.pl 8c095ff059

bezwzględny i brutalny. Cynicznie rozgrywał jednych przeciwko drugim, łamał do końca i tak już słabe kręgosłupy. Przez to nazywany w środowisku „krwawym Maćkiem".

Urodził się w 1928 r. w Sosnowcu. Członek PZPR, w latach 1966–1972 pełnił funkcję redaktora naczelnego „Trybuny Robotniczej". Edwarda Gierka poznał jeszcze w latach 50. i wspierał go aktywnie na froncie ideologicznym. „Gierka poznałem w drugiej połowie lat 50., kiedy pracowałem w Katowicach w rozgłośni Polskiego Radia, a Edward Gierek z Komitetu Centralnego PZPR przyszedł na stanowisko pierwszego sekretarza Komitetu Wojewódzkiego w Katowicach" – wspominał w 2015 r. na łamach „Rzeczpospolitej" w wywiadzie „Moja telewizja zjadłaby te wszystkie polsaty, TVN-y".

6 września 1980 r. został pozbawiony funkcji I sekretarza PZPR, a kilka dni później przestał być szefem Radiokomitetu. Raporty NIK – kierowanej przez Mieczysława Moczara (rywalizującego wcześniej z Edwardem Gierkiem o najwyższą władzę w PRL) – były bezwzględne. Dokumentacja trafiła ostatecznie do Komisji Kontroli Partyjnej i do prokuratury. Za przyjęcie w latach 70. łapówek w wysokości 1,5 mln zł oraz zabór mienia Radiokomitetu na sumę ok. 3,5 mln zł w roku 1981 został postawiony przed sądem i, po dwuletnim procesie, skazany na osiem lat więzienia. Zwolniony w 1987 r., po czterech latach, w wyniku złego stanu zdrowia. Zmarł w grudniu 2015 r.

SŁUŻYĆ, WSPIERAĆ, WZMACNIAĆ PARTIĘ

Szczepański wcielał propagandę sukcesu, która miała być, jak po latach tłumaczył Teresie Torańskiej, na wzór amerykański odreagowaniem „na marazm i niemożność okresu gomułkowskiego". Jednak, od kiedy objął swoje stanowisko, realizował wyłącznie szczegółowe wskazania partii, opracowując je pod roboczym tytułem „Główne zadania radia i telewizji". Funkcje telewizji zdefiniował w pięciu podstawowych punktach: „1. Najpełniejsze oświetlanie procesów budownictwa socjalistycznego, przede wszystkim z ZSRR i państwach socjalistycznych; 2. Zwiększenie ilości informacji oraz programów publicystycznych i artystycznych, obrazujących dzień dzisiejszy i perspektywy rozwoju krajów wspólnoty socjalistycznej; 3. Upowszechnienie w społeczeństwie wiedzy o osiągnięciach systemu socjalistycznego, przekonanie o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem; 4. Doskonalenie swej funkcji ideowo-wychowawczej i politycznej oraz wdrożenie oddziaływania ideologicznego na polskich radiosłuchaczy i telewidzów; 5. Przybliżanie tradycji patriotycznych oraz nawiązywanie do tradycji dobrej roboty".

Prezes nie miał trudności z utożsamianiem się z linią partii – sam powiadał, że „program partii był programem telewizji". Od połowy lat 70., po VII Zjeździe PZPR, sformułował swoją słynną metodę budowania telewizyjnej propagandy w „sposób spiralny". Polegało to na „sprzężeniu działalności informacyjnej z działalnością publicystyczną". Oznaczało w planie praktycznym, że każdej wiadomości towarzyszył komentarz objaśniający znaczenie podanej informacji. Zasada ta ignorowała reguły oddzielania informacji od komentarza, czyli nakazywała dokładne zaprzeczenie stosowanych w wolnym świecie rudymentarnych zasad dziennikarstwa. Jednak w PRL te nigdy nie zaistniały, więc nie było nawet komu ze „szkołą Szczepańskiego" polemizować.

Szczepański rozumiał, że telewizja, jeśli ma duży zasięg, może być bardzo skutecznym instrumentem sprawowania władzy. „Ja jestem zawodowym propagandystą, nigdy tego nie ukrywałem. Ja wiem, jak się robi propagandę" – mówił w rozmowie z Teresą Torańską, gdy tłumaczył znaczenie produkcji coraz sprawniej realizowanych kolejnych telewizyjnych seriali. Do podręczników historii komunistycznej propagandy weszło jego hasło, opisujące pracę gierkowskich aktywistów telewizyjnych: „Codziennie wbijamy milion gwoździ w milion desek". Jako prezes telewizji odpowiedzialny m.in. za transmisje z pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny zasłynął instruktażowym zawołaniem: „Kamera na klechę!". Chodziło o to, by kamerzyści operowali wyłącznie wąskim kadrem i zbliżeniami na Ojca Świętego, tak by uniknąć przedstawiania zgromadzonych tłumów.

PREZES ODCHODZI – SYSTEM ZOSTAJE

Szczepański, kierując telewizją przez dziewięć lat, budował system informacyjny mający wspierać, służyć i umacniać panujący aparat partii i socjalistycznej władzy. Utracił stanowisko we wrześniu 1980 r., 15 października 1980 r. został aresztowany, zaś 5 stycznia 1982 r. rozpoczął się jego proces sądowy. Początek końca zwiastował Maciejowi Szczepańskiemu rok 1980, solidarnościowy zryw i fala strajków, nazywanych w telewizji, gdy jeszcze nią kierował, „przerwami w pracy". Oceniał, że został potraktowany jako część wynaturzeń socjalizmu, które muszą odejść w niepamięć i które mogą być zatrzymane jedynie siłą, oraz wprowadzonym 13 grudnia 1980 r. przy pomocy wojska, stanem wojennym.

Z jego odejściem nie zmieniła się propagandowa funkcja telewizji. Media i dziennikarze w dalszym ciągu odgrywali role, do których byli w PRL długo i dokładnie przygotowywani. Ich zadania, ściśle od początku powojennych zmian ustrojowych, wiązały się z przewodnią rolą PPR, a potem PZPR. Telewizja lat 70. i 80. ubiegłego wieku stała się najważniejszym medium dla partyjnych funkcjonariuszy, posługujących się nim jako narzędziem i instrumentem socjotechnicznym, umożliwiającym wpływ nie tylko na masowego widza, lecz także twórców i dziennikarzy. Komunistyczny system wciąż szkolił nowe kadry dziennikarskie oraz medialnych funkcjonariuszy do nowych zadań, zależnie od potrzeb i etapu rozwoju ustroju.

Dziś telewizja publiczna ma własne problemy. Ale nie dotyczą one wcielania interesów czy programu PZPR. Tak jak rząd premiera Mateusza Morawieckiego nie służy procesom budownictwa socjalizmu i przyjaźni z Krajem Rad, a prezes TVP Jacek Kurski nie realizuje wytycznych sojuszu z ZSRR i jego socjalistycznym Ostblokiem. Ten, kto tego faktu jeszcze nie zauważył, zasługuje na poważną terapię.

Autorka jest medioznawcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl 8c095ff059



Zdarzenia, jakie ostatnimi dniami mają miejsce w Erfurcie, unaoczniają dramat, a zarazem osobliwość niemieckiej polityki

Liberał, a jednak faszysta



JAN ROKITA

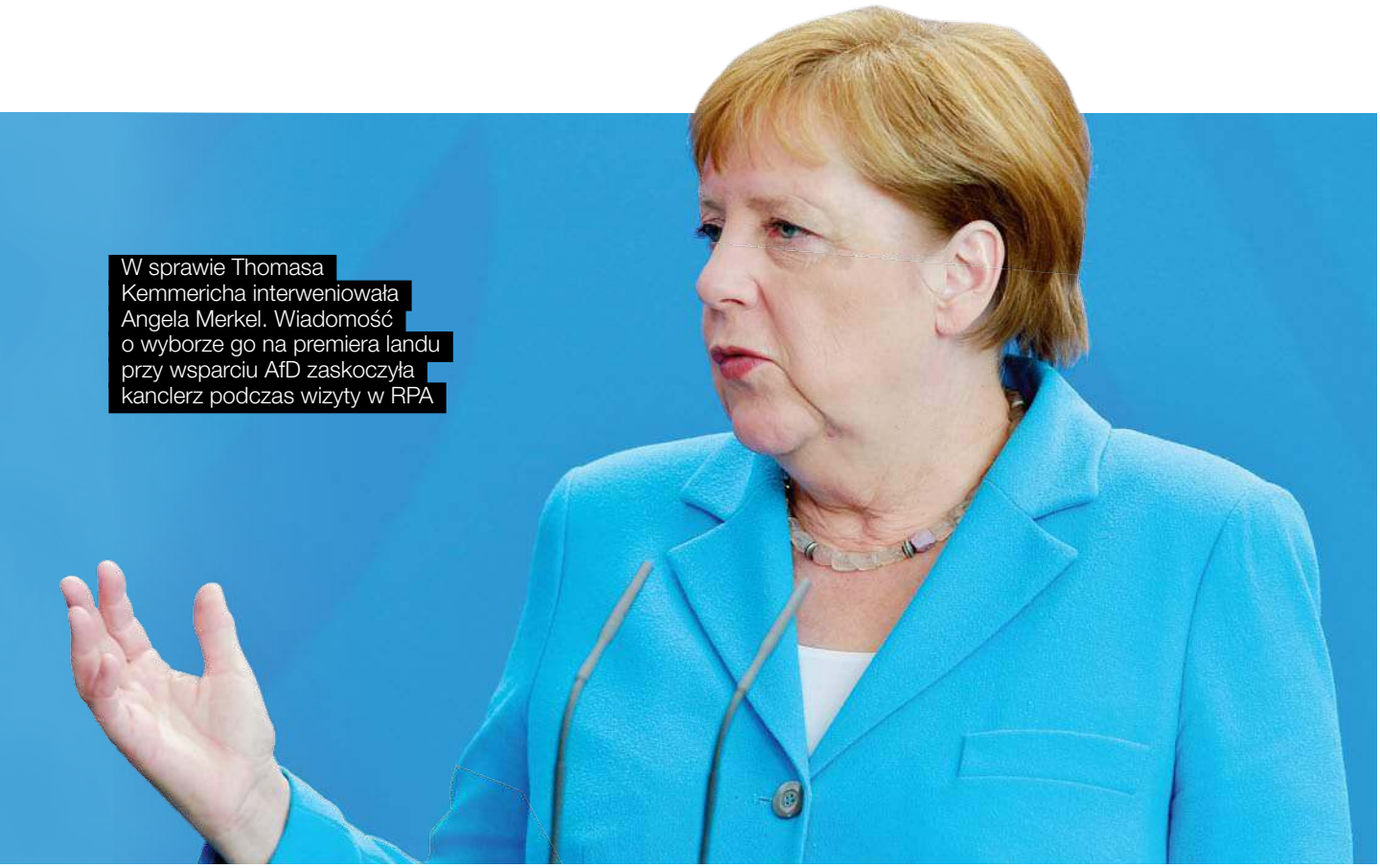
Berlińskie centrale chadeków (CDU), socjalistów (SPD) i liberałów (FDP) zmusiły wybranego w ubiegłą środę premiera Turyngii do ogłoszenia już w czwartek zamiaru swojej dymisji, gdyż w głosowaniu w turyńskim landtagu jego kandydaturę wsparła Alternatywa dla Niemiec (AfD).

KOALICJA OBURZONYCH

Nazwisko nieszczęsnego premiera – 55-letniego Thomasa Kemmericha, przekonanego liberała, biznesmena i działacza FDP, z dnia na dzień stało się w Niemczech symbolem powrotu do faszyzmu, a około tysiącosobowa grupa manifestantów pod berlińską siedzibą liberałów wykrzykiwała: „Nazi! Nazi!". Upokorzony Kemmerich nie potrafił niestety zachować twarzy. I o ile w środę wymienił grzecznościowy uścisk dłoni z lokalnym baronem AfD Björnem Höckem oraz przyjmował gratulacje, o tyle w czwartek oświadczył, iż: „AfD, stosując perfidną sztuczkę, próbowała zaszkodzić demokracji". Nawiasem mówiąc, ci politycy rządzącej chadecji (która w Erfurcie głosowała za nowym premierem razem z liberałami i AfD), którzy w środę zdecydowali się pogratulować wyboru Kemmerichowi, właśnie odbierają od kanclerz Merkel dymisje z rządowych posad. Tak jak np. świetnie dotąd się zapowiadający rzecznik chadecji ds. landów wschodnich, a zarazem sekretarz stanu w resorcie gospodarki i energii Christian Hirte. Ale jak dotąd głównym kozłem ofiarnym jest Annegret Karrenbauer, która z powodu niedopilnowania porządku w partii utraci zarówno szefostwo CDU, jak i szanse na ubieganie się po Merkel o urząd kanclerza. Samego zaś Kemmericha lokalny turyński establishment skłonił jednak do tego, by tymczasowo pozostał na urzędzie premiera, do czasu znalezienia jakiegoś konstytucyjnego rozwiązania sytuacji, nad czym parlament Turyngii ma obradować na specjalnym posiedzeniu 18 lutego. Tyle tylko, że jego partia wymusiła na nim, aby z góry zrzekł się solidnego w Niemczech premierowskiego uposażenia.

Ta „koalicja oburzonych" na wybór szefa regionalnego rządu z pomocą głosów AfD jest dość egzotyczna, zwłaszcza jeśli popatrzeć na nią z perspektywy interesów partyjnych. Nie dziwi w niej aktywność socjaldemokratów, których

eprasa.pl 8c095ff059



W sprawie Thomasa Kemmericha interweniowała Angela Merkel. Wiadomość o wyborze go na premiera landu przy wsparciu AfD zaskoczyła kanclerz podczas wizyty w RPA

Fot. MARTIN SCHUTT/East News , photocosmos1 / Shutterstock.com

sekretarz generalny Lars Klingbeil tak bardzo pragnął udramatyzować sytuację, iż ogłosił zdarzenia erfurckie „punktem krytycznym powojennej historii Niemiec". W 2014 r. SPD oddała premierostwo Turyngii działaczowi postkomunistycznej Die Linke – Bodo Ramelowowi, tylko po to by pozbawić władzy zwycięską jeszcze wtedy chadecję. Teraz, gdy w październikowych wyborach 2019 r. postkomuniści zepchnęli CDU z tradycyjnego pierwszego miejsca, nieoczekiwany wybór Kemmericha spadł na socjaldemokratów jak grom z jasnego nieba, gdyż spodziewali się, iż zwycięski Ramelow tym bardziej stanie ponownie na czele rządu i lewicowej koalicji Die Linke-SPD – Zieloni. SPD jest więc wstrząśnięta tym, że centroprawica ośmieliła się w ogóle podjąć próbę pozbawienia lewicowej koalicji władzy, wykorzystując dość zwyczajną sytuację parlamentarną, w której zwycięska partia ma wprawdzie pierwsze miejsce w wyborach, jednak jej przeciwnicy dysponują parlamentarną przewagą. Głosując razem, to oni zatem mogą właśnie powołać rząd. A jako że na szczeblu federalnym w Berlinie socjaldemokraci współrządzą z chadecją, więc teraz wszelkimi siłami naciskają na to, by centroprawicowa większość w Erfurcie zrzekła się władzy i oddała ją lewicy. Taką kalkulację można z łatwością pojąć.

W beznadziejnej sytuacji znaleźli się liberałowie. Premierostwo dostało się im w pewnym sensie fuksem, co najpierw przyjęli z entuzjazmem, a wiceszef partii Wolfgang Kubicki ogłosił „wielki sukces kandydata demokratycznego centrum". To było w środę. Jednak już tego samego dnia wieczorem szefostwo zorientowało się, jaką lawinę uruchomiła ich partia i wpadło w popłoch. Lider FDP Christian Lindner udał się niezwłocznie do Erfurtu, gdzie wyperswadował swojemu partyjnemu koledze premierostwo i skłonił go do wygłoszenia czwartkowego oświadczenia o zamierzonej dymisji i rezygnacji z pensji. Prawdę mówiąc, w obliczu lawinowego rozwoju zdarzeń liberałowie, słabi w Bundestagu, a jeszcze słabsi w landtagu turyńskim, nie bardzo mieli inne wyjście. O ich sytuacji przesądziła bowiem radykalna reakcja kluczowego uczestnika zdarzeń, czyli CDU. Ton nadała natychmiast sama kanclerz Merkel, którą zdarzenia w Erfurcie dopadły podczas wizyty w południowej Afryce. Kanclerz oznajmiła, że „środa była złym dniem dla niemieckiej demokracji", a „sytuacja musi zostać odwrócona". To, co dalej działo się w CDU, było już tylko skutkiem tego radykalnego komunikatu Merkel nadanego z Afryki.

TRAUMA Z PRZESZŁOŚCI

I właśnie pozycja CDU w tym konflikcie jest szczególnie interesująca. Kemmerich naiwnie wyobrażał sobie, że zostając premierem, przywróci de facto władzę chadecji w Turyngii, tak jak to było przed rokiem 2014. I być może nawet zrobi w ten sposób krok w stronę przyszłych rządów chadecko-liberalnych na poziomie federalnym, o wiele bardziej spójnych niż obecna, rozłażąca się nieustanie w szwach, „wielka koalicja" pod wodzą Merkel. Nie zamierzał zapraszać AfD do rządu, ale chciał zrobić mniejszościowy rząd centrowo-prawicowy który (rzecz jasna) byłby jednak do pewnego przynajmniej stopnia zależny od politycznej woli AfD. Tymczasem

eprasa.pl 8c095ff059

Merkel, odmawiając wszelkiej, nawet tylko parlamentarnej współpracy z AfD, nie chce tym samym, aby jej partia powróciła do władzy w Turyngii. I co najciekawsze – woli, aby władzę w Erfurcie wzięli postkomuniści z ich turyńskim liderem Ramelowem, o którym wiadomo, że przez lata był pod obserwacją Urzędu Ochrony Konstytucji z powodu współpracy z uważaną za antypaństwową partią komunistyczną DKP.

A jakby to było jeszcze za mało paradoksów i osobliwości, z centrali CDU wyszło żądanie, aby rozwiązać turyński landtag i przeprowadzić nowe regionalne wybory. Zdaje się, że dopiero rozpaczliwy opór tamtejszej regionalnej struktury CDU i jej szefa Mike'a Mohringa przyniósł w szefostwie chadecji jakie takie otrzeźwienie. Mohring bowiem ostrzegł berlińską centralę, iż partyjne sondaże wskazują na załamanie popularności turyńskiej chadecji w rezultacie obecnego kryzysu i zdecydowany przyrost głosów postkomunistów. Forsując nadal nowe wybory, chadecja nie tylko zatem definitywnie utraciłaby pozycję w Turyngii, ale zapewne zapracowałaby także na pewną absolutną większość następnego lewicowego rządu turyńskiego pod wodzą popularnego Ramelowa.

Rzecz jasna całe to pasmo politycznych paradoksów byłoby groteskowe i niewytłumaczalne, gdyby nie głęboka trauma niemieckiej polityki, jaką pozostawiły nazizm i II wojna światowa. Pranie mózgów, które niemieckiej elicie zrobili po wojnie Amerykanie, owocuje do dziś dnia niemal histerycznym strachem przed odradzaniem się niemieckiej narodowej tożsamości, nie mówiąc już o trendach nacjonalistycznych. I choć widać wyraźnie, że powoli mija czas, w którym ów strach był właściwością całej demokratycznej niemieckiej polityki, to jednak Angela Merkel i jej polityczni wychowankowie należą mentalnie do tamtej powojennej epoki. Ten powojenny styl myślenia i uprawiania polityki uczynił z Niemiec państwo w istocie kosmopolityczne, w którym pierwszoplanową rolę odgrywają problemy globalne, a nie narodowe: zjednoczenie Europy, ekologia, prawa kobiet, postęp, wolny handel czy globalna ekonomia. Jednak Turyngia, co wyraźnie pokazały wybory 2019 r., to są już nowe Niemcy, obce kulturowo i mentalnie politykom takim jak Merkel.

Wybory wygrywają tam teraz postkomuniści, których turyński przywódca Bodo Ramelow jest uważany za lidera w takich istotnych dla Niemców kwestiach, jak szkolnictwo i świadczenia społeczne. I to właśnie były centralne problemy ubiegłorocznej kampanii Die Linke w Turyngii, kampanii, która partii po raz pierwszy przyniosła wyborcze zwycięstwo. Jakiegoś większego wrażenia nie robi tutaj to, że ta sama partia postuluje rozwiązanie NATO i nacjonalizację sporej części niemieckiej gospodarki. Ramelow praktycznie zmarginalizował w Turyngii starą niemiecką lewicę spod znaku SPD, sprowadzając ją do roli swojej przystawki z kilkuprocentowym społecznym poparciem.

> Szefostwo FPD wpadło w popłoch. Lider tej partii wyperswadował swojemu partyjnemu koledze premierostwo osiągnięte dzięki głosom AfD i skłonił go do wygłoszenia oświadczenia o zamierzonej dymisji

Z kolei naprzeciw Ramelowa, jako jego główny polityczny oponent, stoi dziś 47-letni Björn Höcke, przywódca radykalnej części AfD (zwanej Flügel, czyli skrzydło lub flanka), sam deklarujący się jako narodowy konserwatysta. Höcke ma jednoznaczne i nonkonformistyczne poglądy na takie sprawy, jak euro (jest za powrotem do marki), rodzina (prawa gejów uważa za zamach na „naturalny porządek płci"), a nawet na berliński monument Holokaustu (mówi, że żaden naród nie buduje w centrum stolicy „pomników wstydu"). Co prawda ani AfD, ani nawet radykalny jak na niemieckie standardy Höcke nie ma nic wspólnego z faszyzmem, to jednak podkreślany „narodowy" charakter ideologii Höckego wystarcza, aby w głowach ludzi takich jak Merkel wyzwolić upiorne skojarzenia z niemiecką przeszłością.

POLSKIE IMPLIKACJE

Z polskiej perspektywy ów wewnętrzny dramat i osobliwość niemieckiej polityki mają charakter dość ambiwalentny. Turyngia to w końcu nie są jakieś egzotyczne peryferie Niemiec, ale ich samo serce, zwłaszcza gdy idzie o niemiecką kulturę i tradycję. To ojczyzna Goethego. Schillera, Liszta i Nietzschego, a także sławnego niemieckiego Bauhausu w architekturze, stylu, w którym (nawiasem mówiąc) gustuje szef postkomunistów i były (a pewnie i przyszły) premier Ramelow. Ale Niemcy, jakie widzimy po ostatnich wyborach w Turyngii, to są Niemcy Polsce znacznie mniej przychylne niż Niemcy chadeckie, pod przywództwem Helmuta Kohla czy Angeli Merkel.

Tak długo zatem, jak w Berlinie dominuje narodowa niemiecka trauma, uniemożliwiająca w istocie prowadzenie normalnej demokratycznej polityki (co widzimy tak wyraźnie dzisiaj w turyńskim landtagu), możemy czuć się pewniej wobec wielkiego zachodniego sąsiada. Z drugiej jednak strony, ów nieustanny brak normalności niemieckiej polityki paraliżuje na przyszłość istnienie trwałej centroprawicowej większości rządzącej w Berlinie, wymuszając albo takie dziwolągi, jak obecna prująca się „wielka koalicja", albo też niechętne Polsce, tym razem bardziej z powodów kulturowych (religia) i geopolitycznych (Rosja) rządy lewicy. I to w przyszłości z możliwym udziałem politycznych spadkobierców Ulbrichta i Honeckera. Taka właśnie jest cena za kultywowanie dogmatu o bezwzględnym izolowaniu każdej niemieckiej partii, która ośmieli się uważać za „narodową".

eprasa.pl 8c095ff059



Amerykański samolot F-35

Sankcje działają

Wbrew oficjalnej narracji Kremla, który utrzymuje, że w gruncie rzeczy sankcje międzynarodowe są mu na rękę, bo zmuszają do większego wysiłku, co w ostatecznym rachunku wychodzi na korzyść rosyjskiej gospodarce, ostatnie wydarzenia mocno podważają ten obraz. Wiele wskazuje na to, że pokazowe napinanie muskułów ma znaczenie jedynie propagandowe



MAREK BUDZISZ

Po niedawnym ataku izraelskiego lotnictwa na instalacje irańskie w Syrii na konferencji prasowej w Moskwie wystąpił generał major Igor Konaszenkow, który najwyraźniej wzburzony poinformował opinię publiczną, że tylko cudem udało się uratować samolot pasażerski Airbus 320 ze 172 osobami na pokładzie. Nieomal został on zestrzelony przez syryjską obronę przeciwlotniczą starającą się odeprzeć atak izraelskich F-16. To zresztą, jak zauważył, stały element izraelskiej taktyki polegającej na przeprowadzaniu nalotów „pod osłoną" cywilnych rejsowych samolotów. Ich ewentualne zestrzelenie, trochę na podobieństwo tego, co stało się niedawno w Teheranie (choć tam nalotu nie było), stanowiłoby dodatkowy „bonus", bo dałoby możliwość oskarżenia władz Syrii o nieodpowiedzialność.

Wydaje się jednak, że rzecznik rosyjskiej armii swoim świętym oburzeniem na postępowanie izraelskiego lotnictwa starał się też odciągnąć uwagę mediów od wyników nalotu. A są one co najmniej zastanawiające. Jak informuje bowiem rosyjski dziennikarz Aleksandr Koc, specjalizujący się w kwestiach wojskowości, izraelskim myśliwcom, które nawet nie weszły w syryjską przestrzeń powietrzną, udało się odpalić osiem rakiet, z których cztery zostały strącone, ale cztery pozostałe zniszczyły będące na wyposażeniu syryjskiej armii nowoczesne rosyjskie systemy obrony przeciwlotniczej Pancer, baterie Buk oraz punkt dowodzenia S-125, chroniące przed atakami z powietrza syryjską stolicę. Miało to wywołać wściekłość i zaniepokojenie kierownictwa rosyjskiej armii, bo w niebudzący wątpliwości sposób potwierdziło, że wychwalane pod niebiosa przewagi rosyjskich systemów obrony przeciwlotniczej, skoro udało się je obezwładnić czterema rakietami, są „nieco przereklamowane". Niezadowolenie rosyjskich wojskowych jest, jak można przypuszczać, tym większe, że nie tylko z Syrii zaczynają napływać nieprzyjemne informacje.

SŁABE PUNKTY

Tego samego dnia, kiedy gen. Konaszenkow grzmiał na postępowanie izraelskich lotników, rada dyrektorów koncernu lotniczego Suchoj zmieniała prezesa firmy. Ta kadrowa rewolucja jest bezpośrednim skutkiem tego, co wydarzyło się kilkanaście dni wcześniej, w okolicach syberyjskiego miasta Komsomolsk nad Amurem. Rozbił się tam najnowszy rosyjski myśliwiec, piątego pokolenia Su-57. Co gorsza,

Fot. igorzynik/Shutterstock.com

eprasa.pl 8c095ff059

jak informują rosyjskie media, był on pierwszym z rodziny, który miał trafić na wyposażenie rosyjskiej armii w tym roku. Nie trafi, a jak argumentują rosyjscy specjaliści, przyszłość całego projektu jest zagrożona. Problem polega bowiem na tym, że mimo trwającego już niemal 20 lat programu budowy rosyjskiej odpowiedzi na F-35 i wydania na ten cel miliardów rubli, nadal nie udało się skonstruować w Rosji nowoczesnego silnika, który pozwalałby zakwalifikować rosyjski myśliwiec do grona maszyn piątej generacji. Jak powiedział BBC rosyjski ekspert wojskowy Wiktor Murachowski, na razie zamontowano w Su-57 starsze silniki z myśliwców poprzedniej generacji, które nie mają takich parametrów, jak się publicznie sądzi, nie pozostaje więc nic innego, jak cierpliwie czekać na wyprodukowanie ich nowej, docelowej wersji.

Wszystkie porównania parametrów technicznych F-35 i Su-57, którymi zapełniane są już od kilku lat łamy rosyjskiej prasy, mają w gruncie rzeczy teoretyczny charakter, bo amerykańskie myśliwce latają, a rosyjskie jeszcze nie i nie wiadomo, kiedy wejdą do seryjnej produkcji.

Osobnym problemem jest skala składanych przez siły zbrojne zamówień. Pierwotnie planowano wprowadzenie na wyposażenie armii 150 maszyn tego typu, później tę liczbę znacznie zredukowano, informując o zakupie do 2027 r. jedynie 16 Su-57. W maju ub.r. Władimir Putin, na fali informacji o nowych cudownych typach rosyjskiej broni, polecił zwiększyć zakupy do 76 sztuk, jednak pod warunkiem znacznej redukcji kosztów ich budowy. Teraz w rosyjskich kręgach wojskowych podnoszone są argumenty, że w gruncie rzeczy tak technicznie zaawansowana konstrukcja nie jest armii potrzebna, a poniesione nań nakłady można lepiej spożytkować na inne cele.

Silniki to niejedyny słaby punkt rosyjskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego. Innym jest uzależnienie od dostaw kluczowych, z punktu widzenia finalnej sprawności uzbrojenia, komponentów od białoruskich kooperantów. Warto w tym kontekście opisać, choćby skrótowo, ostatnią – pod koniec stycznia – wizytę w Mińsku Dmitrija Rogozina, szefa Roskosmosu. Rozmawiał on z Łukaszenką o białoruskim koncernie Peleng, który produkuje potrzebne Rosjanom oprzyrządowanie optyczne. Firmę już kilkakrotnie Moskwa chciała kupić, a teraz nalega w ramach „rozmów integracyjnych", aby została przez Mińsk „wniesiona" do wspólnej spółki. Bez sprzętu z Pelengu nie ma mowy o rozwoju rosyjskiego programu kosmicznego. Np. optyczno-elektroniczny kompleks teleskopowy tam produkowany daje obraz o rozdzielczości do 2 m z wysokości 550 km, waży przy tym tylko 400 kg. Rosjanie próbowali zbudować własne urządzenie tego rodzaju, ale nie jest ono tak dokładne, a przy tym waży 6,5 t, co nieco utrudnia montowanie go na sputnikach. Bez tego sprzętu nie ma mowy o rozwoju rosyjskiego programu broni konwencjonalnej o wielkiej precyzji rażenia.

> Wszystkie porównania parametrów technicznych F-35 i Su-57, którymi zapełniane są już od kilku lat łamy rosyjskiej prasy, mają w gruncie rzeczy teoretyczny charakter. Dlaczego? Bo amerykańskie myśliwce latają, a rosyjskie jeszcze nie

Podobna sytuacja jest w przypadku produktów białoruskiej firmy Integral, specjalizującej się w mikroprocesorach o zastosowaniu militarnym, czy fabryki Mińskie Zakłady Ciągników Kołowych, które produkują mobilne platformy do wyrzutni rakietowych wszystkich typów, w tym strategicznych. Rosjanie próbowali zbudować swoją konstrukcję (kluczową dla systemu rosyjskich wojsk rakietowych wyrzutnie Jars), wydali na to 300 mln dol., ale w 2018 r. poinformowali o zakończeniu prac, bez dalszego ciągu. Nie udało się. W przeszłości też chcieli kupić tę białoruską fabrykę, ale Łukaszenka zażądał ponoć 20 mld dol., co okazało się ceną zaporową.

ROSJANIE PRZEGRYWAJĄ

Roskosmos, firma odpowiadająca za większość rosyjskich programów kosmicznych, w tym – a może przede wszystkim – o przeznaczeniu wojskowym, jest dobrym przykładem, jak niewydolne i przy tym niezmiernie kosztowne mogą być rosyjskie giganty zbrojeniowe. Witalij Jegorow, ekspert branży kosmicznej, pisze na łamach ekonomicznego dziennika „Viedomosti", że koncern wypierany jest dziś ze światowego rynku usług kosmicznych. Rosjanie przegrywają rywalizację z firmą Elona Muska, którego falcony okazały się konstrukcjami tańszymi i lepszymi, Francuzi ze swoją ariane 6 próbują podważyć pozycję rosyjskich sojuzów ST, silniki, które mają zastąpić rosyjskie konstrukcje RD 180, już znajdują się w fazie prób, a ostatni wielki kontrakt, zawarty na 20 rakiet z firmą OneWeb, jest zagrożony, bo ta przeżywa finansowe problemy i odwracają się od niej inwestorzy. A co w zamian? Kosmiczni „turyści" z Turcji i Zjednoczonych Emiratów Arabskich nie pokryją finansowej dziury – ironizuje Jegorow. Bo jego zdaniem liczby są bezlitosne, firmy zgrupowane w koncernie Roskosmos, aby móc robić coś więcej, niż powielać stare, pochodzące jeszcze z czasów sowieckich technologie i zacząć pracować nad nowymi konstrukcjami, potrzebują dwa razy więcej pieniędzy, niż dostają teraz. Ale nikt ich im nie da, bo środków brakuje. W opinii rosyjskiego eksperta tylko ogłoszony z wielką pompą program rosyjskiego lotu na Księżyc może kosztować 1,5 bln rubli, czyli według obecnego kursu ponad 23 mld dol. „I to tylko po to, aby powtórzyć to, co Amerykanom udało się osiągnąć 50 lat temu".

Fot. SpaceKris/Shutterstock.com

eprasa.pl 8c095ff059

ROSNĄ DŁUGI, BRAKUJE PIENIĘDZY

Mało kto, oprócz analityków zajmujących się rosyjskim sektorem zbrojeniowym, zwrócił uwagę na jedną z pierwszych wypowiedzi premiera Michaiła Miszustina, który w trakcie spotkań w Dumie, jeszcze przed głosowaniem nad swoją kandydaturą, zapowiedział, że będą one zmuszone przestawić część swojej produkcji na potrzeby cywilne. Ostatnie takie deklaracje słychać było za czasów Gorbaczowa, kiedy okazało się, że państwo nie ma pieniędzy, aby utrzymywać niezwykle rozbudowany i kosztowny sektor zbrojeniowy. Jeśli poświęcimy nieco uwagi jego obecnej kondycji, to przekonamy się, że teraz jest w gruncie rzeczy podobnie.

Sektor produkujący broń i uzbrojenie, który w latach 2011–2019 uzyskał zamówienia armii o wartości przekraczającej 270 mld dol., a dodatkowo wyeksportował technikę wojskową za 135 mld dol., dziś znów raportuje o tym, że ugina się pod ciężarem długów szacowanych w połowie ub.r. na ponad 10 mld dol., których nie jest w stanie spłacić. Jest to o tyle zastanawiające, że już kilkakrotnie w ostatnich latach w Federacji Rosyjskiej przeprowadzano niezwykle kosztowne, i z budżetowego punktu widzenia bolesne, operacje oddłużania przedsiębiorstw produkujących na potrzeby wojska. W 2016 r. rosyjski rząd postanowił spłacić długi sektora, wydając na ten cel 800 mld rubli, a rok później przeprowadzić podobną operację, tyle że na nieco mniejszą skalę. Minister finansów Anton Siłuanow mówił wówczas o spłacie przez budżet 200 mld rubli długów sektora. Łącznie te dwa zabiegi pochłonęły niemal 15 mld dol.

A długi narastają w tempie lawinowym. Już po rządowych szacunkach formułowanych przez wicepremiera Jurija Borysowa (pełnił swoją funkcję również w rządzie Miedwiediewa), który mówił o 10 mld dol. długów firm z sektora zbrojeniowego, które rosyjski budżet winien wziąć na siebie, do Władimira Putina przyszedł jego stary druh, jeszcze z czasów drezdeńskiej rezydentury KGB, Siergiej Czemiezow. Dziś kieruje on wielkim koncernem zbrojeniowym Rostech. W trakcie spotkania poprosił o dokapitalizowanie kwotą 300 mld rubli wchodzącej w skład giganta (700 firm, ponad 500 tys. zatrudnionych) Zjednoczonej Korporacji Lotniczej.

Warto przypomnieć, że ostatnich dniach ub.r. Władimir Putin podpisał specjalny dekret tworzący pomocniczy bank pracujący tylko na potrzeby finansowania sektora zbrojeniowego. Do tego celu użyto znacjonalizowanego Promswiazbanku, zapowiadając przeniesienie do niego umów z innych rosyjskich instytucji finansowych. Paweł Łuzin, ceniony rosyjski analityk, jest zdania, że ten zabieg ma związek z obawami Kremla, że inne rosyjskie banki, które dotychczas pełniły funkcję podmiotów finansujących sektor zbrojeniowy, mogą się stać celem amerykańskich sankcji. Ich zaostrzenie mogłoby pozbawić rosyjskie firmy zbrojeniowe pieniędzy, tak niezbędnych w ich obecnej sytuacji. Ale to niejedyny ruch świadczący, że pieniędzy zaczyna brakować, choć potrzeby są niemałe, a cały system wymaga uszczelnienia, bo środki nie trafiają tam, gdzie trzeba.

Na początku lutego rosyjski kontrwywiad wojskowy aresztował, rzecz dotychczas na tak wysokim szczeblu niebywała, generała pułkownika, co ważne jednego z zastępców szefa rosyjskiego Sztabu Generalnego, Chalila Arsłanowa. Zarzuca mu się, że odpowiadając za zakupy techniki wojskowej (precyzyjne środki łączności), tak zorganizował cały proces, że armia przepłacała miliardy rubli, a zarabiały na tym firmy dostarczające nie najlepszy sprzęt powiązane zresztą z generałem.

Wbrew oficjalnej narracji Kremla, który utrzymuje, że w gruncie rzeczy sankcje międzynarodowe są mu na rękę, bo zmuszają do większego wysiłku, który w ostatecznym rachunku wychodzi na korzyść, szczątkowe informacje, jakie docierają do nas, ukazują zupełnie inny obraz. Nie tylko niewydolnego i kosztownego sektora, ale również kończących się rezerw i narastających ograniczeń. To dopiero pozwala lepiej zrozumieć irytację Moskwy. Bo jak napisali niedawno w swej analizie głównych zagrożeń stojących przed Rosją w 2020 r. eksperci z moskiewskiego MGiMO, Polsce i Europie Wschodniej „udało się narzucić agendę NATO" w zakresie polityki wobec Rosji. Innym słowy, sankcje okazały się skuteczne.



Rosyjski samolot Su-57

eprasa.pl 8c095ff059

Branża spirytusowa jest w Polsce dyskryminowana

Propozycja wprowadzenia opłat od małych formatów zaskoczyła nas tak samo mocno jak ogłoszona dosłownie kilka tygodni wcześniej 10-procentowa podwyżka akcyzy na alkohol – mówi ***Witold Włodarczyk***, prezes Związku Pracodawców Polskiego Przemysłu Spirytusowego

Jak pan ocenia przyjętą przez rząd nowelę ustawy wprowadzającą dodatkowe opłaty za tzw. małpki?

Witold Włodarczyk: Uważam, że pomysł, który zakłada, że przynajmniej część danin publicznych nakładanych na branżę alkoholową – a mówimy tu o miliardowych kwotach w skali rocznej, ponoszonych w największym stopniu przez branżę spirytusową – będzie kierowana bezpośrednio na fundusz celowy, służący ochronie zdrowia Polaków, jest bardzo dobry. Problem w przypadku akurat tej noweli ustawy polega jednak na tym, że jest ona całkowicie błędnie zaadresowana, ponieważ tzw. małpki w przeliczeniu na czysty alkohol, stanowią zaledwie niecałe 11 proc. tego rynku w Polsce. Oznacza to, że założony cel nie zostanie zrealizowany. Co więcej, efekt będzie odwrotny do zamierzonego.

Wprowadzenie takich opłat nie obejmuje producentów piwa, można w tej sytuacji wręcz odnieść wrażenie, że rząd preferuje ten napój...

Otóż to. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności (a ja, pracując już od ponad 20 lat w branżach silnie regulowanych, w tego typu zbiegi okoliczności nie wierzę) wprowadzenie opłaty w zasadzie nie obejmie branży piwnej (w formacie opakowań do 300 ml, którego dotyczy ustawa, branża piwna praktycznie nie oferuje swoich wyrobów). Trudno mi ocenić, dlaczego w Polsce wszystkie rządy, niezależnie, z jakich środowisk się wywodzą, tak bardzo kochają piwo. Być może wynika to z – wpajanego przez wszechobecne i nieetyczne reklamy branży browarniczej – przeświadczenia, że piwo to nie alkohol, tylko napój orzeźwiający służący beztroskiej zabawie. Tymczasem w świecie rzeczywistym, piwo to taki sam alkohol jak wszystkie inne, zawierający to samo C_2H_5OH. Co więcej – w Polsce najwięcej alkoholu w przeliczeniu na czysty etanol spożywamy właśnie w piwie – 57,9 proc., natomiast tylko 34,6 proc. we wszystkich kategoriach mocnych alkoholi łącznie (w tym w wódce, whisky, ginie, rumie, likierach itd.). Interesujący w kontekście tych danych oraz preferowania piwa przez rząd jest fakt, że z odnotowywanych przez Ministerstwo Finansów wpływów akcyzowych z całej branży alkoholowej aż 66 proc. pochodzi z branży spirytusowej, a jedynie 31 proc. z piwnej. Blisko 2/3 udziału w rynku versus niespełna 1/3 wpływów z akcyzy – niedoszacowanie branży piwnej w podatkach i tkwiące tu rezerwy wydają się oczywiste. Wystarczy po nie sięgnąć – ale jakoś nikt nie waży się tego zrobić – pomimo (a może właśnie dlatego?) że za niemal cały rynek piwa w Polsce odpowiadają trzy ogromne, międzynarodowe koncerny.

Czy przeprowadzono z branżą spirytusową konsultacje dotyczące tego projektu?

Propozycja wprowadzenia opłat od małych formatów zaskoczyła nas tak samo mocno jak ogłoszona dosłownie kilka tygodni wcześniej 10-procentowa podwyżka akcyzy na alkohol (mimo że wcześniej przez długi okres mowa była o tym, że akcyza wyniesie 3 proc.). Zostaliśmy zaproszeni już w momencie, gdy projekt był gotowy na „konsultacje" do Ministerstwa Zdrowia, na których nie pojawił się wiceminister Cieszyński, który jest podawany za inicjatora i gospodarza tego projektu. Spotkanie nie było rejestrowane, nie powstała z niego żadna notatka, nie było kontynuacji. Fikcja w czystej postaci. Na spotkaniu zadałem najprostsze pytanie, jakie się narzuca po przeczytaniu tego projektu: czy MZ albo ktokolwiek inny przeprowadził jakieś badania, które wskazywałyby na to, że spożywanie alkoholu w małych pojemnościach jest bardziej szkodliwe niż spożywanie tegoż alkoholu w większych pojemnościach? Oczywiście nikt mi nie odpowiedział, ponieważ takich badań nie ma, a gdyby zostały nawet przeprowadzone, to trudno oczekiwać, że ktoś doszedł do równie absur-

eprasa.pl 8c095ff059

dalnych wniosków jak pomysłodawca projektu.

Jakie zatem konsekwencje ekonomiczne dla branży spirytusowej przyniesie nowela?

Przy obecnych obciążeniach fiskalnych branży spirytusowej, zdecydowanie ją dyskryminujących przede wszystkim w stosunku do branży piwnej, dodatkowo zwiększonych wzrostem akcyzy o 10 proc. od nowego roku, wprowadzenie opłaty od małych formatów (stanowiącej ok. 20 proc. ceny dla 1/3 wolumenu branży spirytusowej, za którą odpowiadają w niej małe formaty) może doprowadzić do bardzo poważnych konsekwencji ekonomicznych dla tej strefy biznesu. Te działania mogą zachwiać rentownością wielu przedsiębiorstw, a należy pamiętać, że branża spirytusowa to nie tylko kilka tysięcy miejsc prac bezpośrednio w jej zakładach w Polsce, lecz ponad 100 tys. miejsc pracy, jakie generuje w rolnictwie, dystrybucji, sprzedaży itd. Nie do przecenienia jest fakt, że skupujemy corocznie 1,2 mln ton zbóż i 50 tys. ton ziemniaków od polskich rolników, a samej wódki eksportujemy za 140 mln euro. Na koniec sprawa nie do przecenienia i nie do zastąpienia – branża spirytusowa tytułem tylko akcyzy i VAT zasila budżet państwa corocznie kwotą 11,4 mld zł!

Rząd zmiany tłumaczy działaniami prozdrowotnymi. Czy rzeczywiście Polacy zmienią swojej nawyki po wprowadzeniu tych przepisów?

I tu powracamy do odpowiedzi na pana pierwsze pytanie. Stawiam tezę, że – choć cel jest szczytny – to zaproponowany sposób realizacji będzie kontrproduktywny. Zacznijmy od tego, że faktycznie Polacy w spożyciu alkoholu zbliżają się niebezpiecznie do tych najwyższych wartości z początków lat 80. ubiegłego wieku. Jeżeli przeanalizujemy statystyki dotyczące okresu od lat 80. do dziś, to uzyskamy oczywistą odpowiedź na pytanie, kto za ten wzrost jest odpowiedzialny. O ile w tym okresie ilość wypijanego etanolu w wyrobach spirytusowych spadła, o tyle ten sam etanol pod postacią piwa zanotował bezprecedensowy



wzrost. O ile w latach 80., z przyczyn często związanych ze słabą dostępnością, piwa piliśmy bardzo niewiele, o tyle już w połowie lat 90., kiedy z dostępnością piwa nie było najmniejszych problemów, przeciętny, statystyczny, dorosły obywatel wypijał go rocznie 40 l – a dziś już ponad 100 l! Konsumujemy prawie tyle samo piwa rocznie co wody butelkowej.

Przekładając te dane na projekt opłaty i odpowiadając wprost na pana pytanie – tak, Polacy zmienią swoje nawyki i będą pić jeszcze więcej piwa, odpowiedzialnego dziś w Polsce za wzrost spożycia alkoholu. Dla przedziału cenowego, w którym sprzedawane są małe formaty wyrobów spirytusowych, zwane kolokwialnie „małpkami" (pomiędzy 5 a 10 zł), praktycznie jedynym wyrobem substytucyjnym jest piwo. O ile dziś za równowartość przeciętnej „małpki" konsument może kupić dwa piwa, to po wprowadzeniu opłaty będzie mógł tych piw kupić już trzy. Tym chętniej to zrobi, przyczyniając się do dalszego zwiększenia spożycia alkoholu w Polsce. Co ważne – żadnych korzyści finansowych nie odniesie z tego tytułu budżet państwa. O ile w 100-mililitrowej „małpce" wódki mamy łącznie ok. 3,60 zł z tytułu akcyzy i VAT, o tyle w przeciętnej półlitrowej puszce piwa ta suma wynosi 1 zł. Kto zatem będzie jedynym beneficjentem tej ustawy? Odpowiedź jest oczywista: branża piwna.

Wszystko na to wskazuje, że opłaty za „małpki" będą wprowadzone mimo protestów. Jakie działania obronne mogą państwo podjąć?

Zakładamy, że argumenty, które prezentujemy, są wystarczająco mocne. Jeżeli nie zostanie osiągnięty ani cel prozdrowotny, ani fiskalny, to po co taką ustawę wprowadzać? Komu ma służyć całe to zamieszanie? Z pewnością pojawi się wiele pytań w tym tonie. Przed nami proces legislacyjny, w którym zamierzamy być aktywni. Pomijając przedstawione wyżej argumenty zdrowotne i ekonomiczne, mamy też bardzo poważne wątpliwości prawne dotyczące zgodności tej opłaty z wieloma przepisami zarówno krajowymi, jak i unijnymi. Skierowaliśmy naszą opinię prawną do wielu instytucji państwowych, które powinny się zainteresować tą kwestią. Wątpliwości budzi zarówno podejrzenie o niedozwoloną pomoc publiczną dla branży piwnej, realizowaną poprzez wprowadzenie tej opłaty, jak i teza, że stanowi ona zabronioną formę podatku akcyzowego wprowadzanego niezgodnie z przepisami unijnymi. Wątpliwości prawnych, wyrażonych w naszej opinii, jest znacznie więcej.

A co najważniejsze – wprowadzenie opłaty w obecnej formie wydaje się bardzo ryzykowne z punktu widzenia interesów naszego kraju.

Rozmawiał: Szsz

Fot. Ewa Rykowska

eprasa.pl 8c095ff059



Polacy chcą być na swoim, a franczyza umożliwia im szybki start

Od lat gotowe koncepty biznesowe, takie jak franczyza, cieszą się dużym zainteresowaniem Polaków. Własny biznes pod skrzydłami znanej marki to łatwy start w przedsiębiorczość, a jednocześnie możliwość rozwoju i zarządzania własnym zespołem. Choć rynek franczyzy wydaje się nasycony, to nowych ofert wciąż przybywa, a przedsiębiorcy mają w czym wybierać

Od czasu transformacji ustrojowej w Polsce stopniowo wzrastała liczba firm oferujących franczyzę dla nowych przedsiębiorców. Obecnie według raportu firmy doradczej Profit System i portalu Franchising.pl na rodzimym rynku funkcjonuje ponad 1,3 tys. różnych sieci franczyzowych, zrzeszających łącznie 83 tys. franczyzobiorców. Polacy cenią sobie możliwość prowadzenia własnego interesu przy partnerstwie z dużą silną marką, z ugruntowaną pozycją na rynku, która daje im poczucie biznesowego bezpieczeństwa i większe szanse rozwoju. Dzięki temu przedsiębiorcy działają odważniej i już jedna na 150 franczyz rozwija swoje placówki także poza granicami kraju.

Sektor franczyzy stanowi silne źródło zatrudnienia – liczba pracujących w placówkach franczyzowych przekroczyła w 2019 r. 405 tys. osób. Średnio przedsiębiorca, prowadzący swój biznes na podstawie franczyzy, zatrudnia od pięciu do sześciu osób. Przeważnie są to firmy rodzinne, konsolidujące małżonków, partnerów, ale także rodziców i dzieci, finansu-

eprasa.pl 8c095ff059



Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 95/1019/F

jące utrzymanie całego domu. Niebywałą ich zaletą jest także możliwość łączenia, w większym stopniu niż w przypadku pracy na etacie, życia osobistego z zawodowym.

HANDEL I USŁUGI NA PROWADZENIU

Wśród branż, które rozwijają się najprężniej w systemie franczyzowym, należy niewątpliwie wymienić usługi i handel. Najwięcej powstaje nowych lokali gastronomicznych – nowych restauracji, pizzerii, lodziarni, ale także cateringów dietetycznych na licencji. Najszybszy wzrost dostrzegany jest jednak w branży spożywczej, gdzie wejście, zwłaszcza w nieduże powierzchniowo koncepty handlowe, jest inwestycją mniej kapitałochłonną. Na tle tej branży najbardziej wyróżnia się sieć sklepów Żabka, która charakteryzuje się niskim poziomem inwestycji, a przy tym gwarantuje stabilny biznes i zapewnia wiele ułatwień na start. – Nowi franczyzobiorcy otrzymują od Żabki szerokie wsparcie od samego początku: w pełni wyposażony i zatowarowany sklep, w atrakcyjnej lokalizacji wynajętej bezpośrednio przez naszą sieć. Lokalizację pomaga nam wybierać sztuczna inteligencja, która na podstawie analizy dużej liczby danych pozwala nam dokładnie poznać potencjał sprzedażowy danego miejsca. Przystępujący do sieci muszą wnieść niewysoki wkład własny w wysokości 5 tys. zł, który pokrywa m.in. koszt zakupu kasy fiskalnej czy koncesji, który zwracamy po trzech miesiącach. Najważniejsze jednak są zaangażowanie i przedsiębiorczość osób, które decydują się na otwarcie własnego biznesu w ramach naszej sieci. Doceniamy to i dajemy im możliwość dalszego rozwoju – mówi Sebastian Bielawski.

KLUCZOWE ZNACZENIE OFERTY

Obecnie na rynku dostępna jest mnogość różnych firm, a jednocześnie wzrasta świadomość przedsiębiorców na temat wsparcia, jakie mogą otrzymać. Oczekują oni od franczyzodawcy pełnego partnerstwa na każdym etapie współpracy. – Wiemy, że każdy biznes, szczególnie na starcie, potrzebuje czasu, by zdobyć lokalnych klientów, dlatego w trakcie pierwszych miesięcy prowadzenia sklepu gwarantujemy przychód podstawowy w wysokości 15 tys. zł co miesiąc przez pierwsze pół roku prowadzenia działalności. To pozwala przedsiębiorcom skupić się na codziennych zadaniach, rozwoju swojej placówki, dostosowaniu jej do lokalnych klientów – dodaje Sebastian Bielawski.

Żabka w 2019 r. podjęła wiele działań mających na celu ułatwienie zarządzania sklepami przez franczyzobiorców. Sieć wprowadziła unikatową aplikację o nazwie Frappka, która pozwala na zdalne zarządzanie sklepem, w placówkach pojawiły się ekrany digital signage, pozwalające na interaktywną komunikację z klientami, oraz elektroniczne cenówki. Żabka testuje również kasy samoobsługowe, które mają być wykorzystywane w lokalizacjach o największym natężeniu ruchu i tym samym wspierać franczyzobiorców w codziennej obsłudze klientów.

PRZEDSIĘBIORCZY POLAK NA SWOIM – PRZYSZŁOŚĆ FRANCZYZY

Sieci franczyzowe wciąż starają się zachęcić do siebie nowych przedsiębiorców. Ich oferty można poznać m.in. w trakcie targów pracy i franczyzy czy podczas lokalnych spotkań z przedstawicielami firmy. Polacy charakteryzują się przedsiębiorczością, a wielu ceni sobie dodatkowo niezależność i satysfakcję, jaką daje im prowadzenie własnego biznesu. Franczyza wydaje się więc doskonałym rozwiązaniem dla wielu szukających pomysłu na dalszy rozwój kariery zarówno w ramach sieci, jak i w roli pracodawcy. – Polacy są przedsiębiorczy i świetnie radzą sobie z prowadzeniem własnego biznesu, to stanowi dla nas najcenniejszy kapitał. Przyszli przedsiębiorcy szukają sprawdzonych sieci franczyzowych, które od wielu lat rozwijają się na rynku i otwierają kolejne placówki – podkreśla Sebastian Bielawski.

Przypomnijmy, że sieć Żabka zakończyła rok 2019 otwarciem sklepu 6000 obecnie sklepy są prowadzone przez 4,3 tys. franczyzobiorców, czyli przedsiębiorców prowadzących własną działalność gospodarczą, którzy zatrudniają pracowników, płacą podatki etc., a w ramach umowy franczyzowej mogą liczyć na wsparcie i doświadczenie sieci.

eprasa.pl 8c095ff059

PRZEMEK KOSSAKOWSKI DZIENNIKARZ TV, PODRÓŻNIK

Opowieści z drogi

Podróżowanie w moim życiu przechodziło różne fazy. Najpierw wędrowałem z plecakiem, stopem... potem w różnych częściach Europy wykonywałem, najczęściej nieskomplikowane, prace, aż moje podróżowanie przeszło w fazę trzecią – związaną z realizowaniem materiałów dla telewizji.

W najpiękniejszym miejscu, do jakiego dotarłem – na dachu świata – wybierałem miód z gniazd dzikich pszczół. Usadowionych na niedostępnych urwiskach, od 50 do 120 m, a ja... mam lęk wysokości. Musiałem go pokonać, schodząc po drabinie skręconej z bambusowego łyka.



Czy jestem człowiekiem od zadań ekstremalnych? Czasem te ekstrema – o charakterze i fizycznym, i psychicznym – stapiały się w jedno. Jak wtedy, kiedy w dalekiej Rosji przeżyłem ponad 40 min zakopany pod ziemią. To było jedno z najbardziej wstrząsających, traumatycznych, ale i pięknych doświadczeń. Zmieniło mnie w pozytywny sposób. Po chwilach strachu i fizycznego bólu nigdy tak mocno nie doceniłem życia, jak wtedy, kiedy mnie odkopano.

Zdarzyło mi się też w Afryce, w Kenii, spróbować pracy przy wydobyciu złota. Miałem za sobą dwie telewizyjne realizacje w polskich kopalniach, więc wydawało mi się, że wiem coś o tej tematyce. Na miejscu przeżyłem szok. U nas naprawdę myśli się o bezpieczeństwie ludzi. W Kenii nie widziałem ani jednego górnika w kasku, a zabezpieczenia w tunelach były totalną prowizorką.

Jak widać, szlaki, które przemierzam, liczą się nie tylko kilometrami. Wędruję też w głąb siebie – przekraczam kolejne granice, poszerzam je, sprawdzam, ile jeszcze mogę... – ale też podróżuję w głąb innych. Przez cały czas podejmuję próby zrozumienia spotkanych w drodze ludzi. Drugiego człowieka.

Kiedy w TTV zaproponowano mi udział w projekcie „Down The Road. Zespół w trasie", powiedziałem: „Wow, chcę w to wejść". Chociaż miałem obawy, i mam je nadal, jak widzowie przyjmą pierwszy tego typu w polskiej telewizji program.

Pomysł (oparty na belgijskim projekcie) był taki: z sześciorgiem dorosłych, wybranych w castingu, osób z zespołem Downa wyruszyłem samochodem klasy van w 16-dniową podróż – do Włoch i z powrotem. To była jedna z tych wypraw, w których odległość i to, dokąd trafiamy, mają mniejsze znaczenie niż droga, jaką pokonaliśmy. W aspekcie wewnętrznym, mentalnym.

Niby wiedziałem, na co się decyduję. Z zasady też staram się niczego sobie nie wyobrażać, dzięki czemu spotyka mnie mniej rozczarowań, a więcej pozytywnych zaskoczeń, ale już pierwszego dnia zacząłem przemontowywać swoje myślenie. Szczegółowy scenariusz – mierzony standardami telewizyjnych zawodowców – musiał zostać ostro przycięty. Nie brał pod uwagę wytrzymałości uczestników – i fizycznej, i psychicznej – ale też sposobu ich reagowania. A człowiek z zespołem Downa, jeśli jest zmęczony, to jest zmęczony. I wyraża to spontanicznie, podobnie jak inne odczucia i emocje. Dla niego atrakcje – z mojej perspektywy patrząc, spektakularne, bo przygotowane na torze Formuły 1 – mogą się okazać mniej istotne niż sercowe rozterki.

Droga przez Dolomity połączyła nas dyskusją rodem z fantasy spod godła Tolkiena czy C.S. Lewisa. Kluczowe pytanie, gdzie w tych górach są wejścia do magicznych jaskiń, zamieszkanych przez elfy i krasnoludy, stało się pretekstem, by zrobić spływ, który zakończył się na plaży, gdzie kręcono jedną ze scen do filmu „Opowieści z Narnii". Uczyłem się w tamtych dniach magicznego myślenia, a właściwie wracałem do tego, co każdy z nas zostawia w dzieciństwie. Otworzyła się przede mną dawno zapomniana perspektywa.

„Down The Road. Zespół w trasie" to program o tym, że można wędrować inaczej, że można uczyć się nawet od tych, którzy, wydawałoby się, niewiele nauczyć nas mogą. Kontakt z bohaterami był dla mnie odświeżający na wielu poziomach. Pozwolił mi na zupełnie inne postrzeganie mojej własnej rzeczywistości. Przypomniał, na czym powinno polegać „bycie". Choćby dlatego bardzo zachęcam do jego oglądania. Już od 23 lutego na antenie TTV.

Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl 8c095ff059

SŁODKO-SŁONY

Zdrowy rozsądek



ANNA MONICKA

Niespecjalnie wierzę dietom cud, a katowanie organizmu, zwłaszcza odbieranie mu tego, co daje największą radość, czyli dobrego jedzenia, traktuję jak zamiłowanie do wyrafinowanych tortur. Jeśli sama musiałam wziąć się za siebie, zwykle wystarczało zastosowanie się do zalecenia „jp", czyli jedz połowę. I oto nagle – jak zwykle w czasie ferii mam wreszcie czas na buszowanie po księgarniach – natknęłam się na książkę o diecie DASH (Dietary Approaches to Stop Hypertension), czyli jedzeniu, które ma zapobiegać nadciśnieniu. Pod każdym zaleceniem mogłabym się podpisać obydwiema rękami, bo mamy jeść dużo warzyw i owoców, niskotłuszczowy nabiał, ryby i owoce morza, orzechy, pełnoziarniste pieczywo, a unikać czerwonego mięsa, tłuszczów zwierzęcych, słodyczy, słodkich napojów i soli. Jedzenie to zawiera mało sodu, a dużo potasu, magnezu i wapnia. Organizm bardziej się przepłukuje, nie zatrzymuje wody tylko ją wydala, a to działa korzystnie na nerki, naczynia krwionośne.

Najlepsze jest to, że nie zaprzątamy sobie głowy kaloriami, pamiętamy tylko o jedzeniu ryb, warzyw, owoców, piciu wody i unikaniu przetworzonych produktów typu chipsy, zawierających dużo soli i rakotwórczych tłuszczów trans. Innymi słowy – gdy doskwiera głód, sięgamy po banana, morele, orzechy czy pokrojone w słupki marchewkę, jabłko albo gruszki, a nie sklepowe przekąski. Kończymy niebezpieczny romans ze słodzonymi napojami, bo zawierają dobrze ukryty cukier, który uzależnia nas jak narkomanów, a zaczynamy z błonnikiem i węglowodanami złożonymi: owsem, kaszami, pełnoziarnistym pieczywem. Na ich spalenie organizm musi zużyć dużo kalorii, poza tym na dłużej zaspokajają głód.

Nie znając nazwy DASH, przeszłam nieświadomie na tę dietę już dawno temu. Zmieniłam nawet mąki – ze zwykłej pszennej na orkiszową, owsianą pytlową. Furorę robią zwłaszcza moje owsiane naleśniki – delikatne, słodkawo-orzechowe, doskonałe do domowej konfitury czy powideł śliwkowych, choć moja córka porywa nawet same skórki i zajada je na sucho.

Ciasto jest banalnie proste: kubek mąki, kubek mleka (może być roślinne), woda mineralna, dwa jajka, olej. Miksujemy – ma być jak śmietanka, nie za gęste. Patelnię tylko przecieramy tłuszczem, musi być bardzo porządnie nagrzana. Można je nafaszerować grillowanymi cukiniami, posypać parmezanem i lekko zapiec. Smacznego!

WILCZYM OKIEM

Malina moroszka



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pośród licznych przedstawicieli rodzaju *Rubus*, obejmującego maliny i jeżyny, znajduje się malina moroszka *Rubus chamaemorus* (po angielsku cloudberry, malina mglista).

Moroszka jest maliną niewielką, o wysokości od kilkunastu do 30 cm, liściach nerkowatych z pięcioma klapkami i pomarańczowożółtych owocach. Jej zasadniczy zasięg obejmuje borealno-arktyczne tereny Europy, Azji i Ameryki Północnej, wzdłuż pasa wyznaczonego przez koło podbiegunowe północne.

W Polsce moroszka jest rośliną rzadką, ściśle chronioną i wpisaną do Polskiej czerwonej księgi roślin. W naszym kraju, w którym osiąga południową granicę zasięgu, moroszka to relikt epoki lodowcowej i występuje w bardzo niewielu miejscach: m.in. w Słowińskim Parku Narodowym, w noszącej cechy tajgi Puszczy Rominckiej, bardzo rzadko w Sudetach i na torfowiskach nowotarskich.

W północnej części naszego globu moroszka występuje znacznie liczniej. W Skandynawii jest bardzo ceniona (jej szwedzka nazwa to hjortron), zbierana na torfowiskach, skupowana i przerabiana na rozmaite przetwory. Uprawy moroszki należą do rzadkości, owoce pochodzą więc z natury. Praca zbieracza, traktowana przez niektórych jako wakacyjna przygoda, ma w sobie wiele romantyzmu. Całe dnie spędza się, szukając owocujących malin, wędrując przez uginające się pod nogami torfowiska, pośród północnych świerków o wąskich, kolumnowych koronach, za towarzyszy mając jedynie renifery, łosie, pardwy i rybołowy gnieżdżące się nad tajgowymi jeziorami.

Moroszka występuje w nieregularnych skupiskach, trzeba więc wytrwałości i doświadczenia, żeby nie wrócić z pustymi rękami. Wzrok wędrującego zbieracza szuka spłachetków usianych pomarańczowymi owocami. Kiedy je znajdzie, odczuwa emocje mające w sobie coś z emocji poszukiwacza złota, trafiającego na żyłę złota. Podobieństwo jest tym większe, że moroszka w skupie osiąga wysokie ceny, a w dobrym roku wytrwali zbieracze, niebojący się zapuszczać dalej na bagna, wracają niekiedy wieczorem z kilkudziesięcioma kilogramami owoców.

Surowe owoce maliny moroszki są nieco cierpkie i kwaskowate, a przy tym orzeźwiające i zawierają wiele witamin, antyoksydantów oraz związków podnoszących odporność. Od dawien dawna były ulubionym uzupełnieniem diety północnych myśliwych i pasterzy reniferów.

eprasa.pl 8c095ff059

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

SzKODnicy Kidawy

Czy Polak jest w stanie zaszkodzić Polsce? Oj tak, bardzo! Było ich w naszej historii wielu i dziś też mają swoich naśladowców. Nazywamy ich krótko „targowicą" albo „piątą kolumną". To ci wielcy szkodnicy, za jurgielt czy wziątkę, albo z głupoty (w co raczej trudno wierzyć) potrafią sprzedać obcym własny kraj. Ale są i mali, powszedni, którzy w furii nienawiści do wszystkiego wokół potrafią zniszczyć przystanek autobusowy czy przydrożną kapliczkę. Oczywiście każdy ze szkodników zaprzecza, że szkodzi Polsce. Wręcz przeciwnie, on ratuje „ten kraj", ochrania go przed złym rządem, prezydentem, wyraża swój konstytucyjny protest albo twierdzi, że nic nie pamięta, bo był pijany.

Jestem przekonany, że Kidawa-Błońska kontynuuje samobójczą strategię swojej partii

Czy można szkodzić Polsce w instytucjach międzynarodowych? Najwięcej. Zdaniem posła Sławomira Nitrasa donoszenie na Polskę, np. zabieganie w UE o mniejszy dla Polski budżet, „może nie jest najlepsze dla kraju, ale to przecież wina rządzących". Bardziej wyrafinowaną odpowiedź daje europosłanka Sylwia Spurek, która wręcz żąda od KE sankcji finansowych dla Polski, aby „powstrzymać dalsze naruszanie wartości UE i chronić ład konstytucyjny w Polsce". O jakie „wartości" jej chodzi? Pominę.

Czy nie jest szkodzeniem Polsce atak na polski rząd albo, jak to było ostatnio w Pucku, zakłócanie państwowych uroczystości wulgarnymi słowami pod adresem urzędującego prezydenta, o którym konstytucja mówi: „najwyższy przedstawiciel RP", „gwarant ciągłości władzy państwowej", przez warszawski oddział KOD, wręcz maniakalnie nawołujący do przestrzegania przepisów konstytucji?

To, co wydarzyło się w Pucku podczas uroczystości w setną rocznicę zaślubin Polski z morzem z udziałem prezydenta RP Andrzeja Dudy, nazwałem działalnością „antypolską". Tak, lżenie prezydenta, zakłócanie uroczystości państwowej, a następnie akceptacja dla tego typu zachowań przez kandydatkę na urząd prezydenta Małgorzatę Kidawę-Błońską, upoważniło mnie do nazwania grupy kodowców „antypolskimi bojówkami Kidawy". A jeszcze nie wiedziałem, że na TT jest już zgrupowana wiadomość (hasztag) pod tytułem #BojówkiKidawy. Natychmiast odezwał się jeden z aktywnych na tym komunikatorze profesorów, notabene profesor historii w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni, podając w wątpliwość, czy działalność tego typu może być „antypolska", jak ją nazwałem.



Czyli obsceniczny atak słowny na prezydenta RP, zakłócenie wyjątkowej, podniosłej uroczystości państwowej, niekoniecznie musi być uznane za działalnością antypolską?

Pytam: a jaki inny charakter może mieć opisane tu haniebne wydarzenie? Jeżeli antypaństwowy, to siłą rzeczy antynarodowy, bo to naród wybiera prezydenta RP w wyborach powszechnych, równych, bezpośrednich i w głosowaniu tajnym. Zatem atak na wybranego przez naród polskiego prezydenta jest zjawiskiem ze wszech miar antypolskim. A może chodzi o atak „polityczny" wymierzony w Andrzeja Dudę, jako kandydata na kolejną prezydencką kadencję? Jeżeli tak, to nie zmienia to faktu, że wciąż jest to urzędujący prezydent Polski wybrany na pięcioletnią kadencję, „stojący na straży suwerenności", „bezpieczeństwa państwa", „nienaruszalności i niepodzielności polskiego terytorium", „zwierzchnik Sił Zbrojnych RP". Specjalnie przywołuję fragmenty konstytucji, także dla kandydatki na urząd prezydenta, czyli wicemarszałek Kidawy-Błońskiej, która nie dostrzegła niczego złego w zachowaniu kodowskiej bojówki, jaka najechała z Warszawy Puck i Wejherowo. „Tak, dobrze było słychać" – pochwaliła swoich sympatyków.

Jej partyjni towarzysze roztkliwiali się ostatnio, o dziwo wbrew poprawności politycznej, a przecież to czysty rasizm, nad „genami" kandydatki. To fakt, jest prawnuczką prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i premiera Władysława Grabskiego. I ten fakt jest dodatkowo bolesny, gdyż nie tego się po niej spodziewaliśmy w stulecie zaślubin Polski z morzem.

Jestem przekonany, że Kidawa-Błońska kontynuuje samobójczą strategię swojej partii. Nawet gdyby miało dojść do restrykcyjnych cięć w budżecie UE dla Polski, Polacy nie uwierzą, że winę za to ponosi PiS. Nie okaże się też skuteczna strategia straszenia Polaków wyjściem Polski z UE i przyszłych związków Polski w sojuszu z Putinem czy Łukaszenką. Wielką naiwnością jest myślenie, że w tę bajkę o czerwonym wilku, opowiadaną przez byłych komunistów, nadal pod kuratelą KGB, uwierzą współcześni Polacy.

Czy rzeczywiście, jak powiedział Grzegorz Schetyna, „pięć lat prezydentury Kidawy będzie wyglądać tak jak jej kampania"?

www.wojciechreszczynski.pl

Reklama | 57/0120/F



LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas

www.saltus.pl/zdrowotne

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

SALTUS UBEZPIECZENIA

eprasa.pl 8c095ff059

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Ostatnia przysługa



Witold Gadowski

Jest rok 2011, w Wiedniu trwają uroczystości pogrzebowe Ottona von Habsburga, syna ostatniego cesarza Austrii Karola I. Otto zmarł w wieku 98 lat w swojej posiadłości w Pocking na terenie Bawarii. Był wieloletnim posłem do Parlamentu Europejskiego i człowiekiem niezwykle aktywnym. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęła msza święta w kościele św. Szczepana w Wiedniu, potem kondukt przeszedł przez śródmieście stolicy Austrii, okrążając dawny zamek Habsburgów, aż w końcu doszedł do furty klasztoru kapucynów, gdzie mieszczą się sarkofagi zawierające doczesne szczątki innych członków habsburskiej dynastii: leży tu m.in. cesarz Franciszek Józef, cesarzowa Maria Teresa, arcyksiążę Rudolf, matka Ottona – cesarzowa Zyta. Tu, na Neuermarkt, chowa się bowiem Habsburgów od 1663 r.

Mistrz ceremonii załomotał w furtę kapucyńskiej krypty. „Kto chce wejść?" – rozległ się głos z wewnątrz. „Jego Wysokość Otto von Habsburg – Cesarz Apostolski, Król Węgier, Król Czech, Moraw, Dalmacji, Chorwacji, Galicji, [...] apostolski król Jerozolimy, wielki Książę Krakowa i arcyksiążę Austrii" – brzmiała odpowiedź mistrza ceremonii. „Nie znam takiego" – znów usłyszano głos pochodzący z wnętrza krypty. „Otto von Habsburg" – mistrz ceremonii skrócił prezentację. „Nie znam takiego" – gospodarz krypty pozostawał nieugięty. „Biedny grzesznik, który prosi o miłosierdzie Boże" – mistrz ceremonii zmienił ton.

Brama krypty rozwarła się i publiczność usłyszała: „Możesz wejść". Tysiące wiedeńczyków zgromadzonych w kondukcie słyszało ten donośny dialog.

Piszę o tym nie po to, aby kogokolwiek epatować wydarzeniami z dziejów największych arystokratycznych rodów Europy, ale by przypomnieć, czym jest wielka tradycja i mądrość, którą pozostawiły nam w legacie poprzednie pokolenia.

Dziś bezmyślnie trwonimy ten legat, śmierć w naszej kulturze przestała być obecna, cóż więc mówić o ostatecznej prawdzie, jaką tylko śmierć niesie z sobą. Tysiące operacji plastycznych nie odwlecze momentu, gdy na kark spadnie nieubłagane ostrze kosy czasu. Bez poczucia zbliżania się ku śmierci nic nie nada ważności kolejnym dniom, nic też nie pokaże właściwych proporcji naszego istnienia. Przychodzisz jako maleńka istota, równa wszystkim istnieniom i odchodzisz jako „biedny grzesznik, który jedynie na zmiłowanie Boże liczyć może". Memento mori...

Tradycja – w niej znajdują się odpowiedzi na wszystkie trapiące nas dziś pytania.

Wygrajcie sobie wybory...



Lech Makowiecki

Kilka lat temu – podczas ostrej polemiki – Donald Tusk zasugerował ówczesnej opozycji (cytuję z pamięci): Wygrajcie sobie wybory, to będziecie rządzić po swojemu... Dziś – gdy słowo stało się ciałem – totalna opozycja neguje prawo PiS do przeprowadzenia reform zgodnych z wyborczymi obietnicami! Absolutnym kuriozum jest to, że sędziowie wyłonieni przez demokratycznie wybrany rząd Prawa i Sprawiedliwości nie mają dziś (według „totalsów") prawa do orzekania, natomiast ci wybrani jeszcze przez reżimową Radę Państwa PRL – to wciąż ludzie godni zaufania...

Postkomuna broni dziś sądowego status quo jak socjalizmu... I nawet konstytucja (zatwierdzona wszak przez „ich" prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego) ulec musi przed „nadrzędnością" prawa Unii Europejskiej... Takiej bzdury nie da się obronić w logicznej debacie – stąd coraz częściej obserwujemy zakrzykiwanie w radiowych czy telewizyjnych dysputach przedstawicieli dobrej zmiany. „Ja panu/pani nie przerywałem!" – to dziś najbardziej wyświechtany wykrzyknik obu stron politycznego sporu. Dlatego błyskotliwa riposta jednego z dyskutantów: „Bo ja jeszcze nic nie mówiłem!" – rozbawiła mnie do łez...

Dziennikarzom coraz trudniej przychodzi opanować nieczytelny jazgot w studiu, a skonsternowani harmiderem słuchacze masowo przenoszą się na inne, spokojniejsze kanały. Wyjściem byłoby wyłączanie mikrofonów tym interlokutorom, którzy akurat nie są wyznaczeni do odpowiedzi. I jeszcze – dla pewności – zaklejanie im na tę chwilę ust taśmą. Znając temperament „zagłuszaczy", obawiam się, że niektórzy z nich mogliby udusić się z nadmiaru emocji. I aby odwrócić uwagę, zaczęliby nagle klaskać, stepować, puszczać bąki etc., etc.

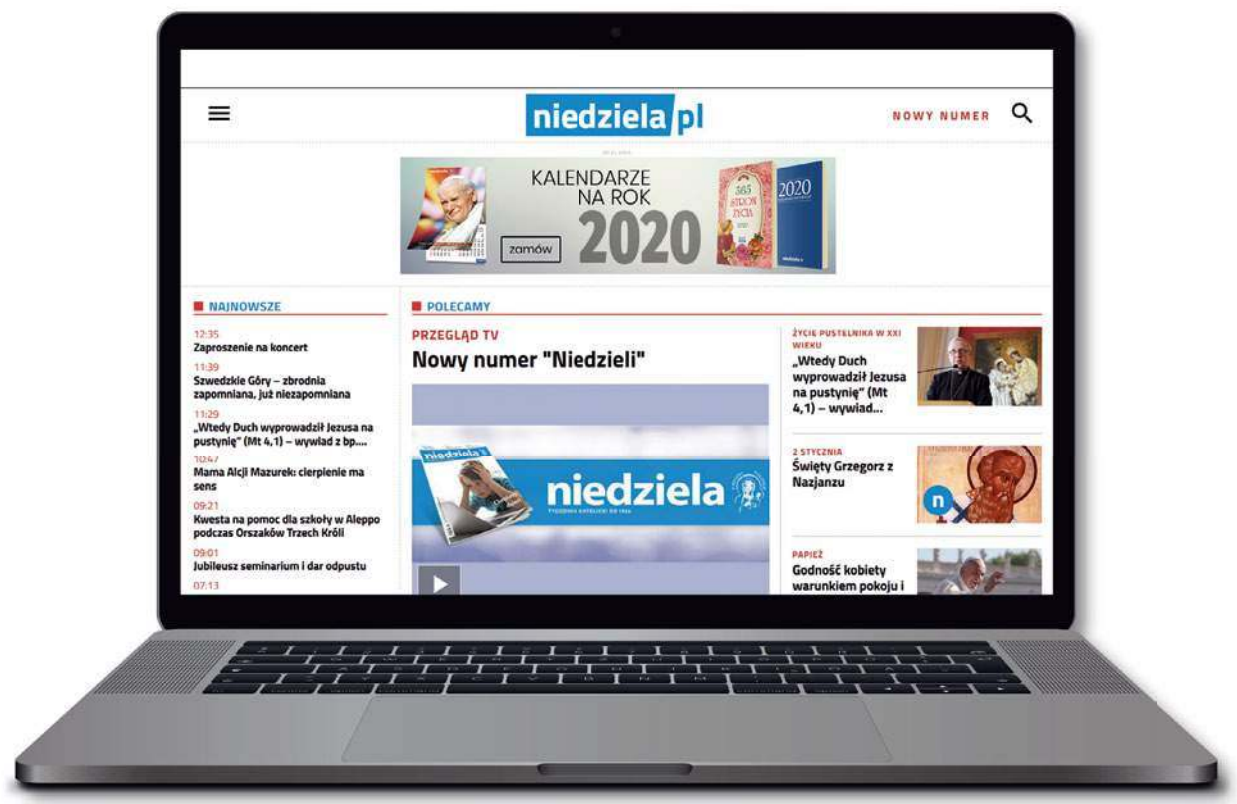
PS Sędziowski rokosz jest przyzwoleniem dla przekraczających prawo. Pyskówki podczas mitingów wyborczych są dopuszczalne, ale już wulgarne zakłócanie uroczystości/jubileuszy państwowych czy kościelnych poraża... Na co czekają organa ścigania? Na samosądy?

Reklama | 64/0120/F

eprasa.pl 8c095ff059

wiarygodna strona internetu

niedziela/pl



w nowej odsłonie

- informacje z życia Kościoła i świata
- pomoc w rozwoju duchowym
- niezbędnik katolika

eprasa.pl 8c095ff059

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Flejtuchy



Aleksander Nalaskowski

Kandydaci na prezydenta RP, a w zasadzie to tylko aspirujący do tego urzędu, prześcigają się w diagnozowaniu polskiego społeczeństwa. Głównym objawem tej przedziwnej dyspozycji jest opowiadanie o tym, czego chce suweren. Często, aby wzmocnić swoje diagnozy, używają zwrotu „Polacy tak naprawdę...". Ma to tworzyć iluzję głębokiego rozpoznania oczekiwań Polaków. Podkreślam – iluzję, bo owi kandydaci najczęściej nie mają zielonego pojęcia o narodzie, którym chcą zarządzać. Ma to swoje przyczyny. Jak za komuny towarzyszy z nomenklatury przerzucano z rolnictwa na „odcinek kultury" czy ze spraw zagranicznych do budownictwa, tak i teraz z programów rozrywkowych na prezydenturę czy znikąd do Pałacu Prezydenckiego. Poza obecnym prezydentem, który się po prostu sprawdził i jest skuteczny, wszyscy pozostali myślący o tym urzędzie to nowa obsada Latającego Cyrku Monty Pythona.

Zatem najbardziej bawią mnie ci komentatorzy, którzy Kidawę-Błońską, Kosiniaka-Kamysza czy Hołownię traktują serio i w dyskusjach przydają im bytu. Udają przy tym, że nie widzą, że owi kandydaci to w zasadzie klony uniwersalnej postawy anty-PiS czy anty-Duda.

Niedysponujący potencjałem intelektualnym pozwalającym zarządzać nawet gminą ubrdali sobie, że chcą być prezydentem narodu

Ich wystąpienia charakteryzuje nade wszystko niechlujstwo. Może to nawet nie ich niechlujstwo, ale tych, którzy im doradzają i podpowiadają, co mają mówić. Przejęzyczenia i lapsusy Błońskiej nie są przypadkiem. Niewiasta myśli tak, jak mówi. Nieskładnie, zabawnie i niechlujnie. Hołownia to prezenter, nawet nie dziennikarz, myśli i działa jak prezenter. Fasadowo. Kosiniak-Kamysz to człowiek, którego ego już dawno przerosło. Słychać to w jego mowie i przez to w myśleniu. Kompetencje tego kandydata najlepiej oddaje słynna propozycja wpisania Unii Europejskiej do polskiej konstytucji. Wszyscy razem wzięci to flejtuchy intelektualne, nie tylko po łebkach przygotowane do roli swoich marzeń, ale nade wszystko niezdające sobie z tego sprawy. Jak mawiał znajomy sztygar z Mikołowa: „Walą bezczelnie z gębą do żuru". Dzielą Polaków na tych, którzy chcą normalnej Polski, i na tych, którzy chcą PiS i Dudy. Jest to o tyle idiotyczne, że nie zakłada istnienia takich, którzy chcą normalności i chcą głosować na prawicę. Dla nich to zbiory wykluczające się, bo przecież wiedzą najlepiej, czego Polacy „chcą naprawdę". Źle przygotowani, niedysponujący potencjałem intelektualnym pozwalającym zarządzać nawet gminą, krystaliczni dyletanci społeczni i polityczni ubrdali sobie, że chcą być prezydentem narodu, który nade wszystko ceni kompetencje i rzetelną wiedzę, bo nie znosi, gdy się go robi w trąbę.

Ich kampania, jak każda kampania opozycji, to te same fragmenty gry. Z jednej strony tromtadractwo polityczne i sprowadzanie patriotyzmu do ciepłej wody w kranie (jakby jedno wykluczało drugie), a z drugiej strony inspirowane i opłacane przez podmioty, których możemy się tylko domyślać akcje. Nie jest wszak przypadkiem, że wszelkie akcje spod znaku dewiantów, „polskiego antysemityzmu" czy „konstytucyjnego" mazgułokodziarstwa milkną, gdy mamy czas niewyborczy. Ale wybuchają na nowo, gdy zaczyna się jakaś kampania. Związki między kandydatami a hałaśliwą hołotą widać było podczas uroczystości upamiętniających zaślubiny z Bałtykiem. Z jednej strony majestat Rzeczypospolitej i upamiętnienie naprawdę ważnego wydarzenia z udziałem prezydenta, a z drugiej Kidawa-Błońska dziękująca wrzeszczącej tłuszczy. Wystarczy poszperać w sieci, a filmiki powiedzą same za siebie. Jeśli to jest kandydatka na prezydenta, to w zasadzie poprzeczka nie tylko została obniżona, ale po prostu leży na ziemi. A swoją drogą, czy nie należało wystawić kilku słonych mandatów chamom zakłócającym państwową uroczystość? Notabene z Pucka zostali autokarami przewiezieni do Wejherowa i tam dali drugi występ.

Po kilku miesiącach ciszy głowę podnieśli sodomici i ich akolici. Prezydent Poznania podpisał coś, co nie jest ani oficjalnym, ani prawomocnym, ani istniejącym w urzędowym obiegu dokumentem. Czysty teatr i kolejne działanie „przedsiębiorstwa LGBT". Ale jeszcze do niedawna Poznań stał teatrem, nic więc dziwnego. Oczywiście ów samorządowiec nie zrobił tego, tak sądzę, z przekonania, ale z czystego cynizmu. Stanowi bowiem element grupy wsparcia dla kandydatów antydudowych. A tutaj każda broń jest dobra i każda część ciała może być bronią.

Jak łatwo zauważyć, nie wspominałem o Biedroniu. Ale jeśli ktoś nie odczytuje jego prawdziwych intencji, nie widzi, „kto zacz" i daje się mu wyborczo uwieść, to tutaj cytat z Dyla Sowizdrzała: „Ma bielmo na oczach i jest głupi". Po prostu głupi.

eprasa.pl 8c095ff059

PRZEZ ŚWIETLIK

Patroli żal

Przez ostatnie dwa tygodnie rozmawiałem z wieloma policjantami. Nie, nie, nic z tych rzeczy. Jeżdżę ostatnio ostrożniej, organizm zatruwam legalnymi substancjami (głównie polityką). Jako nastolatek byłem odmiennego zdania, nie każdy bezproblemowo dorasta, ale jako starszy nastolatek uważam, że policja jest potrzebna i pożyteczna. W dodatku, patrząc na jej pracę, podzielam społeczne odczucie, w którym mundurowi budzą większe zaufanie niż dziennikarze. Jako były szef instytucji broniącej „żurnalistów" i ich „żurnali", a także wykładowca uniwersytecki kierunków dziennikarskich z 10-letnim stażem stwierdzam zdecydowanie: tylko głupi bardziej ufa mediom niż policji.

Z policjantami rozmawiałem w związku z książką, którą piszę, no i przy okazji odkryłem pewną rzecz, której dziś brakuje, a na którą chyba w największym stopniu zwrócił mi uwagę Paweł Biedziak, wieloletni rzecznik policji. Nie ma pieszych patroli. Nie ma tego u mnie na Grochowie, nie ma w Śródmieściu ani w Łodzi. Co ciekawe, trend nie jest krajowy. Ostatnich kilka dni spędziłem za oceanem, m.in. w Los Angeles i miasteczkach wokoło arizońskiego Phoenix. Według Wikipedii to najbardziej przestępcze miasta w USA. Owszem, czasem przejedzie wolno samochód policyjny, tylko większy niż u nas, ale policji na ulicy nie ma. A w Berlinie widzieliście, by się policjant przechadzał? Prawie dwie dekady temu mieszkałem przez rok w Londynie, wtedy charakterystycznie ubrani „Bobby" chadzali po ulicach i gadali z ludźmi. Zniknęli wraz z budkami telefonicznymi. Zostały po nich figurki w sklepach z pamiątkami.



Owszem, czasem jak się chce przeszkolić młody narybek, to się go rzuca na ulicę, by uczył się „spisywać". Albo gdy gdzieś w bliskich nam strefach czasowych bomba wybuchnie, to na ulicę wychodzą patrole obwieszone karabinami i magazynkami, jakby właśnie kolejną część filmu o transformersach kręcili. Ale mnie chodzi o taki lokalny patrol. Policjantów z okolicy, którzy wszystkich znają, wszystko wiedzą, mogą zapobiec, a nie tylko reagować.

Takie patrole chadzały Warszawą za czasów Lecha Kaczyńskiego, a za czasów burmistrza Giulianiego uczyniły Nowy Jork bezpiecznym miastem. Teraz warszawska Straż Miejska zajmuje się tradycyjnie mandatami za parkowanie, by prezydent Trzaskowski miał na walkę o prawa LGBT, a policjanci na całym świecie siedzą w radiowozach, bo tam mają technologię, internet, monitory, laptopy. Są obłożeni techniką, ale cała ta technika nie pozwoliła na uniknięcie zamachów w Brukseli, choć o planach w strasznej dzielnicy Molenbeek ileś osób wiedziało. Nikt nie miał z nimi kontaktu, wystarczyło, że radiowóz czasem przejechał i że dokonywano jakiś politycznych dealów z islamistycznym kierownictwem.

Dziś wszyscy na rękach noszą krokomierze, a policja siedzi w samochodach i na motocyklach. Chciałbym, żeby wyszła. Nie wszystkie trendy globalne są właściwe, a my ostatnio jesteśmy mistrzami w wędrowaniu pod prąd. Może więc i w tym przypadku warto?

REKLAMA



71/0120/F

eprasa.pl 8c095ff059

Dawać świadectwo prawdzie



Alina Czerniakowska

Prawda o Polsce była i jest niewygodna dla pewnych środowisk w kraju i za granicą. Ostatnio przeczytałam niezwykłą publikację, pamiętnik – relację Szwajcara, który znalazł się w okupowanej Warszawie z misją Czerwonego Krzyża. Strona tytułowa brzmi: „Franz Blattler Warszawa 1942 – zapiski szofera misji szwajcarskiej". Znam sporo książek, relacji napisanych przez cudzoziemców, których los rzucił do okupowanej Polski, ale ta niewielka pozycja jest wyjątkowa, porażająca w swoim autentyzmie i prawdzie. „Spostrzeżenia zawarte w książce są odzwierciedleniem niemieckiego Wehrmachtu, zupełne zezwierzęcenie najeźdźcy. Zaskoczeniem była obserwowana przez Szwajcara na każdym kroku korupcja Niemców, kradzieże mienia wojskowego, transakcje na czarnym rynku, machloje popełniane przez przedstawicieli Herrenvolku" – napisał Tomasz Szarota we wstępie.

Książka ukazała się w Szwajcarii dopiero po wojnie, mimo że zapiski trafiły do wydawcy zaraz po powrocie autora z Warszawy w 1942 r. i, jak czytamy, były tak niewygodne, że został aresztowany za „ujawnienie tajemnic misji Czerwonego Krzyża"! Najważniejsze są słowa samego autora, młodego Szwajcara, który przez kilka miesięcy przebywał w okupowanej Warszawie: „Polacy muszą zniknąć z powierzchni ziemi – władze okupacyjne były opętane tym hasłem. Od wczesnego ranka do późnego wieczora, w mieście i na wsi, na ulicy i w domu, dzień w dzień ten sam obrazek: upokorzenie, wyzysk, akty przemocy wobec polskiej ludności. Przynosi zaszczyt narodowi polskiemu fakt, że dumnie znosił swój ciężki los. Noszony mimo grożącej kary śmierci ukradkiem orzełek, dobiegające niekiedy zza zamkniętych drzwi pieśni świadczyły o jego woli przetrwania i walki. Niemcy zabrali ludności polskiej wszystko: najbliższych, dobytek, spokój i zdrowie, ale nie mogli zniszczyć dumy narodowej, z którą szli na śmierć i walkę do końca. Moja relacja nie jest suchą statystyką, ani dziełem intelektualisty. Jako szofer spędziłem kilka miesięcy w Polsce, przeżywałem zgrozę i ją tutaj opisuję".

Ostatnie wydarzenia przywołały w mojej pamięci spotkanie sprzed kilku lat z Haliną Bierenbaum, autorką książki „Nadzieja umiera ostatnia", temat inny, ale jakże korespondujący z tym, co opisał szofer misji szwajcarskiej. Zadzwoniła do mnie wówczas nauczycielka z zespołu szkół przy ul. Stawki w Warszawie i powiedziała krótko: przyjdź koniecznie, bo przyjechała osoba, którą powinnaś poznać. Na początku rozmowa była zdawkowa, wyraźnie można było zauważyć dystans, brak zaufania. Dowiedziałam się, że pani Halina przyjeżdża często z Izraela do Warszawy, właśnie tu na Muranów, do miejsc jej dzieciństwa. Tu, uciekając przed tragicznym losem Żydów z warszawskiego getta, znalazła pomoc i ocalenie. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, sposobu mówienia z jakąś niewytłumaczalną wówczas dla mnie obawą, wręcz strachem, by nie powiedzieć za dużo. Zapytałam wprost, czego się boi. Wtedy wyjęła z torebki swoją książkę i opowiedziała krótko, jakie miała problemy z jej wydaniem w Izraelu, wielokrotnie ginął maszynopis, a wydawcy żądali usunięcia pewnych fragmentów. Dopiero, kiedy ją przeczytałam, zrozumiałam, na czym polegał problem. Przytoczę tylko dwa fragmenty: „Odpowiedzialną za getto uczynili Niemcy gminę żydowską, która całkowicie im posłuszna i ślepo wraz z policją żydowską wypełniająca ich zbrodnicze rozkazy – przyczyniła się w wielkiej mierze do cierpień i zagłady nieszczęsnych mieszkańców getta. Judenrat słaby i powolny rozkazom faszystów niemieckich, głuchy na jęki i nieczuły na łzy ludzkie, dbał tylko o to, aby przypodobać się katom i w zamian za posłuszeństwo uratować własne życie i tych, którzy mogli dobrze zapłacić".

Halina Bierenbaum opisuje wiele okrutnych, haniebnych akcji policji żydowskiej. „Usłyszeliśmy niesamowity hałas i wrzask, rzuciliśmy się do okna. Na Leszno wdzierały się gromady żydowskich policjantów, uzbrojonych w kije i pałki. Jak stado dzikich, zgłodniałych zwierząt, rozdrażnionych zapachem krwi, wyjąc i rycząc wbiegli do bram domów. Uciekliśmy na strych pozbawiony dachu, ale spowity ciemnością. Leżeliśmy na ziemi, jedno obok drugiego, wrzaski policjantów, krzyki, łomotanie w drzwi. Wyłapywali nas jak zwierzynę, każdy z nich miał dostarczyć 4 żydów na Umschlag. Handlowali między sobą złapanymi ludźmi, ten, któremu udało się złapać więcej ofiar, sprzedawał swój »nadkontyngent« koledze mniej zaradnemu. Cena 10 000 za główkę! A po odstawieniu żywego towaru na miejsce policjanci wracali, żeby rabować opustoszałe mieszkania, co zresztą czynili zawsze, każdego wieczoru po ukończeniu akcji. Nas i tym razem nie znaleźli, choć zaglądali na strych".

Książkę wprost się pochłania, każda strona porusza najgłębsze pokłady duszy ludzkiej i umysłu – codzienna walka o życie zapamiętana z perspektywy 13-letniej dziewczynki. „Polacy, z którymi ojciec współpracował przed wojną, przesyłali nam do getta żywność i pomagali na różne sposoby. Szczególną pomoc okazywał nam stale, aż do opuszczenia getta, pewien Polak, znajomy ojca, inżynier, Stanisław Strójwąs. Chilek, mój brat, pracował wtedy w Ursusie i opowiadał o Polakach, którzy przynosili dla Żydów chleb i rozmaite inne produkty żywnościowe, chociaż groziła im za to kara śmierci. Te fakty dodawały nam otuchy, że tam po drugiej stronie muru są dobrzy ludzie i gotowi są nam pomóc, nie zważając na straszliwe niebezpieczeństwo".

Te książki powinny być obowiązkową literaturą dla wszystkich zabierających głos w polskich sprawach.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 8c095ff059

Waleczny sędzia



Jerzy Jachowicz

Szanowna Pani Komisarz Věra Jourová, mój dawny kolega, obecnie europoseł, przekazał mi wiadomość wprost z Brukseli, że Pani doskonale orientuje się, na czym polegają działania polskiego rządu, który pod pretekstem reformy naszego systemu wymiaru sprawiedliwości niszczy niezawisłe sądy i niezależnych sędziów. Jestem jednym z tych, do zniszczenia których dąży władza. Podobno zna Pani świetnie mój osobisty przypadek jako pierwszej, największej jak dotychczas ofiary tej, pożal się Boże, reformy. Słynny już na całą Europę „antysąd", zwany Izbą Dyscyplinarną, zawiesił mnie w prawach sędziego i obniżył pensję prawie o połowę. Na wszelki wypadek powiem od razu, że nazywam się Paweł Juszczyszyn. Robię to, aby nie traciła Pani energii tak potrzebnej Europie, zmierzającej pod Pani kierunkiem do prawdziwej praworządności. Nie śmiem Panią prosić, niemniej jednak byłbym zobowiązany za ewentualną pomoc w mojej bolesnej sprawie.

Zgodnie z wymogami, jakie obowiązują przy składaniu pism urzędowych do członków Komisji Europejskiej UE, składam oświadczenie majątkowe:

Ja niżej podpisany, sędzia Paweł Juszczyszyn, urodzony 15 grudnia 1972 r. oświadczam, że w skład mojego majątku osobistego oraz objętego małżeńską wspólnością majątkową (co oznacza, że mimo młodego wieku jestem już żonaty, jednakże nadal popieram małżeństwa homoseksualne z możliwością adopcji dzieci) wchodzą następujące dobra:

I. Zasoby pieniężne:

1. Środki zgromadzone w walucie polskiej: 2134 zł 82 gr (środki te mogą się powiększyć, ponieważ poseł z partii Donalda Tuska Sławomir Nitras wezwał do zainicjowania zbiórki, która wyrównałaby mi straty wynikające z obniżki pensji. Już wiem, o czym poinformował rzecznik ratusza, że prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski ofiarował na ten cel 20 gr).
2. Środki zgromadzone w walucie obcej: 2 euro

II. Nieruchomości:

1. Mieszkanie o pow. 76 mkw. z oknami wychodzącymi na północ, co uniemożliwia mi korzystanie na co dzień z promieni słonecznych, jakże zbawczych dla harmonijnego pożycia małżeńskiego. A mimo to nie skarżę się na swój los. Proszę tylko o zmianę szefa.

CO MNIE WZRUSZA

Nie zawiedli



Katarzyna Łaniewska

Kluby „Gazety Polskiej" jak zwykle nie zawiodły, nie zawiedli ludzie – ich członkowie i sympatycy. Zjawili się 9 lutego 2020 r. w Warszawie w al. Szucha przed budynkiem Trybunału Konstytucyjnego, aby zamanifestować to, by sądy zaczęły uczciwie sądzić, a nie rządzić, demonstrować i demolować.

Powołanie i organizowanie klubów „Gazety Polskiej" to jeden najwspanialszych pomysłów, który zrodził się wśród członków redakcji. Gazeta wychodziła wtedy jeszcze w formie dużej płachty papierowej. O polskiej gazecie codziennej nie było mowy. Teraz żyjemy w wolnym kraju i ja też we wspaniałym tygodniku mogę pisać prawdę.

Kluby to pomysł na wagę wolności Polski. Tworzą je ludzie, którzy się oddolnie odnajdywali w całej Polsce, wśród Polonii rozproszonej na całym świecie. Byli zawsze gotowi do pomocy. Pamiętamy ich udział w święcie narodowym Węgier. Nie zawiedli też przy smutnych uroczystościach, kiedy wyjeżdżali uczcić tych, którzy polegli w Katyniu, nie brakowało ich po 10 kwietnia 2010 r. w tzw. mszach smoleńskich. Kluby trwają i się rozrastają. To starsze już pokolenie odchodzi na wieczną wartę, ale przychodzą młodsi.

Uczestniczyłam we wspólnych akcjach, rozmowach i spotkaniach. Parę lat temu miałam dużo sił i możliwość zaoferowania czegoś z racji swojego zawodu. Stawiałam się na Krakowskim Przedmieściu, kiedy marsz wolności szedł pod Belweder i pod pomnik Piłsudskiego. Kiedyś bez mikrofonu wykrzyczałam to, co miałam do powiedzenia. Stawiałam się wielokrotnie na placu Trzech Krzyży pod pomnikiem Wincentego Witosa 13 grudnia. Byłam zawsze wtedy, kiedy mnie zaproszono, a czasami sama się wpraszałam.

Teraz oczywiście im kibicuję, bo niestety trudno mi jest być z nimi fizycznie – siedzę przed telewizorem jak głupia i wpatruję się w ekran swoimi prawie ślepymi oczami. Mam wśród tych osób w całej Polsce dużo przyjaciół, którzy zapraszali mnie od siebie. Jedne przyjaźnie się zerwały, inne trwają. Moja Basia z Kwidzyna dostarcza mi mądrą i wspaniałą poezję, którą mówię. Czuję się z nimi bardzo związana. Dziękuję wszystkim, którzy sięgają po moje pseudofelietony, za to, że są.

eprasa.pl 8c095ff059

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Rozhuśtać emocje

Największym wrogiem opozycji jest prawda

W programie „Drugie śniadanie mistrzów", wspierającym intelektualnie lemingozę, doszło do katastrofy. Dziennikarz „Gazety Wyborczej" opowiedział mrożącą krew w żyłach historię. Podróżując samochodem, objaśniał synowi spór o wymiar sprawiedliwości: „Ja próbowałem wszystko dokładnie wytłumaczyć mojemu synowi 20-letniemu, który jest zupełnie odpięty od rzeczywistości politycznej, ale za to dobrze rozumuje jako student matematyki. Jak mu to wszystko wyłożyłem, to on się podrapał po głowie i mówi: „Nie, to jednak PiS ma rację". Zszokowany prowadzący wykrztusił: „W którym mieście go wysadziłeś?". Opar herezji zawisł nieznośnie.



Ryszard Makowski

PiS z założenia nie ma racji! Jest zapyziałym ciemnogrodem. Takie są wytyczne i nikt nie ma prawa ich podważać. W szczególności nauki ścisłe.

Wrogiem opozycji są liczby i statystyki. Jeden z tweeterowiczów: „Cztery lata PiS to między innymi: PKB wzrósł o 23 proc., dług publiczny spadł z 52,4 proc. do 47,4 proc. PKB, udział kapitału zagranicznego w długu publicznym spadł z 35 proc. do 27 proc., deficyt budżetowy spadł z 2,3 proc. do 0,6 proc. PKB, średnia płaca wzrosła o 25 proc., bezrobocie spadło o połowę".

Opozycja nie może dopuścić, byśmy egzystowali w sferze rozsądku, prawdy i konkretu. Wtedy nie ma szans. Musi huśtać emocjami i robić, za przeproszeniem, dziwkę z logiki. Do „Drugiego śniadania mistrzów" trzeba zaprosić Mariana Opanię. On nie wprowadzi atmosfery niepewności. O zwolennikach PiS prawi: durnie albo wyrachowani łajdacy. I na taką kulturę jest zapotrzebowanie w PO.

eprasa.pl 8c095ff059

***Zawistowski prezentuje:* Końcówka**



Wycinki z przeszłości

To prawda, że styczeń jest już wspomnieniem, mamy luty – choć powiedzenie „idzie luty, podkuj buty" jak na razie się nie sprawdziło. Nas jednak tak urzekła okładka tygodniowego dodatku do „Kuriera Porannego" z 1 stycznia 1933 r., że postanowiliśmy ją zamieścić w naszej rubryce. Zdjęciu modelki typowej dla lat 30. ubiegłego wieku towarzyszy taki wierszyk:

*„**Wróżba noworoczna***
Gdy z górskiej szczeliny owiały ją gazy,
Pytja wróżb tajemne szeptała wyrazy;
I ja – po Sylwestrze dziś podgazowana
– Prorokuję światu od samego rana.

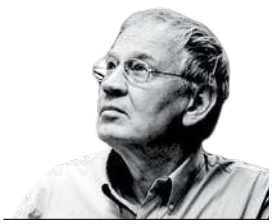
Niechaj serca nasze nadzieja pokrzepi;
Gorzej być nie może, więc musi być lepiej;
A gdy taka wróżba Nowy Rok zaczyna,
Zaproścież mnie, chłopcy, na butelkę wina".



Sensu w tym niewiele, ale klimatu minionej epoki sporo.
(mk)

Tamten czas...

Luty 82



Leszek Długosz

Choć dzień w kagańcu zimy jeszcze
Szaleje terror nocą
Funkcjonariusze mrozu – chociaż
O świcie i pod wieczór
Ścigają każdy ślad odwilży
Ale w południe, spójrzcie
Nie da się już ukryć
– Te pojedyncze krople strużki
Jak się jednoczą
Po cichu jak się dogadują
Jawnie rwą potoki
Nie da się zagłuszyć
– Słuchajcie południowej strony dachów
Jaka już stamtąd płynna
Wiarygodna mowa
Czujecie, co donosi powietrze?
– Nawet odległych pół prowincje
Najściślej pilnowane rezerwaty
Całymi połaciami podbiegają
Wodnistym kolorem zwątpienia
– To runie. Runąć musi
Bo nie umarła
Pod powierzchnią ziemi – zieleń
Obudzi się i ruszy...

Bądź pozdrowiona więc, Leszczyno Krucha
Patronko pierwszej linii
Najśmielsza rewolucjonistko
Emisariuszko szalona
Ty która pierwsza
– Gdy las w okowach jeszcze
– Śniegi kopne w polach
Ty która z nagą chorągiewką kwiatu
Pierwsza na zwiad ruszasz...
– Bądź pozdrowiona
Topnieje serce na widok takiej wiary

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 8c095ff059

OD A DO ZYBERTOWICZA

A dobre społeczeństwo?

„Czy Polska nie powinna uczestniczyć w technologicznym wyścigu? Czy powinniśmy poświęcić bożka innowacyjności na ołtarzu polskości, ewentualnie spójności społecznej w zależności od wrażliwości politycznej?" Takie m.in. pytania postawił czytelnik zeszłotygodniowego felietonu zatytułowanego „Technociasnota?" (Sieci 7/2020). To bardzo ważne pytania.

Felieton nawiązywał do panelu „Czy Europa może jeszcze dołączyć do wyścigu o innowacje", któremu przyglądałem się na konferencji „Ryzyka i trendy 2020", zorganizowanej przez Politykę Insight. W tekście wytykałem niedostrzeganie przez uczestników konferencji wpływu zmian technologicznych na kryzys demokracji. Krytykowałem postawę głoszącą, że do narastającej niestabilności otaczającego nas świata trzeba się po prostu dostosować.

NIEZGODA

Nie zgadzam się z taką postawą. Chociaż zdolności adaptacyjne człowieka są ogromne, to jednak takiej różnorodności, takich możliwości, takich pokus nie było dotąd w dziejach ludzkości. Takiego tempa, zakresu i głębokości zmian ludzkość dotąd nie doświadczała. Nie wiemy, dokąd prowadzą. Stąd wysuwany przeze mnie od kilku lat postulat moratorium technologicznego. Postulat spowolnienia, a nie powstrzymania rozwoju technologicznego. Spowolnienia na tyle, byśmy zaczęli nad nim panować.

Znamienne jest, że niemal za każdym razem, gdy postulat moratorium wysuwam, podkreślając, że należy jakoś okiełznać postęp technologiczny, jeśli chcemy ochronić świat w kształcie z grubsza przez nas rozumianym, pojawiają się głosy zaniepokojenia. Często jest to autentyczne zaniepokojenie, czy aby nie przeginam, bo przecież rozwoju spowolnić nie sposób. I w ogóle to przecież szaleństwo, bo jak nie będziemy się



Niemal za każdym razem, gdy postulat moratorium wysuwam, podkreślając, że należy jakoś okiełznać postęp technologiczny, jeśli chcemy ochronić świat w kształcie z grubsza przez nas rozumianym, pojawiają się głosy zaniepokojenia

rozwijać, to czeka nas stagnacja, a nawet zacofanie.

W dodatku to przecież obecna władza już nas na takie zacofanie skazuje, bo każe pielęgnować tradycje i wszystko to, od czego nowoczesny świat już się uwolnił. Mamy żyć w tym polskim zaścianku i jeszcze być pozbawieni zdobyczy technologicznych?

POMNAŻANIE MAJĄTKU

Niedawno premier Mateusz Morawiecki, odbierając nagrodę Człowieka Wolności tygodnika „Sieci", powiedział, że nie można z sentymentem patrzeć tylko w przeszłość, ale trzeba „złapać byka nowoczesności za rogi". Dodał, że „ten wyścig znaczony jest rewolucją cyfrową, klimatyczną, rewolucją w tych obszarach, w których konkurują najlepsi – w najnowszych technologiach, sztucznej inteligencji, zarządzania wielkimi zbiorami danych, uczącymi się maszynami czy technologiami kwantowymi, które jawią się jako najbardziej obiecujące technologie najbliższych dekad. I my musimy i od strony regulacyjnej, finansowej, intelektualnej i kulturowej zmierzyć się z tą przyszłością".

Jak to zrobić – o tym właśnie trzeba dyskutować. Nie ma „ołtarza polskości". Jest depozyt dziedzictwa naszych przodków, którego mamy nie tylko strzec, ale pomnażać, tak jak pomnaża się odziedziczony kapitał.

Problem nie leży w tym, czy bierzemy udział w wyścigu, czy nie. Nie znam nikogo z kręgów obecnego, szeroko rozumianego kierownictwa państwa, kto uważałby, że taki wyścig Polska może sobie odpuścić.

Ale nie musimy być tylko zakładnikami cyfrowego świata. Chodzi o to, aby współtworzyć reguły przyszłości. Z tego m.in. względu dalej powinniśmy nie tylko być w Unii Europejskiej, ale jeszcze bardziej zabiegać o to, by nasz głos w niej był słyszalny.

DOBRE SPOŁECZEŃSTWO

W kontekście debat o rozwoju, technologii, innowacjach, sztucznej inteligencji itd. zbyt rzadko stawia się prosto brzmiące, ale iście fundamentalne pytanie: na czym polega dobre społeczeństwo? Czy obecny chaotyczny rozwój technologiczny przybliża nas do dobrego społeczeństwa, czy raczej przeciwnie – szybko nas od niego oddala?

Ileż to tekstów – poważnych i kiepskich – napisano o kryzysie demokracji liberalnej oraz o tzw. populizmach, falach nacjonalizmu, nie podnosząc jednak problemu dobrego społeczeństwa. To jemu winna służyć technika, zamiast wymuszać na nas coraz bardziej bezrefleksyjne dopasowywanie się.

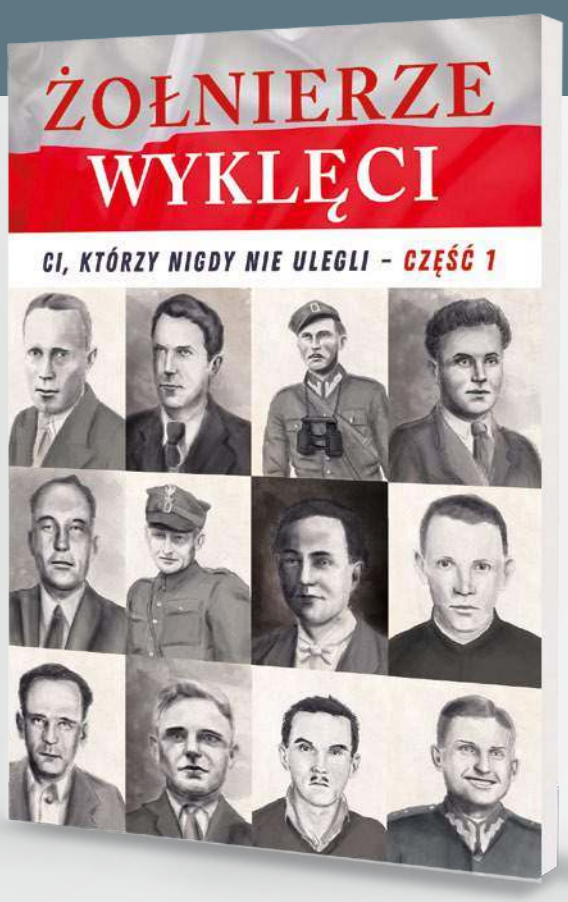
Andrzej Zybertowicz

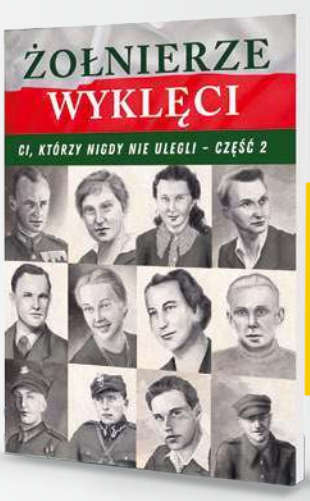
Autopromocja | Reklama 59/0120/F

eprasa.pl 8c095ff059

Tygodnik SIECI z patriotyczną książką w sprzedaży do 1 marca

- sylwetki tych, którzy nie ulegli komunistycznemu terrorowi
- bohaterskie czyny, dramatyczne losy, wciąż żywe wspomnienia o Wyklętych





Druga część książki „Żołnierze Wyklęci" ukaże się 2 marca

PARTNER DODATKU

ORLEN

Kup tygodnik z książką w cenie **9,90** zł

w wybranych punktach sprzedaży m.in.:

◆ Empik ◆ Relay ◆ InMedio ◆ 1-Minute ◆ Tabak ◆ Media Star ◆ Poczta Polska

Salony prasowe: ◆ Kolporter ◆ Ruch ◆ Garmond Press **Stacje benzynowe: ORLEN i LOTOS**

eprasa.pl 8c095ff059

Wygraj i odbieraj
600 zł co tydzień przez cały rok

SZYBKIE 600



Graj w punktach LOTTO

eprasa.pl 8c095ff059